

JAK POKOCHAĆ

freaka

*A ja przecież smak samotności
znam aż za dobrze...*

REBEKAH CRANE

Feeria
young

JAK

POKOCHAC

freaka

REBEKAH CRANE

PRZEKŁAD: JAROSŁAW IRZYKOWSKI

**Fear
yolo**

Spis treści

POZNANIE SIEBIE

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

PRACA ZESPOŁOWA

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ZAUFANIE

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23

ODWAGA

ROZDZIAŁ 24

ROZDZIAŁ 25

ROZDZIAŁ 26

ROZDZIAŁ 27

ROZDZIAŁ 28

WYTRWAŁOŚĆ

ROZDZIAŁ 29

ROZDZIAŁ 30

ROZDZIAŁ 31

ROZDZIAŁ 32

NADZIEJA
ROZDZIAŁ 33
ROZDZIAŁ 34

PODZIĘKOWANIA

O AUTORCE

Tytuł oryginału: The Odds of Loving Grover Cleveland
Przekład: Jarosław Irzykowski
Opieka redakcyjna: Maria Zalasa
Redakcja: Karolina Pawlik

Projekt okładki i stron tytułowych: Joanna Wasilewska Katakanasta
Zdjęcie na okładce: © FWStudio/Shutterstock

Text copyright © 2016 by Rebekah Crane
This edition is made possible under a license arrangement originating with Amazon Publishing,
www.apub.com, in collaboration with Graal sp. z o.o.
Copyright for Polish edition and translation © Wydawnictwo JK, 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być powielana ani rozpowszechniana za pomocą urządzeń elektronicznych, mechanicznych, kopiujących, nagrywających i innych bez uprzedniego wyrażenia zgody przez właściciela praw.

ISBN 978-83-7229-689-4
Wydanie I, Łódź 2017

Wydawnictwo JK
Wydawnictwo JK, ul. Krokusowa 3,
92-101 Łódź tel. 42 676 49 69 www.wydawnictwofeeria.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie [Zecer](#).

Kyle'owi – który wie wszystko o moim szaleństwie i mnie za nie kocha.

Drodzy Przyszli Obozowicze,

Camp Padua wita Was u progu lata poszukiwań, przygody i przede wszystkim samopoznania. Naszym celem jest zapewnienie Wam najwyższego poziomu rozwoju osobistego i najskuteczniejszej terapii. Żeby służyć Wam jak najlepiej, Drodzy Obozowicze, nasi wykwalifikowani opiekunowie skupią się na rozwijaniu w Was sześciu podstawowych cech, które każdy powinien mieć. Bez nich zginiemy.

Prosimy Was, żebyście przez najbliższe pięć tygodni zastanowili się nad tym, jakimi ludźmi jesteście... i jakim powinniście się stać.

– Organizatorzy

POZNANIE SIEBIE

ROZDZIAŁ 1

Mamo i Tato, kazali mi to napisać. Na obozie jest w porządku. Wkrótce się zobaczymy.

Z

PS Ze mną też wszystko w porządku... nawet jeśli Wy uważacie inaczej.

Drzwi do domku zamykają się na klucz od środka. Wciąż z torbą na ramieniu gapię się na srebrną klamkę, pod którą znajduje się zamek, jakby miała przemówić. Coś takiego nie może być legalne.

– Zamykamy drzwi tylko na noc, ze względów bezpieczeństwa. Zresztą, ja też tutaj śpię – mówi Madison, bawiąc się kluczem zawieszonym na szyi. Dotyka mojej ręki. Patrzę, jak pięknie pomalowane paznokcie wbijają się w moją skórę. Purpurowy lakier tworzy na nich perfekcyjnie lśniąca powłokę.

– Tu jest niebezpiecznie? – pytam.

Madison nie spieszy się z odpowiedzią. Posyła mi jeden ze swoich półuśmiechów i przekrzywia głowę, jakby się zastanawiała, co teraz powiedzieć. Bierze do ręki swój długi brązowy warkocz i przygląda się jego końcówce.

– Zamykamy się przed niedźwiedziami. – Wyrzywa włos z rozdwojoną końcówką.

– Nie przypuszczałam, że tu będą niedźwiedzie.

– Istnienia wielu zjawisk z tutejszych lasów ludzie nie chcą potwierdzić. Ale głowa do góry. Dlatego ja tu jestem. – Ponownie dotyka mojej ręki.

Madison ma na sobie koszulkę koloru myśliwskiej zieleni z logiem obozu na przodzie i czarne bojówki do kolan. Jaskrawy lakier kłóci się z jej biwakowym strojem. Inna bajka.

– Pamiętam swój pierwszy obóz. Byłam cała w nerwach – mówi Madison.

– To było tutaj?

– Nie... – Madison zawiesza głos. Bawi się koszulką, wygładza jej przód. – To był obóz jeździecki w Kalifornii.

Madison wygląda na dziewczynę z na tyle bogatego domu, że mogła jeździć konno, nosić różowe koszulki polo i białe szorty w wieloryby. To by idealnie pasowało do jej lakieru do paznokci.

– Ja się nie denerwuję – zapewniam.

– To dobrze – odpowiada z uśmiechem. – Rozgość się tutaj i spotkamy się za pół godziny w Kręgu Nadziei.

– W Kręgu Nadziei. Dlaczego tam? – pytam.

– Bo jeśli brakuje nam nadziei, Zander, nie mamy niczego. To najlepsze miejsce, żeby zacząć. – Dotyka mojej ręki i zanim odchodzi, jeszcze raz się do mnie uśmiecha. Kiedy się odwraca, warkocz smaga ją po plecach.

– To żadna odpowiedź – mruczę, a jakiś komar brzęczy mi przed nosem. Odganiem go, ale natychmiast wraca. Drzwi zamykane od wewnątrz i tylko jeden klucz to problem w razie pożaru. Na pewno. Coś takiego jest totalnie wbrew przepisom. Może udałoby się to zgłosić i doprowadzić do zamknięcia całej imprezy, ale wtedy musiałabym wrócić do domu.

Rzucam swoją torbę. Uderza z głuchym łupnięciem o betonową podłogę. Poza tym zimnym betonem pod stopami wszystko w tym wnętrzu jest z drewna – łóżka, ściany, szafki. Siadam na gołym materacu jednego z tych łóżek i przeczesuję dłońmi włosy, odrobinę za mocno ciągnąc. Wypada mi się przy tym kilka czarnych pasem. Jakoś nie mogę się pozbyć tego nawyku, choć moje włosy robią się przez to jeszcze cieńsze, a i tak są wątłe.

– Kurczę blade – mamroczę pod nosem.

Drzwi otwierają się na oścież i z hukiem walą w drewnianą ścianę. W progu staje dziewczyna ubrana w najbardziej skąpą koszulkę na ramiączkach i najkrótsze czerwone szorty, jakie kiedykolwiek widziałam.

– Gadanie do siebie to zły znak – mówi, kreśląc palcem wskazującym kółko tuż przy skroni. Rzuca swoją torbę na łóżko. Gapię się na nią, nic na to nie poradzę. Nie ma stanika. Co za dziewczyna chodzi w cienkiej białej koszulce bez stanika? Jej ciemnobrązowa skóra prześwituje przez materiał. Całkowicie. Nawet sutki.

– Czego? – warczy na mnie.

Do tego jest chuda, takim rodzajem chudości, za jaki trafia się do szpitala. Bardziej pasowałoby do niej określenie szczapa. Sama skóra i kości.

Siada na łóżku i krzyżuje długie nogi.

– Jestem Cassie – przedstawia się, ale nie wyciąga ręki. – Wiem, to imię dla tłuściocha. – Nie czeka, aż podam swoje imię, tylko przystępuje do wywalania na łóżko zawartości swojej sportowej torby. Przyglądam się tej stercie ciuchów, wypatrując jakiegoś stanika, ale widzę jedynie żarówiastoróżowe bikini, kuse szorty i krótkie koszulki w przeróżnych kolorach. Cassie zgarnia całe naręczce tych rzeczy, mówiąc:

– Rozumiem, że już poznałaś Madison. – Wtyka je do szuflady, nie zawracając sobie głowy składaniem ich czy choćby rozdzieleniem. Po prostu upycha tam cały ten chaos. – To pieprzona debilka.

Nie przestając mówić, Cassie podnosi pustą już torbę do góry dnem. Na łóżko kaskadą sypią się opakowania tabletek.

– Zawsze mówię, że ci opiekunowie to idioci. Nawet nie klepią po kieszeniach. – Dziewczyna odkręca jedną z buteleczek. – Nie gap się. To nieładnie – dodaje.

– Przepraszam. – Spuszczam wzrok na swoje ręce.

– Jaja sobie robię. Wszyscy się gapią, zwłaszcza tutaj. – Cassie wyciąga do mnie garść pigułek, częstuje. – Odchudzające. Chcesz trochę?

Przecząco potrząsam głową.

– Nie cierpię tabletek.

– Jak sobie chcesz, ale ja na twoim miejscu trzymałabym się z dala od makaronu w stołówce. – Cassie wydyma policzki i celuje we mnie palcem. Nie potrafię się powstrzymać; muszę się sobie przyjrzeć. Nikt nie nazwałby mnie chudzielcem, ale gruba też nie jestem. Mama nigdy by do tego nie dopuściła.

Ciągnę za swoją żółtą koszulkę, żeby mnie nie opinała.

– Zapamiętam.

Wrzuca sobie tabletki do ust i połyka bez popitki.

– A więc czemu tu jesteś? – pyta.

– Co?

– Z powodu głuchoty? – Cassie udaje przejętą i powtarza głośniej, podkreślając każde słowo: – Czemu tu jesteś?

– Nie jestem głucha.

– Pewnie, że nie, kretynko. To nie ten typ obozu.

Bawię się swoją koszulką. Strącam z niej komara. Czemu tutaj jestem? Jeśli spojrzeć na tę dziewczynę naprzeciwko, to w niczym nie jesteśmy podobne. Nie powinno się mnie upychać w jednej grupie z nią. Zgniatając tego komara w palcach, odpowiadam:

– Jestem tutaj, bo rodzice mnie zapisali.

Cassie śmieje się tak głośno, że odbija się to echem w prawie pustym domku. Przez ten hałas mną telepie.

– No i jeszcze jedna.

– Jeszcze jedna?

– Pieprzona debilka, a do tego kłamczucha.

Prostuję się. Dziewczyna, która na śniadanie wcina tabletki odchudzające i nie nosi staników, nazwała mnie kłamczuchą?

– Ohoho. Czyżbym cię wkurzyła? – drażni się ze mną Cassie.

– Nie – zaprzeczam.

– Nic na to nie poradzę. Mam chorobę dwubiegunową, psychozę maniakalno-depresyjną połączoną ze skłonnością do anoreksji. Diagnoza własna. Niekiedy wydaje mi się też, że jestem chłopakiem w ciele dziewczyny. – Wstaje. – Ale przynajmniej szczerze mówię, kim jestem. Bo pamiętaj, autentyczni wariaci nie wiedzą, że zwariowali.

Pakuje tabletki z powrotem do sekretnej kieszeni w swojej torbie, którą następnie wpycha pod łóżko. Przed wyjściem zerka jeszcze na mój bagaż z wypisanym na nim imieniem.

– Zander? Tak się nazywasz? – Kręci głową. – No. Zdecydowanie wariacko. Miłego gadania do siebie, Zander.

Znika za drzwiami. Przez moment się zastanawiam, czy o ukrytej w jej torbie apteczce nie powiadomić Madison, ale coś mi mówi, że zrażenie do siebie Cassie na najbliższe pięć tygodni to nie najlepszy pomysł.

Nabieram do płuc ciężkiego powietrza i podnoszę wzrok na drewniany sufit. Wystarczyłaby jedna zapalka, by to wszystko sfajczyć, gdybym znalazła sposób na wilgotność powietrza. Tyle tylko, że spalenie domku oznaczałoby odesłanie mnie do domu i potwierdzenie słów Cassie – że jestem wariatką. A ja nie mogę być wariatką. Za bardzo uszczęśliwiłoby to moich rodziców. A jeśli chodzi o powrót do domu, nie mam ochoty tam trafić. Nie do takiego, jaki jest teraz.

Rodzice nawet nie zapytali, czy chcę tu przyjechać. Ogłosili to, kiedy kilka miesięcy temu siedzieliśmy przy kolacji. Okręcałam spaghetti wokół widelca, a oni rozmawiali o mnie, jakby mnie wcale nie było w pokoju. Tak dla ścisłości, następnego dnia czekał mnie wielki test z francuskiego i w myślach odmieniałam czasowniki w *passé composé*.

J'ai mangé

Tu as mangé

Il a mangé

Nous avons mangé

Vous avez mangé

Ils ont mangé

– Właśnie dlatego powinna pojechać – żaliła się moja mama, cały czas mówiąc o mnie tak, jakby mnie tam nie było.

Te koniugacje weszły mi już w nawyk. Na koniec roku dostałam piątkę z plusem.

– Kiedy wrócisz, to wszystko będzie już tylko wspomnieniem. Staniesz się innym człowiekiem – powiedziała mama w przeddzień mojego wyjazdu, kiedy siedzieliśmy z moim chłopakiem nad misą organicznych warzyw z dipem. Z Coopem chodziłam od dwóch lat. Naprawdę ma na imię Cooper. Nigdy mu tego nie mówiłam, ale oba warianty uważam za równie okropne. Coop pasuje do futbolisty, który gwałci dziewczyny na randkach i miażdży sobie na łbie puszki piwa. A kiedy mówiłam do niego Cooper, czułam się, jakbym przywoływała psa.

Wrzuciłam sobie do buzi marchewkę i skinęłam głową mamie. Odgłos chrupania tak bardzo odbijał mi się w uszach, że zagłuszał słowa wszystkich w pomieszczeniu.

Kiedy opróżniłam tę miskę, zabrałam Coopa do mojego pokoju i się całowaliśmy. To był gwóźdź wieczoru. Chociaż Coop niezbyt dobrze się całuje. Trochę się ślini, jak jakiś pies Cooper. Kiedy zaczynało mi się nudzić, odmieniałam czasowniki. Pocałunki i koniugacje nawet do siebie pasują. Jedno i drugie może być francuskie.

Nie. Powrót do domu nie wchodzi w grę, więc wybieram szafkę i rozpakowuję rzeczy. Dzielę je na koszulki, spodnie i bieliznę, w tym stertę staników spakowanych mi przez mamę. W dniu wyjazdu postawiła torbę w nogach mojego łóżka i powiedziała:

– Masz. Skończone.

Po francusku mogłoby być *fini*.

Szkoda, że nie wymówiła tych słów lata temu, ale moja mama nie z tych, co rezygnują z kontroli.

Wybieram dolne łóżko z myślą, że tak łatwiej byłoby mi się wydostać, gdyby domek się palił i gdybym zdołała pokonać te zamknięte drzwi. Wyciągam z torby pościel, łącznie z kołdrą, którą spakowała mi mama, ale czuję się słabo. Wraca zmęczenie, zupełnie jakby przyciąganie ziemskie podwoiło siłę, a moje kolana gotowe były mu ulec. Mimo to zmuszam się do zaścielenia łóżka. Pamiętam nawet o podwinięciu prześcieradła pod materac, tak jak nauczyła mnie mama.

Po wszystkim przyglądam się swojemu zgrabnemu dziełu. Prosto do ucha brzęczy mi komar, zderzam więc dłonie, usiłując go zabić, ale nie trafiam. Chwilę później jest już z powrotem.

– Skubany. – Potrząsam głową, żeby się pozbierać. A łóżko wciąż wgapia się we mnie. Tak, jakby miało oczy, ciało i pod tą pościelą płuca, usilnie pragnące odetchnąć. Zabiegające o to i przegrywające. Bo przecież w końcu wszyscy przegrywamy. Każdy kiedyś opada na dno, choćby nie wiadomo ile razy ktoś wyciągał nas na powierzchnię.

Kiedy już nie mogę wytrzymać przypatrywania się pięknie zaścielonemu łóżku, wszystko na nim rozwalam. Wyszarpuję prześcieradło spod materaca, a cienką kołdrę w pastelowe kwiaty wpycham z powrotem do torby. Nie dbam o jej przykładowe złożenie, chcę tylko, by zniknęła mi z oczu. Siadam na łóżku, bez tchu, i ciężko walczę o każdy haust powietrza.

Wolę co noc marznąć, niż spać pod czymś takim.

– *Finis* – mówię. Cholera. Znowu gadam do siebie. Rozglądam się, czy nikt mnie nie widzi. Jestem jednak sama. Rodzina została kawał drogi stąd, w Arizonie, a ja tkwię w samym środku Michigan. Strasznie bym chciała, żeby ten fakt mnie martwił, ale to byłoby doszukiwanie się we mnie czegoś, co nie

istnieje. Jak by nie grzebać, nic nie znajdę. Już taka jestem pusta.

Wychodzę z tego domku na wilgoć i duchotę, niepewna, co mam zrobić. Jasne jest tylko jedno. Lepiej, żebym przestała gadać do siebie, bo ludzie tutaj źle to odczytają.

ROZDZIAŁ 2

Kochana Mamo i Prezydencie Cleveland,

prawdopodobieństwo odnalezienia miłości wynosi jeden do dwustu osiemdziesięciu pięciu tysięcy, natomiast szanse na zawarcie związku małżeńskiego to osiemdziesiąt procent. Widzę w tym pewną rozbieżność.

*Wasz syn
Grover Cleveland*

Rodzice kilka miesięcy temu powiadomili mnie, gdzie dokładnie spędzę to lato. Ojciec pokazał mi wnętrze dłoni i wycelowował blisko jej środka.

– To dokładnie tutaj, Zander. Tu właśnie znajduje się ten obóz – oznajmił. – Łapiesz? Michigan ma kształt rękawicy.

Nie zareagowałam, więc mama dodała:

– W Arizonie i tak jest latem beznadziejnie. Milion stopni ciepła. Będziesz zadowolona, że cię tu nie ma. – Spojrzała na tatę, ciasno zaciskając cienkie wargi. – Mimo że to może niewskazane, żeby wywozić cię na drugi koniec świata bez opieki rodziców.

– Już to uzgodniliśmy, więc nie przesadzaj, Nino. Ten obóz nie leży przecież w Indiach – odparł tata.

Rodzice spierali się o to przy kolacji, a ja przyglądałam się musze zmagającej się z pajęczyną. Świetnie rozumiałam tego owada. Jakkolwiek by się nie ruszył, i tak utknie w sieci. Po co ta cała walka? Kończy się tylko jeszcze większym uwikłaniem.

– Camp Padua dzieli się na siedem odrębnych sektorów. Kwatery chłopaków, kwatery dziewczyn, stołówka, kąpielisko, tory łucznicze, stajnie i przede wszystkim Krąg Nadziei. – To Madison oprowadzała mnie, jak tylko przyjechałam. Przeszła ze mną przez cały obóz, pokazując, co gdzie jest. –

Masa opcji. Tego lata zapowiada się kupa zabawy. Nie zawsze... – Umilkła i spojrzała na mnie. – Ale do rzeczy. Na co się piszesz?

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

– Wiesz, co cię kręci? – spytała ponownie Madison z uśmiechem.

Nie odpowiedziałam i Madison po jakimś czasie przestała na to liczyć. Prawda jest taka, że mnie nic nie kręci. Tak jest w życiu lepiej.

– Dziewczyny muszą się trzymać swoich kwater, a chłopaki swoich. Latem pewnie potrzebne jest trochę frajdy, ale nie chcielibyśmy z tym przesadzać – oświadczyła Madison, szturchając mnie w bok.

– Mam już chłopaka – odpowiedziałam.

Madison się ożywiła.

– Naprawdę? To świetnie. Pamiętam swojego chłopaka z liceum. Pierwsza miłość jest taka ekscytująca.

– My się nie kochamy – odparłam. – Po prostu lubi moje cycki.

Na tym zamknęłyśmy temat.

Pokazała mi stołówkę i ścieżki prowadzące do stajni. Na koniec zaliczyłyśmy tory łucznicze i ten cały Krąg Nadziei, który wszędzie indziej byłby miejscem na ognisko. Potem zabrała mnie nad wodę.

– Tu mamy jezioro Kimball. Wszystkim obozowiczom zalecamy, żeby do niego nie wchodzili, dopóki nie urządzimy sprawdzianów pływackich. Nie chcemy żadnych wypadków. – Madison przyjrzała mi się. – I pamiętaj o kremie z filtrem. Jesteś taka jak ja. Wystarczy pięć minut na słońcu i już schodzi z ciebie skóra.

Kiwnęłam głową. Mama lubi myśleć, że wdałam się w nią, rdzenną Amerykankę, o czym świadczą moje czarne głosy i migdałowe oczy, cera jednak dowodzi czegoś innego. Tu Madison ma rację. Po dłuższym przebywaniu na słońcu robię się jasnoczerwona. To pamiątka po tacie. Co do reszty jednak całkiem się myli. W niczym jej nie przypominam.

Na samą myśl o zimnej wodzie temperatura mojego ciała spada. Może i ten obóz nie jest w Indiach, ale wilgotność powietrza tego nie potwierdza. Akurat teraz włosy kleją mi się do karku i czuję, jak po plecach spływa mi pot.

Do Kręgu Nadziei idę okrężną drogą, żeby zajrzeć nad jezioro. Cały teren Camp Padua usiany jest drzewami. Tata, kiedy mnie tu przywiózł, zwrócił uwagę na to, jak tutaj zielono. Ledwie przejechaliśmy bramę obozu, powiedział:

– Wszystko tutaj jest takie pełne życia.

Skinęłam głową, ale nic nie powiedziałam. Za bardzo byłam skupiona na wysokim płocie z drutu, otaczającym ten ośrodek. Przez oka w siatce przeciskały się zielone gałązki drzew i krzaków.

Kiedy zapytałam, po co to ogrodzenie wokół obozu, tata odpowiedział:

– Żeby mieć pewność, że wszyscy tutaj czują się bezpiecznie.

– Bezpiecznie – powtórzyłam cicho. Oboje wiemy, że mimo najusilniejszych starań nie sposób zagwarantować komuś bezpieczeństwa. Nawet jeśli wyśle się go na lato do Michigan.

Schody na plażę biegną tuż obok ogromnej drewnianej stołówki, oddzielającej część terenu przeznaczoną dla dziewczyn od tej dla chłopaków. Na jeziorze nie widać ani jednej zmarszczki. Ścieram z policzka kroplę potu.

Większość obozowiczów jeszcze nie rozstała się z rodzicami – ciągle trwają pożegnania. Mój tata dał w długą zaraz po zgłoszeniu mnie w biurze przyjęć.

– Jeśli mam zdążyć na samolot, muszę już wracać na lotnisko – powiedział i pocałował mnie w policzek.

Nie miałam żalu. Czy pożegnanie jest długie czy krótkie, wychodzi na to samo. Nad jeziorem ściągam swoje stare, sfatygowane tenisówki i skarpety i zanurzam nogi w wodzie. Piasek przeciska mi się między palcami stóp niczym błoto, tyle że jest zimny. Przechodzi mnie dreszcz, od stóp i nóg,

wzdłuż pleców aż po czubek głowy, i prawie natychmiast przestaję się pocić.

Wchodzę głębiej, tak że tafla jeziora sięga mi po kolana. Nie widzę dna i swoich stóp, woda jest zbyt mętna i pełna wodorostów. Można by się w nich zaszyć i całkiem... zniknąć.

Zamykam oczy i wyobrażam sobie, jakby to było pogrążyć się w warstwach zimnego mułu, aż opadnie się na samo dno. Jakby się tonęło w jednym z gęstych koktajli szpinakowych mojej mamy. Gdy robię kolejny krok, kolana uginają się jeszcze bardziej. Pod stopami mam nicość – olbrzymią połąć pustki, w której można się po prostu pogrążyć. Presja odczuwania czegoś, a potem nieodczuwanie niczego nie istnieją. Jest tylko ciemność. Znam to miejsce. Już tam byłam.

– Hej, ty tam! – ryczy ktoś u szczytu schodów. Gwałtownie się odwracam, zaskoczona. Opiekun z blond włosami do ramion stoi jak strażnik więzienny, z rękami na biodrach. – Pierwszego dnia obozowiczom jeszcze nie wolno wchodzić do wody.

– Przepraszam – mówię, wciągając skarpety na mokre stopy.

– Udaj się, proszę, do Kręgu Nadziei. – Przed odejściem macha ręką w kierunku ogniska.

Kiedy tam dochodzę, obok Madison stoi Cassie. Wyjmuje z ust duży kawałek różowej gumy balonowej i obraca go w palcach. Widząc, że patrzę, owija go wokół środkowego palca i się uśmiecha. To nie jest autentyczny uśmiech. Bardziej ostrzeżenie, schowane pod gumą o smaku waty cukrowej.

– Tutaj, Zander – wyje do mnie Madison. – Zander, to jest Katie, Hannah, a to Dori. Cassie mówi, że już się poznałyście.

Cassie celuje długim, chudym palcem w dziewczynę o włosach barwy mysiej blond i orzechowych oczach.

– Ta oto Katie jest z tych, co się opychają, a potem rzygają.

– Cassie – warczy Madison.

– No co? – Cassie odpowiada hardym spojrzeniem i chwyta Katie za rękę. – Widzicie jej paluchy do pawia? Skóra jest prawie całkiem zdarta od wpychania ich w głąb gardła. Na zaburzeniach odżywiania to ja się znam.

Katie wzrusza ramionami i mówi:

– Ona ma rację.

– Widzicie? Powinnam robić tu za opiekunkę. – Cassie znów patrzy na mnie. – Hannah się tnie. Patrzcie, jakie ma długie rękawy, choć to pieprzony środek lata. Założę się, że te tłuste graby od góry do dołu są pociachane.

Hannah krzyżuje ręce, rzeczywiście osłonięte rękawami granatowej koszuli.

– Nie jestem gruba – prostuje, ale słowom o cięciu nie zaprzecza.

– A Dori ma depresję, co już staje się nudne. Wszystkim nastolatkom dokuczają deprecha. To ona najlepiej nam wychodzi.

– Myślę, że już wystarczy. – Madison kładzie dłoń na ramieniu Cassie, ta jednak ją strząsa. Kieruje wzrok na mnie i informuje grupę:

– A Zander jest tutaj, ponieważ rodzice ją zapisali. – Przekrzywia głowę i cała czwórka dziewczyn parska śmiechem. – Ale ja ją przyłapałam na gadaniu do siebie, więc nie wykluczam zwielokrotnionej osobowości.

– Nie mam zwielokrotnionej osobowości – zaprzeczam.

– Schizofrenia? – pyta Hannah. Jej ciemnobrązowe oczy skupiają się na mnie, jakbym była szczurem laboratoryjnym.

– Nie. – Patrzę ze złością na Cassie.

– Dziewczęta, już dosyć. – Madison staje za mną i kładzie mi na ramionach obie ręce. Znów rzuca mi się w oczy jej nienaganny lakier na paznokciach. Niepotrzebnie przyszła mi z pomocą. Ja nikogo nie potrzebuję. Gdyby mnie kto pytał, chciałabym tylko, żeby wszystko i wszyscy zniknęli i dali mi spokój.

Wzruszeniem ramion zrzucam dłonie Madison i przenoszę się w inne miejsce kręgu. Do tamtej grupy nie pasuję. Nie lubię widoku krwi, nie mówiąc już o zadawaniu sobie bólu, a zmuszanie się do wymiotów? Nie znoszę tego,

jak rzygam, a drobiny jedzenia trafiają mi do nosa. Czemu ktoś miałby ochotę robić to celowo?

Przesuwam się przez morze słończonych tu obozowiczów, usiłując znaleźć miejsce, gdzie mogłabym być sama, z dala od wszystkich. Możliwe, że rodzicom nie chodziło o to, żebym się tego lata izolowała, ale nigdy nie zapytali mnie, czego ja chcę. Gdyby to zrobili, można by było tego wszystkiego uniknąć. Nie musiałabym tkwić tutaj razem z prawie półsetką młodzieży, otoczona przez tabun opiekunów i innego personelu. Do tego bez szans na ucieczkę. W potrzasku.

Kiedy jakiś starszy facet w takiej samej koszulce Camp Padua jak Madison staje na ławce i trzy razy klaszcze w ręce, krąg nieruchomieje i cichnie. Ja sama zastygam w bezruchu.

– Jedynym sposobem na odnalezienie się... – krzyczy.

– ...jest przyznanie, że się zgubiliśmy – dopowiada chórem reszta opiekunów.

– Witajcie w Camp Padua – kontynuuje pośród ciszy tamten. Brązowe włosy bezładnie spadają mu na czoło, utyka je więc za uszami, zanim pociągnie dalej temat. Wygląda na starszego od Madison, ale młodszego od moich rodziców. Ma może trzydzieści kilka lat i na swój sposób jest przystojny, urodą prezesa jakiegoś studenckiego bractwa. – Jestem Kerry, właściciel Camp Padua. Chcę was tu wszystkich dzisiaj powitać. – Kiedy się uśmiecha, wygląda jeszcze korzystniej. – Założyłem ten obóz przeszło dziesięć lat temu w nadziei, że będę pomagał takim jak wy nastolatkom przechodzić przez trudny wiek. Miło widzieć zarówno znajome twarze, jak i te nowe. Jeżeli będziecie czegoś potrzebowali, bez wahania przychodźcie do mnie, żeby porozmawiać. Celem tego lata jest otwarcie się, uwolnienie i powrót do waszego prawdziwego ja. Każdy z opiekunów przeszedł rygorystyczne szkolenie, przygotowujące go do tego, aby pomagać wam podczas pobytu

w obozie. Chcemy, żebyście mieli fajne lato. A żeby było fajne, będziecie musieli przestrzegać zasad optymalnego bezpieczeństwa.

Kiedy Kerry zaczyna je wyliczać, zalewa mnie fala zmęczenia. W nogi i kręgosłup wkłada się odrętwienie, przez chwilę mam nawet wrażenie, że zasnę na stojąco. To najwspanialsze uczucie, jakiego tego dnia doznałam, czyste zapadanie się w otępienie. Gdy dochodzi do zakazu trzymania w domkach jedzenia, omal nie podnoszę ręki, żeby zapytać, czy wcinanie tabletek odchudzających jak cukierków liczy się jako odżywianie, ale taki ruch wymagałby wysiłku. Zamiast tego patrzę więc w ziemię, grzebię w niej butem i powtarzam koniugacje.

J'ai fini

Tu as fini

Il a fini

– Zasada numer cztery: jeżeli bierzecie jakieś leki, musicie to kontynuować też na obozie. Pani pielęgniarka będzie wydawać wszystkie tabletki w centrum medycznym w godzinach porannych i wieczornych. Zawsze też możecie się do niej zgłosić, jeśli odczujecie zmianę nastroju lub najdzie was obawa, że możecie sobie zrobić krzywdę.

Nous avons fini

Vous avez fini

– Jak tak się słucha tego gościa, można by pomyśleć, że to obóz dla wariatów. – Podnoszę wzrok na stojącego obok mnie chłopaka. Ma jakieś sto tysięcy metrów wzrostu. Żeby na niego patrzeć, muszę osłaniać oczy przed słońcem.

– Ja nie myślę, że to miejsce dla wariatów. Ja to wiem – mówię szeptem.

– „Dla młodzieży niestabilnej psychicznie lub emocjonalnie”, zdaje się, że tak to sformułowano w folderze. Niestabilny emocjonalnie jest praktycznie każdy nastolatek, a przynajmniej chłopcy. Ja myślę o seksie ze sto razy

dziennie. I to zdecydowanie świadczy o niestabilności emocjonalnej. Fizycznej zresztą też. – Chłopak zerka na swoje krocze.

– Aż tyle myślisz o seksie?

– Tak.

Znów patrzę na Kerry'ego. Nie wiem, co miałabym powiedzieć temu chłopakowi. Już zaczął rozmowę o seksie, a jeszcze nawet nie wiem, jak mu na imię.

– I o jedzeniu – szepcze chłopak.

– Co?

– O jedzeniu. Chłopcy dużo też myślą o jedzeniu. – Nachyla mi się do ucha.
– Na wypadek, gdyby cię to ciekawiło.

Kiwam głową, nie bardzo wiedząc, dokąd to zmierza.

– Mam ci teraz powiedzieć, o czym myślą dziewczyny?

– Nie. Wtedy będę musiał się nad tym zastanawiać, a już jestem zajęty rozmyślaniami o jedzeniu i seksie. Myślenie ma swoje granice. – Stuka się w skroń. – Nie chcę ich rozszerzać. Niestabilność emocjonalna, wiesz przecież.

– Racja – odpowiadam i wracam do wgapienia się w ziemię. Co kilka sekund jednak podnoszę na niego wzrok. Jest chudy i pod każdym względem długi, i na studiach pewnie nabierze odpowiedniej wagi, ale teraz jeszcze przemiana materii następuje u niego tak szybko, że pewnie nie może nadążyć z jedzeniem. Brązowe włosy spadają mu na niebiesko-brązowe oczy za duże do jego twarzy, co nadaje mu wygląd postaci z kreskówki, chociaż nie księcia. Prędzej szalonego pomagiera.

– Zasada numer dziesięć – ogłasza Kerry prawie krzykiem. – Chłopcy śpią w kwaterach dla chłopców. Dziewczęta w kwaterach dla dziewcząt.

Chłopak obok mnie podnosi rękę, żeby zadać pytanie.

– A co z dziewczynami, które przypuszczają, że są chłopcami? Gdzie ona

śpią?

Kerry krzyżuje ręce na piersi.

– W kwaterach dla dziewcząt.

– Chciałem się tylko upewnić. – Chłopak odpowiada Kerry'emu kiwnięciem głową i uśmiecha się do mnie. Żołądek mi się ściska, zupełnie jak po dwudziestu pięciu brzuszkach na sali gimnastycznej. Dziwi mnie to uczucie.

– Tak przy okazji, jestem Grover – szepcze chłopak. – Grover Cleveland.

ROZDZIAŁ 3

Cher Papa,

J'ai été enlevé par des étrangers. S'il te plaît, envoie de l'aide.

Cordialement ¹

Alex Trebek

Kerry tłumaczy nam, że codziennie będziemy wybierać z wachlarza różnych możliwości spędzenia czasu, od działań artystycznych i rękodzieła po jazdę konną, ale im dłużej mówi, tym trudniej jest mi się skoncentrować na czymś innym niż stojący obok mnie chłopak.

– To wy określacie swoje ścieżki – tłumaczy Kerry. – Opiekunowie są po to, by was prowadzić, ale jesteście już wystarczająco dorośli, żeby samodzielnie podejmować decyzje. Jedyńm, czego codziennie wymagamy, to udział w sesji terapii grupowej w waszych domkach. – Kończy przemowę i informuje nas, że za godzinę będzie kolacja. Choć słońce świeci mi w oczy, wpatruję się w tego kolesia obok.

– Grover Cleveland? Jak ten prezydent? – pytam.

Grover kiwa głową i sięga do tylnej kieszeni. Wyciąga notesik i długopis.

– A ty jesteś?

Odsuwam się o krok od niego i przelatuję w myślach listę zaburzeń, jakimi sypnęła Cassie.

– Czy ci się zdaje, że jesteś Groverem Clevelandem, czy to twoje prawdziwe dane?

– Kluczowa jest tu właśnie kwestia prawdziwości. Ty jesteś prawdziwa?

– Tak, jestem prawdziwa.

Grover stuka się długopisem w brodę i potrząsa głową.

– Ale nawet gdybyś była urojeniem, i tak byś twierdziła, że jesteś prawdziwa, żebym tak właśnie myślał. Wypytywanie więc nic mi nie da.

– Słucham?

– Próbuję ustalić, czy jesteś prawdziwa.

– Właśnie ci powiedziałam, że jestem.

– To niczego nie dowodzi. Nadepnij mi na nogę.

– Co? – pytam.

– Nadepnij mi na nogę.

– Nie mam zamiaru cię deptać.

Grover stuka językiem o podniebienie.

– Cholera, jesteś urojeniem.

– Nie jestem urojeniem.

– To czemu nie nadepniesz mi na nogę?

– Bo sprawiłoby ci to ból.

– Fizyczny, możliwe, ale by się zagoiło. Natomiast zranisz mnie bezgranicznie, jeśli okażesz się urojeniem – odpowiada Grover. Wysuwa przed siebie stopę. – Śmiało, wytrzymam.

– Nie mam zamiaru cię deptać – powtarzam głośniej. – A ty nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Czy uważasz się za Grovera Clevelanda, czy jesteś Groverem Clevelandem?

– Jestem Groverem Clevelandem.

– Prezydentem?

– W praktyce tak.

Chowam twarz w dłoniach.

– O Boże.

– Nie, Grover. – Zaczyna coś pisać na kartce.

– Co robisz? – Zerkam przez palce i całkiem się prostuję, żeby zobaczyć, co ma w notesie.

– Notatki.

– Na jaki temat?

– O tobie. – Grover długo mi się przygląda i wraca do pisania. – Czarne włosy. Oczy piwne. Wygląda na jakieś szesnaście lat. Skąd jesteś?

– Z Arizony.

– Dziwne. Nie znam nikogo z Arizony – mówi, wciąż pisząc.

– Co w tym dziwnego?

– To po prostu interesujące, że moja pierwsza halucynacja jest z Arizony.

– Nie jestem halucynacją – oświadczam z jeszcze większym naciskiem.

Grover szczyrzy się i nie przerywając notowania, mówi:

– Miły uśmiech.

– Uważasz, że mam miły uśmiech?

– Jeszcze tego nie wiem. Dotąd się nie uśmiechałaś. To hipoteza. Planuję przeprowadzenie licznych eksperymentów, żeby sprawdzić, czy tak jest faktycznie. – Zapisuje w swoim notesie jeszcze kilka rzeczy. – Wiedziałaś, że prawdopodobieństwo posiadania autentycznie zielonych oczu wynosi jeden do pięćdziesięciu?

– Co?

– To fakt. – Grover wkłada długopis do ust. – Cholernie byłoby szkoda, gdybyś się okazała nieprawdziwa.

Policzki mnie palą i wbijam wzrok w ziemię.

– Już ci mówiłam. Jestem prawdziwa.

– Ktoś musi rozstrzygnąć ten spór. Chodź. – Grover łapie mnie za rękę i ciągnie pod słupek z piłką na uwięzi tuż koło stołówki. Kółeczko gapiów patrzy, jak Cassie kopie w piłkę przyczepioną sznurem do słupka. Z wrednym uśmiechem raz po raz wali nią w głowę jakiegoś chłopaczka, nie więcej niż trzynastoletniego.

– Leżysz i kwiczysz, pierdoło! – krzyczy, kiedy wygrywa. Koleś, z którym

grała, odbiega z płaczem.

– Hej, Patyczak! – woła Grover. – Musisz mi pomóc.

– Rewelacja. – Wyrywam się Groverowi, bo już nadchodzi Cassie, a jej nieskrępowane stanikiem cycki podskakują pod koszulką.

– Co jest, Cleve?

– Wy się znacie? – pytam.

Cassie przewraca oczami i nie odpowiada.

– W czym mam ci pomóc?

Grover się uśmiecha i wskazuje mnie palcem.

– Widzisz ją?

– Niestety tak. – Cassie wypycha biodro do przodu. – Zander naprawdę istnieje, Cleve.

– Zander? Jest więc prawdziwa i ma imię. Miło mi cię poznać, Zander. – Wyciąga do mnie dłoń.

Przyglądam się jej, bo jeszcze nie wiem, czy rzeczywiście chcę poznać kogoś z tego obozu. Kiedy tak rozważam podanie mu ręki, ucisk w żołądku powraca. Jest niepożądany i niemiły, więc pozbywam się go głębszym wdechem, a do Grovera tylko macham. Raz.

– Skoro więc ustaliliśmy, że jesteś prawdziwa... – Grover kołysze się na piętach, wpatrzony w swoją wciąż pustą dłoń, a potem ją opuszcza. – Co cię sprowadza w ten piękny zakątek Michigan, Zander?

Cassie wybucha śmiechem.

– Zander jest tutaj, bo „rodzice ją zapisali”.

Grover zakręca długopis.

– Interesujące.

– Nie zanotujesz tego w swojej książeczce? – pytam.

– Zapisuję tylko rzeczy na tyle ważne, żeby nigdy o nich nie zapomnieć.

– A więc chodzisz z notesem, żeby nie zapomnieć?

– Nie – zaprzecza Grover. – Żeby sobie przypominać.

– Co przypominać? – pytam.

Obrzuca wzrokiem obóz i zaciąga się tak, jakby wachał kwiaty.

– Jak było dawniej.

Cassie staje obok Grovera. Wreszcie sprawia wrażenie, jakby się czymś przejęła.

– Cleve to PW.

– PW? – dociekam.

– Przyszły Wariat – odpowiada Grover, chowając notes w tylnej kieszeni. – Kiedyś mnie to czeka.

– Skąd wiesz?

– Mój tata rozmawia z nieżyjącymi prezydentami.

– I oni mu powiedzieli? – pytam.

Grover odrzuca głowę do tyłu i wybucha śmiechem.

– Jedni dziedziczą po rodzicach zielone oczy. Inni schizofrenię. Jak widać, nie dostały mi się zielone oczy.

– A więc to imię...

– Mój ojciec darzy ogromną miłością dawnych prezydentów. I miał to szczęście, że nasze nazwisko pasuje.

– Ale przecież z tobą jest wszystko w porządku? Co więc tutaj robisz?

Grover kieruje na mnie te swoje wielkie niebiesko-brązowe, kreskówkowe oczy.

– Niektórym wystarcza czekanie na to, co nieuchronne. Ja nigdy nie lubiłem czekać. Jak to jest z tobą, Zander?

Przełykam gulę, która nagle rodzi mi się w gardle. *Fini*. Skończone. Kres to zawsze kres, kiedy by nie nadszedł. Czekanie tylko przysparza bólu. Luźny kosmyk łaskocze mnie w kark, trę więc sobie tam skórę odrobinę za mocno.

– Nienawidzę czekać – przyznaję.

– Człowiek się tylko bardziej broni. – Oczy Grovera jeszcze chwilę się mocno we mnie wpatrują, a potem chłopak chowa ręce w kieszeniach. – Jeśli czeka mnie taka przyszłość, równie dobrze mogę już teraz zacząć się z nią oswajać. Mój tata był PW do czasów studiów i pewnych zajęć z historii, kiedy to w drzwiach pojawił się Teddy Roosevelt. Zakładam, że jeśli mi szczęście dopisze, mam jeszcze przed sobą kilka dobrych lat.

– Skąd się znacie z Cassie?

Grover obejmuje ją za szyję.

– Patyczak i ja przyjeżdżamy tu od ósmej klasy. – Uśmiecha się do Cassie i szepcze jej coś do ucha tak cicho, że nic nie słyszę. Poklepuje przednią kieszeń swoich džinsów.

– O co chodzi? – pytam.

– Nie twoja sprawa. – Cassie patrzy na mnie złym wzrokiem. – W imię obozowej przyjaźni, Cleve, powinnam cię ostrzec. Zander fatalnie robi laskę.

Grover sięga po swój notes, ale go powstrzymuję.

– Wcale nie. I nie zapisuj tego!

Śmieje się.

– Zamierzałem jedynie zapisać, że Zander wygląda słodko, kiedy się rumieni.

Łapię się za policzki.

– Wcale się nie rumienię.

– Ale przyznajesz, że już robiłaś laskę? – naciska Cassie.

Piorunuję ją wzrokiem.

– Mam chłopaka.

– A to pech – mówi Grover.

– Ma na imię Coop.

– Podwójny pech. Nie mów, że gra w futbol.

– Gra – potwierdzam.

– Chcesz powiedzieć, że nie powinienem robić sobie nadziei?

Wpatruję się w rozszerzone oczy Grovera. Obserwują, jak na niego patrzę. Przez to, że odbija się w nich słońce, wyglądają, jakby zaraz miały popłynąć z nich łzy.

– Zakneblujcie mnie – mówi Cassie, gdy nagle słychać dźwięk dzwonu. Mną aż rzuca.

– Po co? Przecież sama świetnie sobie radzisz – odpowiada Cassie Grover, wskazując na jej za chude ciało. – Daj spokój. Mój niestabilny emocjonalnie mózg domaga się pożywienia. Chodźmy coś zjeść. – Rusza w stronę stołówki. Cassie tuż za nim. Ja wciąż stoję i może dlatego komar gryzie mnie w nogę. Odganiem go i drapię się w to miejsce. Grover ogląda się przez ramię z uśmiechem. Na co czekam?

Jeśli mam się męczyć z tymi owadami jeszcze przez pięć tygodni, warto będzie pożyczyć jakiś sprej.

* * *

W stołówce odstajemy swoje w kolejce, a potem łapię za owinięte w serwetkę sztucze i plastikową tacę. Jedzenie wyłożono na długim stole, jak w bufecie, pozostaje mi więc dokonać wyboru. Uwzględniono wszelkie typy żywności żółtej – łącznie z makaronem, frytkami, białym pieczywem i syropem kukurydzianym o wysokiej zawartości fruktozy. Moja mama byłaby wstrząśnięta. Coop, ilekroć przyjdzie do mnie do domu, żali się, że u nas nigdy nie ma co jeść. Mama uwielbia to prostować. „Jedzenia w tym domu nie brakuje. Rzecz w tym, że ty przywykłeś do tego śmieciowego”. Potem proponuje mi miskę winogron lub batonik muesli.

Odpuszczam sobie żółte i kieruję się do baru sałatkowego na samym końcu stołów. Napęlam talerz jak największą liczbą kolorów tęczy – zieleniną, żółtą papryką, czerwonymi pomidorami i czarnymi oliwkami, a zamiast sosu

do sałatki biorę łyżkę twarożku. Nawet biorę wodę, rezygnując z mleka, żeby się nawodnić.

Kiedy mijam kosz jabłek, stopy odmawiają mi posłuszeństwa. Wpatrzona w stos owoców, podnoszę jedno jabłko i przysuwam je do twarzy. Jego gładka powierzchnia tak połyskuje w przyćmionym żółtawym świetle stołówki, że czerwona skórka wygląda bardzo apetycznie. Ma właściwości odżywcze, przez chwilę więc rozważam dodanie go do swojej tacy.

– Zastanawiasz się, czy nie zjeść zakazanego owocu? – pyta zza moich pleców Grover.

Nie odrywam wzroku od jabłka.

– U nas w domu się ich nie je.

– Alergia?

– Nie.

– Czyli ogólna niechęć?

Nie mogę się przemóc, chociaż zjedzenie jabłka mogłoby mi dobrze zrobić. Odkładam je. Za nami zrobiła się już kolejka.

– Coś w ten deseń – przyznaję i biorę bułkę pełnoziarnistą. Bez masła.

Siadamy z Cassie i Groverem przy wolnym stole. Podczas gdy na jego tacy piętrzy się makaron z serem i paluszki z kurczaka, Cassie wystarcza mizerna porcja sałaty lodowej i pięć marchewczek.

– Ta sałata nie ma wartości odżywczej. – Wskazuję jej tacę. – To praktycznie sama woda.

– A wyglądam ci na zainteresowaną wartościami odżywczymi? – Cassie odrywa liść sałaty i wpycha go sobie do ust.

– Raczej nie – przyznaję i przystępuję do łamania mojej bułki na trzy części. Kiedy byłam mała, mama nauczyła mnie, że to grzecznie podzielić coś na trzy kawałki. Nie bardzo rozumiem, co takiego niegrzecznego byłoby w dwóch lub siedmiu, czy na przykład w trzech milionach, ale mama stanowczo obstaje przy

zasadach savoir-vivre'u i wszystkim, co liściaste i zielone. Trzyma się tego jak jakiejś kamizelki ratunkowej, która miałaby uchronić ją przed utonięciem, choć przecież łamanie kromki na trzy części nikogo nie uratuje. A jeśli za mocno się czegoś trzymamy, to coś zmarnieje nam w rękach.

Znów zerkam na tamten kosz pełen jabłek. Ale nawet mama byłaby ze mnie zadowolona, że zostawiłam go w spokoju.

– Zander – mówi Grover.

– Co takiego?

– Masz nadzieję, że te okruszki doprowadzą cię do domu? – Z uśmiechem wskazuje moje ręce. Podziubałam swoją bułkę na mnóstwo kawałeczków i zasypałam nimi stół. Czym prędzej je zbieram i odkładam na tacę.

Nie patrząc na Grovera, odpowiadam:

– Nie spieszy mi się do domu.

Kiedy już wszyscy przewinęli się wokół stołów z jedzeniem, na przód stołówki wychodzi Kerry i zarządza ciszę.

– Tradycją tego obozu jest to, że przed posiłkiem modlimy się do świętego Antoniego Padewskiego, patrona rzeczy zagubionych. Poświęćmy chwilę i pochylmy głowy.

Zamiast go posłuchać, rozglądam się po sali. Głowy opuścili wszyscy opiekunowie. Kiedy Cassie łapie za nóż i udaje, że podrzyna sobie gardło, parskam cichym śmiechem. Nie mogę się powstrzymać.

– Modlimy się do świętego Antoniego Padewskiego o trzy sprawy. O odnalezienie drogi przez zagubionych. O uwolnienie duszy. O życie wieczne.

– I żebym się z kimś przespał – dodaje Grover. Kerry podnosi wzrok, z oburzeniem. – Czyż to nie patron rzeczy straconych? Ja nie mogę się doczekać straty dziewictwa.

– Proszę traktować to poważnie – mówi Kerry.

– Jestem poważny, możesz wierzyć. – Grover kreśli na sercu znak krzyża.

– Jedźmy. – Kerry kręci głową i idzie usiąść przy tym samym stole, co reszta opiekunów.

– To było niezłe, Cleve – odzywa się Cassie, biorąc kolejny kęs sałaty.

– Nic na to nie poradzę. To przez tę niestabilność emocjonalną. Na usta same cisną mi się rzeczy, które powinny. Choćby to, że Zander ma piękne oczy.

– Grover odkłada widelec i patrzy na mnie. Tak naprawdę patrzy, unosząc kącik ust.

– Są po prostu brązowe. Mnóstwo ludzi ma brązowe oczy.

– Dokładnie co druga osoba.

Cassie jęczy.

– Z nią niczego nie stracisz. Już powiedziała, że ma chłopaka. Najwyżej może zjeść cię chcica.

Grover nie odrywa ode mnie wzroku.

– Ktoś mówił coś o chcicy? – Mruga do mnie. Wbijam oczy w talerz zasłany okruszkami, a policzki mnie palą. Przy Coopie się nie rumienię. Wystarczają francuskie koniugacje i to mi pasuje.

Zerkam na Grovera, skrzępowana tym, że między nami jest tak niewiele miejsca, a tu nagle ktoś siada koło mnie. Mały i gruby blondasek z prostą grzywką dyszy ciężko, wpatrując się we mnie wielkimi oczami.

– Oni próbują mnie zabić – oznajmia.

– Kto? – pytam.

– Opiekunowie.

– Dlaczego? – Grover przechyla się do niego przez stół, zaintrygowany.

Chłopak błędnym wzrokiem rozgląda się po sali. Siada wygodniej.

– No dobra, nie próbują mnie zabić, ale słyszałem, że nocami przeprowadzają tajemne eksperymenty na obozowiczach.

– Naprawdę? – pytam.

Grubasek kiwa głową.

– To dlatego nas zamykają. – Szturcha mnie w ramię i wybucha śmiechem. – Żartowałem.

– Jak ci na imię, kolego? – Grover wyciąga swój notes.

– Tim. – Chłopak porywa z mojej tacy kawałek chleba i pakuje sobie do ust.

– Miło cię poznać, Tim. – Grover wyciąga do niego rękę. – Skoro panie cię widzą, zakładam, że jesteś prawdziwy. Jak więc tutaj trafiłeś?

– Zabiłem kogoś – odpowiada Tim z pełnymi ustami, potrząsając ręką Grovera. – A w sumie, to jestem Pete.

– I kogo zabiłeś, Pete? – docieka Grover.

Pete sięga po moją wodę i bierze łyk.

– Znowu żartowałem. I tak naprawdę to jestem George.

– Okej, George. – Grover coś sobie notuje. – Niech zgadnę... – Przykłada długopis do warg. – Patologiczny kłamca?

– Nie jestem patologicznym kłamcą. – Chłopak odchyła się na krześle, ściąga brwi i potrząsa głową. – No dobra. Może jestem, ale to też może być kłamstwo.

Piorunuję go wzrokiem, całkiem skołowana.

– To jak się naprawdę nazywasz?

Tim/Pete/George patrzy mi prosto w oczy. Wygląda co najwyżej na pierwszaka z liceum o różowych jak u niemowlaka policzkach i jasnej cerze, która, tak samo jak moja, bez ochrony w pięć minut spiecze się na słońcu.

– Alex Trebek.

– Jak ten starszy gość, co prowadzi teleturniej ²? – upewniam się.

– Pierdolisz, nie możesz się tak nazywać – jęczy Cassie.

– A właśnie że tak.

– Skąd mamy wiedzieć, że nie kłamiesz?

– Bo nie kłamię.

– Ale skoro jesteś patologicznym kłamcą, wszystko, co powiesz, może być łgarstwem. – Grover stuka długopisem w bok stołu.

– Może kłamię, że jestem patologicznym kłamcą. – Alex Trebek znów popija moją wodę.

– To oznacza, że jesteś patologicznym kłamcą. – Grover mruży oczy, jakby jego umysł pracował na pełnych obrotach.

– Ale naprawdę nazywam się Alex Trebek.

Grover kręci głową.

– To równie dobrze może być kłamstwo.

– Zasadniczo więc nie powinniśmy wierzyć w nic, co mówisz – wtrącam się.

– Zgadza się – potwierdza Alex.

– A jeśli teraz też skłamał? – Grover celuje palcem w Alexa i rzuca: – To by oznaczało, że możemy wierzyć w to, co mówi.

– Głowa mi pęka. – Opuszczam ją, przyciskając czoło do zimnego blatu.

Grover poklepuje mnie po plecach.

– To fascynujące – mówi i ciągnie ten temat. Ja jednak potrafię się skupić jedynie na jego dłoni na moich plecach. Nawet przez ubranie czuję, jaka jest gorąca. Kiedy już nie jestem w stanie dłużej tego znieść, odklejam się od stołu i odsuwam od Grovera wraz z krzesłem.

Alex Trebek resztę kolacji spędza przy naszym stole. Zjadam pozostałości swojego pieczywa i sałatkę. Szpinak zostawia na zębach okropny osad, ale po wodę nie sięgam, bo połowę wypił Alex. A skoro powietrze jest takie wilgotne, wcale nie jestem pewna, czy rzeczywiście bez picia się odwodnię.

Kiedy już wszyscy skończyliśmy jeść, Kerry wprowadza nas w dosyć rozbudowany regulamin sprzątnięcia po posiłku.

– Tace kładziecie tutaj. Tu się wyrzuca resztki jedzenia. Talerze składamy tutaj. Serwetki wędrują do kosza na recykling. Sztućce natomiast przekazujecie

opiekunowi na końcu tego ciągu. – Pokazuje stojącego za stołem mężczyznę, który ma przed sobą pojemnik.

– Ja się tym zajmę – mówi Grover, zbierając nasze tace na swoją. Cassie i Alex Trebek, czy jak tam on się naprawdę nazywa, oddają mu swoje chętnie. Ja mojej nie puszczam.

– Sama to zrobię.

– Ale dla mnie to nie problem. – Grover uśmiecha się do mnie.

Jeszcze mocniej ściskam tę tacę.

– Dzięki, ale nie.

– Feministka. Zander, coraz bardziej mi się podobasz.

Grover zabiera się do sprzątnięcia, a ja trzymam się na dystans. Nie jestem pewna, czego się spodziewałam po takim obozie, ale jak dotąd ten dzień przechodzi najsmielsze oczekiwania. Patrząc na Cassie, Alexa i Grovera, nie potrafię powiedzieć, gdzie jest właściwie moje miejsce. Zapewne nigdzie, i to jest dobre. Gdyby moi rodzice potrafili zrozumieć, że „nigdzie” jest miejscem rzeczywistym, a tylko nie takim, jakie sobie dla mnie wymarzyli, wszystko byłoby okej. Bo nieźle mi tutaj. Właśnie nieźle.

Chwilę później na końcu stołu z jedzeniem, w miejscu, gdzie opiekun odbiera sztuce, robi się zadyma.

– Mam tu tylko osiem sztuk. – Tamten gość obwinia Grovera nawet spojrzeniem. – Gdzie jest dziewiąta?

Chłopak wzrusza ramionami, nic jednak nie mówi. Im dłużej milczy, tym mocniej wkurzony wydaje się opiekun.

Siadam i spoglądam na Cassie, która rozwała się na krześle, wyraźnie uradowana tym przedstawieniem. W końcu pojawia się też Kerry, żeby przyrzeć się aferze. Kiedy się orientuje, że oskarżenie padło na Grovera, wypuszcza z siebie przesadnie ciężkie westchnienie.

– Grover, gdzie jest widelec?

– Nie mam pojęcia.

– Właśnie, że masz. Dobrze wiesz, gdzie jest.

– Kerry, akurat ty powinienesz wiedzieć, że czasem rzeczy znikają w sposób niewytłumaczalny. Po prostu je tracimy. Gdyby było inaczej, miałbym pewność, że nigdy nie postradam rozumu, a statystycznie rzecz biorąc, jest całkiem prawdopodobne, że on pewnego dnia po prostu weźmie i mnie opuści. Stracę rozum. Już na zawsze. – Grover nabiera tchu. – Podobnie jest z tym widelcem.

Kerry przewraca oczami.

– Gdzie siedziałeś?

Cały obóz patrzy w milczeniu, jak Grover prowadzi go do naszego stołu. Kiedy Kerry podchodzi do nas, skupiam się na swoich dłoniach.

– Cassie. – Właściciel ośrodka znów sapie. – Mogłem się tego spodziewać.

– To znaczy czego? – kontruje dziewczyna.

– Że masz z tym coś wspólnego.

– A w ogóle skąd u ciebie ta obsesja na punkcie sztucców? – pyta Cassie.

– Zaczniemy od tego, że pieniądze nie rosną tu na drzewach. – Kerry odlicza swoje argumenty na palcach. – Po drugie, zgodnie z obietnicą z naszej ulotki, gwarantujemy bezpieczeństwo wszystkim naszym obozowiczom. Oznacza to również liczenie sztucców. Gdzie więc jest ten widelec?

– Nie wiem. – Cassie patrzy w bok, wcale się nie przejmując zaistniałą sytuacją.

– Na pewno wiesz. – Twarz Kerry'ego rozsadza teraz złość, aż nabrzmiewa mu żyła biegnąca przez środek czoła.

Cassie znów na niego patrzy, a jej niewinna mina jest przeciwieństwem jego wyrazu twarzy.

– Stale coś ginie. Ten świat jest niedoskonały – mówi.

Kerry zaciska zęby i przenosi srogi wzrok na Alexa Trebeka.

Grover wraca na swoje krzesło i prostuje nogi pod stołem.

– Z niego nic nie wyciągniesz. A już na pewno nie prawdę.

– Czy wiesz, gdzie jest ten widelec? – pyta Kerry Alexa.

– Co to jest widelec?

Kerry jęczy. Teraz patrzy na mnie.

– Ty jesteś Zander, zgadza się?

– Skąd pan wie? – pytam.

– Stawiam sobie za punkt honoru znać wszystkich obozowiczów. – Kerry kątem oka zerka na Cassie. – Dlatego żądamy przy rejestracji waszych zdjęć. To też ze względów bezpieczeństwa.

Prostuję się na krześle, czując się cokolwiek zdradzona. Rodzice wysłali Kerry'emu moje zdjęcie? Co jeszcze mu o mnie powiedzieli? Zaczynam się wiercić, poruszona faktem, że ten całkowicie obcy mi człowiek może wiedzieć o mnie rzeczy, do których bym się nikomu nie przyznała. I że ujawnili mu je moi rodzice.

– Zander, czy wiesz, gdzie jest ten widelec? – pyta Kerry.

– Ja... – Przenoszę wzrok z Grovera na Alexa, a potem na Cassie, która siedzi z zaciśniętymi ustami i z założonymi rękoma. Wiem, że Cassie ma ten widelec, ale nie chcę, żeby Kerry go odzyskał, tak samo jak nie chciałabym, żeby Madison uczyła mnie jeździć konno lub malować paznokcie. Cassie przygląda mi się ze zmrużonymi oczami, jakby to był jeden wielki egzamin. – Nie wiem, o czym pan mówi – kończę.

– W porządku. – Kerry znów patrzy na Cassie. – Ktoś będzie musiał przez resztę pobytu obyć się bez widelca.

Cassie wydyma wargi.

– Jakbym jadła coś, do czego jest potrzebny.

Kiedy Kerry oddala się od naszego stołu, Grover, Alex, Cassie i ja popatrujemy na siebie tak, jakby uszła nam na sucho jakaś zbrodnia. Usta

Grovera rozciągają się w szerokim uśmiechu.

Kerry donośnie obwieszcza reszcie obozowiczów, że kolacja oficjalnie dobiegła końca.

– Niełatwo jest szukać czegoś, co zgubiliśmy – mówi. – Zwłaszcza wtedy, gdy sami też musimy się odnaleźć. Czas iść spać. Tych, którzy potrzebują leków, zapraszam do centrum medycznego.

Cassie natychmiast się podnosi i bez słowa opuszcza stołówkę. Nawet nie myśli nam dziękować za to, że uratowaliśmy jej tyłek.

– Zander, coś cię chyba martwi – mówi Grover, podchodząc do mnie.

– Nie jestem zmartwiona.

– To dobrze – słyszę.

Już się oddala, ale go zatrzymuję.

– A jeśli wybuchnie pożar? Będziemy przecież pod kluczem.

– Tym się nie przejmuj – uspokaja. – Fizyczne niedogodności bledną w porównaniu z psychicznymi. Powtarzaj więc za mną. Módlmy się do świętego Antoniego Padewskiego. O odnalezienie zagubionych. O uwolnienie duszy. O życie wieczne.

1. (fr.) Drogi tato, zostałem porwany przez obcych. Proszę, wezwij pomoc. Pozdrawiam [\[wróć\]](#)
2. Alex Trebek prowadził szereg teleturniejów. Najpopularniejszy z nich to *Jeopardy*, którego polską wersją był *Va banque* (nadawany w latach 1996–2003 w TVP2). [Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza]. [\[wróć\]](#)

ROZDZIAŁ 4

Ciociu Chey,

moją opiekunką jest Madison. Z tego, co słyszałam, w liceum robiła sobie dobrze parówkę. Mam nadzieję, że teraz to czyta, bo wiem, że stoi za mną, PATRZĄC, CO PISZĘ.

Całusy,

Cassie

Kolejka po lekarstwa pod centrum medycznym jest długa. Dori, Hannah i Katie też tam przyszły. Kiedy je mijam, Dori mnie zatrzymuje. Trzyma papierowy kubeczek.

– Ty nic nie bierzesz? – pyta.

– Nie.

Kręci głową.

– No tak. Ty jesteś tutaj, bo cię rodzice zapisali. – Przewraca oczami, łykając tabletki tak, jakby wlewała w siebie alkohol.

– To prozac. – Hannah pokazuje mi, co ma w kubeczku.

Koło nas przechodzi Cassie.

– Nuda. – Przeciąga to słowo. – Wszyscy jadą na prozacu.

– A jak z tobą? – pytam ją. – Żadnych leków?

– Sądzisz, że dopuściłabym do siebie lekarzy? Nie daliby mi tego, czego chcę. Zresztą wszystkie lekarstwa, których potrzebuję, już mam.

Rusza dalej, ale łapię ją za rękę.

– Gdzie jest ten widelec?

Cassie wrywa się z mojego uścisku i nie odpowiada. Oddala się, kręcąc głową, a jej cienkie nogi o zmierzchu wydają się jeszcze chudsze.

W domku myję zęby i przebieram się do spania. Łóżko nade mną wybiera Dori, a Cassie śpi na lewo od nas, z Hannahą na górze. Frajerką, która musi

dzielić łóżko z Madison, jest więc Katie. Zerkam na sportową torbę pod łóżkiem Cassie, wypełnioną jej „lekarstwami”.

– Dziewczyny, za piętnaście minut gasimy światło. Sen jest ważny.

Leżę na łóżku, na cienkim prześcieradle, i kartkuję magazyn *Seventeen*, który kupiłam na lotnisku po drodze tutaj. Zaopatrzyłam się w niego, żeby podczas lotu móc nie rozmawiać z tatą, co nie znaczy, że przeczytałam jakikolwiek artykuł. Przy każdej stronie liczyłam w myślach do stu, a potem przewracałam kartkę. Sprawdziło się. Tata przez cały lot słuchał jakichś audycji zgranych na telefon, a ja w samotności oddawałam się bezgłośnemu liczeniu.

W samotności... Na myśl o tym od razu przypomina mi się kołdra upchnięta w torbie i muszę zdusić zółć podchodzącą mi do gardła.

Skupiłam się znów na magazynie. Przez okno nad moim łóżkiem wkrada się blask zachodzącego słońca, ale nawet przy nim trudno rozróżnić słowa. Hannah i Katie mają słuchawki w uszach. Podkreściły muzykę tak głośno, że dociera do mnie ciężki rytm. Na obozie nie wolno korzystać z telefonów komórkowych. Kiedy rodzice powiedzieli mi o tym, odczułam ulgę. Lato bez wiadomości od mamy wydało mi się miłą perspektywą. Esemesuje nałogowo.

„Pamiętałaś o śniadaniu, które ci spakowałam?”

„Umówiłam cię na piątek do fryzjera”.

„Po szkole poćwiczmy jazdę”.

„Na kolację robię lazanie”.

„Pamiętaj, żeby wypić dziś co najmniej 2 l wody”.

„Słońce zajdzie o 17:45”.

W zeszłym roku tak się to nasiliło, że pan Ortiz, od angielskiego, zabrał mi telefon i zaprowadził mnie do pokoju nauczycielskiego. Powiedział wtedy, że przez całe to brzęczenie nie może prowadzić lekcji. Zadzwoił nawet z mojego telefonu do mamy. Kajała się i nawet popłakała. Słyszałam

dobiegający ze słuchawki szloch. Pan Ortiz tak strasznie to przeżył, że oddał mi komórkę i powiedział, że gdyby mi kiedyś padła, będę mogła skorzystać z tej, którą ma w klasie. Potem przeprosił za użycie słowa „padła”.

– Gdyby się wyczerpała bateria, to miałem na myśli – sprecyzował.

Zakaz używania telefonów był powodem jedynej kłótni moich rodziców o Camp Padua. Mama tak głośno wrzeszczała, jakie to niesprawiedliwe, że nie wolno mi mieć komórki, że jej piskliwy głos wdzierał się do mojego pokoju pomimo zamkniętych drzwi. Następnie cisnęła czymś o ścianę. Kiedy potem schodziłam na kolację, wszystko już posprząтали. Mama zrobiła wegańskiego strogonowa z pieczarkami portobello, a tata stwierdził, że od co najmniej roku nie ugotowała niczego pyszniejszego. Nigdy już nie usunęli folderu Camp Padua spod magnesu na lodówce.

Okładkowy artykuł w magazynie wyjaśnia „Jak flirtować nieostentacyjnie”. Ze złością wgapiam się w te słowa, dopóki nie zaczynają się rozmywać, i wtedy dociera do mnie brzęczenie. Cichy bzyk komara słyszę to w jednym, to w drugim uchu, tak jakby krążył wokół mojej głowy. Zwijam ciasno magazyn, unoszę go w garści jak maczugę i siadam. Widząc, jak komar ląduje na moim białym prześcieradle, mocno walę go tym pisemkiem i rozkwaszam na bawełnie. Potem strącam trupka na ziemię.

– No jasne – odzywa się Cassie. – Rodzice zapisali cię „tak po prostu”. – Kreśli palcem kółko przy skroni, a potem odwraca się do ściany. Reszta dziewczyn zgodnie się śmieje.

Odwracam się w przeciwną stronę niż Cassie, bo chcę jak najbardziej się od niej odgradzić. Nieważne, że jadłyśmy przy tym samym stole. Nie chcę mieć z nią nic wspólnego. W sumie, to nie chcę mieć nic wspólnego z nikim z tego obozu, a także spoza niego.

Zamek w drzwiach domku srebrzy się w przyćmionym świetle, wpadającym przez okno. Właśnie, jestem zamknięta. Zmuszona przebywać z tymi ludźmi.

Przykrywam twarz magazynem *Seventeen* i leżąc na wznak na swoim prześcieradle, zaczynam odmieniać czasowniki we francuskim *imparfait*.

Mówić:

Je parlais

Tu parlais

Il parlait

Nous parlions

Vous parliez

Ils parlaient

Leżę nieruchomo i coraz dalej odpływam od jawy, aż czuję spokój spływającej na mnie senności. Sen jest taki przyjemny. Można błędzić w czerni i nikomu to nie przeszkadza. Jest to wręcz pożądane.

Nie zdążyłam odpłynąć daleko, a już w ten lekki sen wkrada się ciche postukiwanie, jakby ze szczeliny w suficie kapała mi na głowę woda. Zirytowana, odganiam to wrażenie i przewracam się na bok. Szelest pisma spadającego na podłogę uruchamia w mojej podświadomości coś, co przypomina mi, że nad moją głową nie ma sufitu. Jest za to łóżko Dori, a tamto wraca. Tamto kapanie, czy też stukanie. Po ciemku siadam prosto i omal nie walę głową o spód górnego łóżka. O kilkanaście centymetrów od mojej twarzy widzę Cassie. Jej ciemne oczy są wielkie, a ich białka niemal świecą.

– Co ty wyprawiasz? – pytam, czym prędzej się odsuwając. W domku panuje ciemność, ale i tak widzę, że Cassie chyba jeszcze bardziej odbiło.

– Budzę cię, żebyś mi pomogła, kretynko – odpowiada.

– Czemu miałabym ci pomagać? Właśnie nazwałaś mnie kretynką.

– Bo ten zamek tobie też się nie podoba. – Cassie wskazuje drzwi.

Znów siadam na łóżku. Madison leży grzecznie pod kołdrą, usta ma lekko rozchylone, a na poduszce odrobinę śliny. Na jej szczupłej szyi wciąż wisi klucz. Widocznie spałam dłużej, niż mi się zdawało.

– Pomożesz mi, czy nie, matole?

– Nie nazywaj mnie matolem – protestuję. – Mam piątkę z plusem z francuskiego.

Cassie przewraca oczami.

– Słuchaj, jeszcze minuta i uduszę Madison jej naszyjnikiem. Więc albo pomożesz mi się stąd wyrwać, albo zaliczysz współudział w morderstwie.

– Wracam spać. – Kładę się.

– Jak sobie chcesz – mówi Cassie. Przechodzi nad łóżko Madison i wyciąga z tylnej kieszeni coś długiego i ostrego.

– Pogięło cię? – szepczę, podrywając się.

– Oczywiście, że tak. Tak samo jak ciebie, choć nie chcesz się do tego przyznać. W tobie, Zander, tkwi tajemnica. I tego lata wyjdzie na jaw, czy tego chcesz, czy nie. – Cassie kuca przede mną. Jej twarz jest tak blisko mojej, że czuję cukrowy oddech. Nawet wyczuwam w nim nutę cytryny. Mam ochotę ją odepchnąć. Kim jest, żeby komentować moje życie? Cassie nawet mnie nie zna. Nie mogę się jednak zdobyć na to, żeby jej dotknąć, bo jakąś częścią siebie wiem, że ma rację. – Wiesz, na czym polega twój problem? Nie mnie się boisz. Boisz się tego, że jesteś mną – kończy.

– Nie. – Mocuję się z tym słowem, jakbym fizycznie zmagala się z jakąś prawdą. Im mocnej ją tłamszę, tym bardziej się wrywa. – Boję się tylko, że zabijesz Madison tym czymś, co masz w ręce.

– A ty nigdy nie byłaś tak wściekła, że miałaś ochotę kogoś zabić?

Na to pytanie Cassie nie odpowiem, bo jest niedorzeczne, ale w gardle i tak tworzy mi się gęstwa. Jest taka wielka, że mogłaby mnie zadławić. Przełykam ją, spycham gdzieś w głąb i wdycham ten dziwnie słodki oddech. Cassie podnosi ten spiczasty przedmiot.

– To tylko widelec, kretynko. Co miałabym zrobić, zadziobać ją na śmierć?

– Wiedziałam, że to ty go wzięłaś.

– Phi. – Cassie znów przewraca oczami. – Co z tego? To tylko widelec. Ludzi i tak za dużo jedzą.

Cofam się na łóżko.

– Jak zamierzasz się wydostać? Co z Madison?

– Co „co z Madison”? Nie tknęłabym jej nawet trzymetrowym kijem umoczonego w błocie. Żeby się błoto nie zaraziło.

– Klucz. – Wskazuję szynę Madison.

– I to jest twój problem. Ty myślisz, że klucz nas stąd wyciągnie, a klucz nic nie da. Ani tobie, ani mnie.

– W porządku. To jak się wydostaniesz? – pytam.

– Dzięki tobie. – Cassie pokazuje mi drzwi do łazienki. – Moja ciotka zawsze powtarza, że jeśli Bóg zamyka drzwi, to gdzieś otwiera okno.

– Wydaje mi się, że to z jakiegoś filmu. – Albo z jednego z magnesów przyczepionych na lodówce u mnie w domu.

– Wisi mi, skąd to jest – odpowiada Cassie. – I wcale w to nie wierzę. O ile wiem, wszystkie okna i drzwi prowadzą jedynie do kolejnych okien i drzwi.

– A więc nie ma wyjścia? – pytam.

– Pewnie, że jest – mówi Cassie. – Wyjściem jest śmierć.

– Śmierć? – Powtarzam to słowo, ale się nie ruszam. Kiedy Cassie przytakuje, jej cień wchodzi w poświatę księżyca na moim białym prześcieradle.

– To pomożesz mi, czy nie?

– Nie sądzę, że wykradanie się to dobry pomysł.

– A co jest dobrym pomysłem? – pyta.

Za długo się nad tym głowię.

– Nie wiem – przyznaję.

– I to jest twój kolejny problem. Ty nie wiesz. – Kręci głową i dusi w sobie

śmiech. – Boże, Cleve jednak się co do ciebie myli.

– Co takiego powiedział Grover?

– Mówi się na niego Cleve. – Cassie chowa widelec w tylnej kieszeni. – A czas leci. Ja stąd spadam.

Przekrada się do łazienki, ja znów kładę się do łóżka i owijam po szyję moim prześcieradłem. Skoro Cassie chce się wymknąć, może zrobić to we własnym zakresie. Nie jestem żadną jej współpracowniczką, powierniczką czy przyjaciółką. Znaczą dla niej tyle co nic i chciałabym, żeby tak zostało.

A potem, sama nie wiem kiedy, tak mocno owijam sobie wokół palca kosmyk rosnący u nasady karku, że wyrywam kilka włosów.

– Cholera jasna – szepczę, przyglądając się temu, co wyrwałam. Trzeba będzie lat, żeby odrosły. Nigdy się tego nie nauczę. Muszę zostawić włosy w spokoju, przestać je tak mocno ciągnąć. Z tym właśnie mierzę się od roku. Żeby zostawić wszystko w spokoju. Ale moi rodzice tego nie rozumieją. Chcą, żebym była kimś, bo to zawsze lepsze niż nic. Nie zgadzam się z tym. W końcu i tak ląduje się w nicości. Ale skoro Cassie zaglądała mi dziś w twarz, a Grover mnie dotknął, tych dwoje ciężko będzie zignorować. Zwijam w kulkę te żalosne włosy i strącam je na podłogę. Próbuję zająć myśli swoim pisemkiem, ale nie mogę znieść tej modelki na okładce i jej długich, perfekcyjnie gęstych włosów. Odrywam więc tę okładkę, a potem dalej ją drę i drę, aż zostają z niej strzępki papieru, których się nie da skleić. Z uśmiechem zmiotam je z łóżka.

W łazience przekonuję się, że widelec był potrzebny Cassie, żeby obluźować zawiasy w oknie. Długa śruba właśnie spada jej w dłoń, a okno uchyla się na tyle, żeby mogła się przez nie przecisnąć nastolatka. Zwłaszcza taka, która nie je.

Cassie podaje mi tę śrubę.

– Zaopiekuj się nią.

– Nie chcę. – Mimo to jej nie oddaję. Kiedy Cassie jest już całkiem na zewnątrz, słyszę jeszcze:

– Powiedz komuś, a będę zmuszona użyć mojego widelca na tobie.

Nie zamykam za nią okna. Zamiast tego, wpycham śrubę do swojej torby i wracam spać.

ROZDZIAŁ 5

Kochani Rodzice,

podeślijcie mi, proszę, sprej na owady. Zapomnieliście zapakować. Widzicie – nawet rodzice popełniają błędy.

Z

– Czy oni podają tu kawę? – Z takim pytaniem zwraca się Dori do Madison, kiedy w stołówce przesuujemy się w kolejce do śniadania. – Potrzebuję kawy.

– Obowiązuje zakaz substancji chemicznych oddziałujących na zdrowie fizyczne i psychoaktywnych – odpowiada Madison, jakby cytowała folder.

– Kawa to żadna chemia. Ona podtrzymuje życie.

Rano, kiedy się obudziłam, Cassie już była w łóżku. Jej nogi zwisały za krawędź. Odczułam ulgę, a potem złość, że się nią przejmowałam, i dlatego leżałam tam wpatrzona w górne łóżko i śniłam na jawie o naszym nudnym, dwukondygnacyjnym, tynkowanym domu, w którym wiecznie wionie środkami czystości o zapachu grejpfruta.

Ale im dłużej tak się wylegiwałam, tym bardziej dokuczliwa stawała się panująca w domku cisza i zamarzyło mi się, żeby ktoś znów narobił hałasu. Na szczęście kilka minut później obudziła się Cassie i wszczęła kłótnię z Madison, która zakończyła się groźbą, że powiadomi ciocię Chey, że tu w obozie podłapała mendy.

– Popracujemy nad tym, żebyś sama była dla siebie systemem podtrzymywania życia – odpowiada Madison, chwytając Dori za ramiona, jak trener przemawiający do zawodnika. Dokładam do swojej owsianki parę jagód i ziewam w dłoń. Im dłużej gadają, tym bardziej brzęczy mi w uszach.

– Widocznie ta maszyna nawaliła. Bo żeby być na chodzie, potrzebuję kawy

– spiera się Dori.

– Właśnie po to tu jestem. Żeby pomóc ci naprawić twoją zepsutą maszynę.

– Madison rozpływa się w uśmiechu.

– System podtrzymywania życia tylko je umożliwia – rzucam cicho przez ramię. – Nie pomaga żyć.

– Co złego w tym, że się popsuła? Ty może jesteś doskonała? – naciska na Madison Dori.

– Nie – zaprzecza Madison, lekko zaskoczona. – Oczywiście, że nie.

Grover i Alex Trebek siedzą w tym samym miejscu, co poprzedniego dnia. Chwilę się waham, czy znów wybrać tamten stół, ale przesiadanie się gdzieś indziej wydaje się już bezsensowne. Coś mi mówi, że wzbudziłoby to tylko jeszcze większe zainteresowanie Grovera i Cassie.

Stawiam swoje śniadanie obok Grovera i pod ciuchami poprawiam grube ramiączka przyciasnego kostiumu kąpielowego. Grover bierze ze swojej tacy jabłko, którym do mnie rzuca. Ledwie udaje mi się je uratować przed upadkiem na stół.

– Wiedziałaś, że pestki jabłek zawierają truciznę? – pyta Grover.

– Podobno – mówię obojętnie.

– Jedno cię nie zabije. Musiałabyś zjeść ich całą masę.

Odkładam jabłko na jego tacę.

– Interesujące.

Grover oddaje mi je.

– Jest dla ciebie.

– Próbujesz mnie otruć?

– Jak już powiedziałem, jedno jabłko cię nie zabije.

– Nie chcę go – odpowiadam.

– Pamiętam, jak powiedziałaś, że ich nie lubisz, ale nie musisz się zaraz bać.

– Powiedziałam, że go nie chcę – warczę i wiercę się niespokojnie na krześle. Czemu mama zapakowała mi ten kostium?

Napięcie między nami maleje dopiero, gdy dosiada się Cassie.

– Widzę, że masz swoje tradycyjne śniadanie. Powietrze i tabletki odchudzające – mówi Grover.

– Nie potrzeba widelca. – Na twarzy Cassie pojawia się uśmiech, ale nie dociera do jej oczu.

Grover za moimi plecami przekazuje jej coś, co grzechotaniem niepokojąco przypomina tabletki.

– Nie wierzę, że jej to dajesz – mówię.

– To nie to, co... – zaczyna Cassie, ale Grover wchodzi jej w słowo.

– Czemu nie? To ją uszczęśliwia. A jej się należy od życia więcej szczęścia.

– Ale to jej szkodzi.

– Tylko odrobinę. Zresztą, wszystko, co nas uszczęśliwia, z czasem nam zaszkodzi – kontruje Grover.

– Myślałam, że ci na niej zależy. – Wbijam wzrok w swoją owsiankę.

– Zależy – potwierdza Grover.

– To czemu przynosisz jej tabletki?

Cassie śmieje się i pokazuje, co przekazał jej Grover.

– To cukierki, matole. – Potrząsa pudełeczkiem lemonheads.

– Cukierki? – pytam.

– Coś muszę jeść, żeby żyć – wyjaśnia Cassie.

– Cukierki. – Piorunuję Grovera wzrokiem. Wydyma wargi w uśmiechu.

– A ja nigdy nie jem – wtrąca się Alex Trebek. Banan na jego twarzy rozsadza już i tak pucułowate policzki. Nabiera kęs ze sterty sadzonych jajek, którą ma na tacy. – Nigdy – powtarza z pełnymi ustami.

– To było niezłe, Bek. – Grover klepie go po plecach.

– Czemu ten kłamczuch znów z nami siedzi? – jęczy Cassie.

– Bo mi powiedział, że umiera na raka. Zostało mu tylko kilka dni życia. Żal mi się go zrobiło.

Cassie wrzuca do ust całe pudełeczko drażetek. Nawet po drugiej stronie stołu czuję zapach tych słodczy.

– Nie zemdli cię? – pytam. – Są strasznie słodkie.

Cassie nachyla się do mnie. Wciąż ma wypchane policzki.

– To jedyna słodycz mojego życia. A więc nie, nie zemdli.

– To świetnie. – Dziobię swoją owsiankę i biorę kilka łyżek, ale nie jestem głodna.

Jak tylko wszyscy kończymy, przed całą grupą staje Kerry i trzykrotnie klaszcze.

– Jedynym sposobem na odnalezienie się... – krzyczy.

– ...jest przyznanie, że się zgubiliśmy – odkrzykuje reszta opiekunów.

– Pierwszym krokiem na drodze do odnalezienia siebie jest uświadomienie sobie, co już macie – mówi głośno Kerry. Jak na tak wczesny poranek jest niezłe odwalony, dość zresztą seksownie. Wczoraj tego nie zauważyłam. Za bardzo się skupiałam na żyłach na jego czole. – Zanim zaczniemy nasz dzień, czy ktoś chciałby się czymś ze wszystkimi podzielić?

Nikt się nie rusza. Spuszczam wzrok i owijam serwetkę wokół palca, aż ten mi sinieje. Ziewam. Kąciukiem oka widzę, że Grover podnosi rękę i wstaje.

– Chciałbym podzielić się informacją, że Zander nie je jabłek – mówi.

– Co? – Podnoszę wzrok na niego.

– Chodziło mi o coś, co uświadomiłeś sobie na swój temat – wyjaśnia Kerry.

– Aha. – Grover kiwa głową. – W takim razie chciałbym się z wami podzielić informacją, że uświadomiłem sobie, iż Zander nie je jabłek.

Zatyka mnie i też wstaje.

– Ja chciałabym podzielić się z wami spostrzeżeniem, że to, co jem, to nie

sprawa Grovera.

– Ja chciałbym podzielić się z wami refleksją, że to prawdopodobnie prawda – przyznaje Grover.

– Dziękuję. – Szykuję się, by usiąść.

– Ale... – Kiedy Grover znów się odzywa, nieruchomieję. – Chciałbym jeszcze podzielić się z wami spostrzeżeniem, że chociaż uświadomiłem sobie, że to nie moja sprawa, to nie oznacza to wcale, że nie uświadamiam sobie, że Zander nie je jabłek.

– Grover, skończ proszę z tym przykładem i potraktuj to poważnie – wtrąca Kerry.

– Ja jestem poważny. Tobie, jak mi się zdaje, chodzi o to, żebym powiedział coś takiego o sobie. Ale mnie bardziej interesuje Zander.

– Uciekasz w ten sposób od swoich problemów. – Kerry zakłada ręce na piersi. – Sam o tym wiesz, Grover.

– Owszem. Zgadza się. Ale problemy działają strasznie depresyjnie, a depresji i tak jest tutaj dosyć.

– Amen – włącza się Cassie.

– Uważam, że już możemy na tym zakończyć to ćwiczenie, bo, jak widać, nie czerpiesz z niego żadnych korzyści. – Kerry zbiera się, by usiąść.

– Ale może Zander tak – odpowiada Grover.

– Mnie z tego wyłącz – mówię głośno.

– Za późno. – Grover wzrusza ramionami. – Już się tym wszystkim podzieliliśmy.

Padam na krzesło ze zmiętą w kulkę serwetką w palcach.

– Dziękuję ci, Grover. – Kerry nie tryska już entuzjazmem.

– Jeszcze jedno. – Grover podnosi palec wskazujący i wyciąga swój notes. Zaczyna pisać.

– Żebym zapamiętał. Chciałbym także podzielić się z wami faktem, że

Zander ma na sobie czarny kostium kąpielowy i że chciałbym ją w nim zobaczyć. Niezależnie od tego, czy je jabłka.

– Na obozie obowiązuje zakaz relacji damsko-męskich – Kerry jak robot powtarza jedną ze swoich zasad.

– W takim razie chciałbym wam podzielić się z wami opinią, że ta zasada jest idiotyczna. Poza tym Zander i Grover brzmi jak para gejów.

– Wystarczy. – Kerry kręci głową.

Bek podnosi rękę i staje obok Grovera.

– Ja chciałbym podzielić się ze wszystkimi faktem, że Cassie jest ładna i chciałbym zobaczyć ją nago. Kostiumem się nie przejmuj. – Mówi to głośno, choć z pewnym drżeniem, a kiedy wpatruje się przez stół w Cassie, jego niebieskie oczy lśnią.

– Cleve, czy on kłamie? – warczy Cassie, szeroko otwierając oczy.

Grover znów wzrusza ramionami.

– Sam nie wiem.

– Siadaj na tłustym dupsku, wieprzku – żąda Cassie.

– Cokolwiek powiesz, piękna – odpowiada Bek i mruga do niej.

Nadal siedzę wrośnięta w krzesło, chociaż Kerry już rezygnuje z porannego ćwiczenia.

Gdybym chociaż popadła w odrętwienie, ale wszystko mnie mrowi, wibruje we mnie, cała się trzęsę. Grover, zbierając swoje rzeczy, nachyla się nade mną i kładzie na mojej tacy ogryzek jabłka, które zjadł.

– Przepraszam za wzmiankę o kostiumie kąpielowym, ale musiałem to powiedzieć. Niestabilność emocjonalna i w ogóle.

Nie mogę na niego patrzeć.

– Jestem dupkiem, przyznaję. I mam pewne problemy – dodaje, dotykając mojego ramienia.

– Nie dotykaj mnie – warczę.

– Wiesz, że co drugi człowiek nabawi się w swoim życiu choroby przenoszonej drogą płciową, ale prawdopodobieństwo zarażenia się nią przez dotyk wynosi zero.

Zabieram się stamtąd bez słowa, ale przed wyjściem ze stołówki zgarniam jeszcze z bufetu torebeczkę cukru. Ze złością patrzę na ledwie ruszoną miseczkę owsianki, która smakowała jak pocięty karton.

Owsianka jest zdrowa na serce, dźwięczy mi w uszach głos mamy. Nie psuj jej zasypywaniem jakimś śmieciem.

Ale Cassie ma rację co do słodyczy. Rozrywam tę torebeczkę i wytrząsam do ust cały cukier. Potem zjadam jeszcze jedną. Później zaczynam się bać, że się porzygam. Zaraz jednak przychodzi mi do głowy, że ktoś uzna mnie za bulimiczkę, i tłamszę w sobie tę chęć.

I wreszcie, trzymając w dłoni puste opakowania, ku swemu zdziwieniu uświadamiam sobie, że Cassie chociaż raz miała rację.

* * *

– Ilekroć któraś z was przyjdzie na kąpielisko, musi powiesić na tej tablicy swój metalowy krążek, żeby dyżurny opiekun wiedział, kto przebywa w wodzie i jaki poziom umiejętności reprezentuje. Każdej z was przydzielony zostanie odpowiedni kolor. – Madison staje przed wielką drewnianą tablicą, u góry której widnieje hasło: W CAMP PADUA DOBRA ZABAWA TO PODSTAWA. Jej drewniana powierzchnia pokryta jest haczykami i podzielona kolorami na trzy części: czerwoną, żółtą i zieloną. Madison, obracając w palcach gwizdek, wyjaśnia: – Jeżeli należycie do czerwonych, macie obowiązek wkładać kamizelki ratunkowe i nie wychodzić poza płyciznę. –

Wskazuje obszar tuż przy brzegu, z trzech stron ogrodzony metalowymi pomostami tworzącymi literę H. – Kamizelki ratunkowe znajdują się w magazynie. Jeśli jesteście żółte, możecie wypuszczać się do końca

pomostów, oznaczonego linią boi. Jako zielone możecie pływać aż do widocznej za nimi tratwy. To jedna z granic terenów Camp Padua.

Tratwa, o której mówi Madison, jest kwadratowa i zaopatrzona w drabinę, a kotwiczony kawałek za kąpieliskiem. Przyglądam się zielonej wodzie. Jeśli nie liczyć tych kilku kroków wczoraj, kiedy weszłam do jeziora Kimball, nad większą wodą nie byłam od zeszłego roku, kiedy to poproszono mnie o opuszczenie naszej licealnej drużyny pływackiej. Powierzchnia wody dziś jest znów gładka – do brzegu dochodzą jedyne drobne, nieznaczne fale. Liczę je, gdy rozbijają się o piasek.

– Zander – upomina mnie Madison.

– Hę? – odwarkuję.

– To jest ważne. – Rozwodzi się nad czekającym nas sprawdzianem. – Składać się on będzie z oceny techniki pływackiej, pięciu minut utrzymania się na wodzie i nurkowania. – Madison wreszcie się uśmiecha i kończy: – Jestem pewna, że wszystkie świetnie się spiszą. Zaczynajmy!

Rozbieramy się do kostiumów, wzajemnie na siebie popatrując, jedne bardziej skrupowane, inne mniej, co nie dotyczy Cassie, która chyba aż nazbyt pali się do tego, żeby się rozebrać. Jeszcze dziwniej się robi, kiedy Hannah zostaje w bluzce z długimi rękawami.

– Nie chcę się spiec – tłumaczy, choć cerę ma barwy karmelu i wydaje mi się wątpliwe, żeby słońce mogło wyrządzić jej większą krzywdę niż zabarwienie na ładny brąz. Dręczy mnie myśl, że bardziej się boi pokazania ran, jakie sobie zadała.

Czekamy na brzegu jeziora, tylko Cassie w swoim żarówiastoróżowym bikini siada na ręczniku i wystawia twarz w stronę słońca.

– Cassie, mogłabyś do nas dołączyć? – pyta Madison.

– Nie podchodzę do tego sprawdzianu. – Twarz Cassie wciąż skierowana jest ku niebu.

– W takim razie będę zmuszona przyznać ci poziom czerwony. Nie chciałabym tego robić.

– Akurat ci zależy. I akurat chciałoby mi się włączyć do tej wody. Pewnie są w niej pijawki.

– Zależy mi, a tu nie ma pijawek – odpowiada Madison.

– I tak wolę popracować nad swoją opalenizną.

– Nad opalenizną? – Madison stara się powściągnąć sarkazm. Cassie ma skórę ciemniejszą niż którakolwiek z nas.

– Dobrze. Skoro tego chcesz, nie będę cię zmuszać. To twój wybór. – Wyjmuje z woreczka czerwony, przypominający uszczelkę krążek i rzuca go na ręcznik Cassie wraz z wodoodpornym czarnym pisakiem. – Zapisz na nim, proszę, swoje imię i powieś na tej drewnianej tablicy. Reszta może zaczynać.

Kiedy wchodzimy po pas w wodę, palce stóp grzęzną mi w piasku, ale czuję się dobrze. Powietrze jest dziś ciepłe i wilgotne, kojarzy mi się z gąbką. Poruszam rękoma w wodzie, czując, jak przepływa mi przez dłonie.

– W ramach oceny techniki będziecie musiały dwukrotnie pokonać odcinek pomiędzy pomostami w strefie czerwonej dowolnym stylem. Wybierzcie ten, w którym jesteście najmocniejsze – mówi Madison.

Kiedy zanurzam głowę w zimnej wodzie, oddech robi mi się płytszy, dostraja się do temperatury. Przypominają mi się dwa miesiące codziennego wskakiwania o wpół do szóstej rano do ledwie ogrzanego szkolnego basenu. Czuję się, jakbym wróciła do szkolnej reprezentacji. Ale kiedy otwieram oczy pod wodą, wokół siebie widzę jedynie zieleni i brąz. Woda jest taka mętna, że ledwie mogę dojrzeć, co mam przed sobą. Ślizgam się żabką, zużywając jak najmniej energii. Wyczuwając pomost, robię pod wodą fikołka, zmieniając kierunek. Nie spieszę się z tym zwrotem. Mój trener byłby zawiedziony, że nie robię tego tak szybko jak kiedyś.

– Dobra robota – mówi Madison, gdy już mam to z głowy.

Przychodzi pora na pięć minut leżenia.

– Musicie utrzymać się na wodzie przez pięć minut, przy czym wasza twarz ani na moment nie może się całkowicie zanurzyć. Jeśli poczujecie zmęczenie, płyńcie do pomostu. Nie ryzykujcie – poucza nas Madison.

Leżę na placach, twarzą ku słońcu, lekko machając nogami w wodzie, podczas gdy moje ręce falują wzdłuż boków niczym płetwy.

Właśnie to zawsze najbardziej lubiłam w pływaniu. Dzięki temu mogłam się zatracić w rytmie. Wszystkie zawody wygrywałam dzięki temu, że się mu poddawałam. Poza ostatnimi. Tymi, po których tata jednym z pouczających magnesów mamy przyczepił na lodówce folder Camp Padua. Przechodziłam obok niego co rano i co wieczór, w drodze lub ze szkoły. Pewnego dnia jednak zatrzymałam się przed nim i przyjrzałam widocznym na okładce uśmiechniętym twarzom obozowiczów.

– Co to takiego? – zapytał Coop, chrupiąc chipsy z jarmużu uprażone tego dnia przez moją mamę. – Smakuje jak kapeć.

Dotknęłam błyszczącego papieru i może zdjęłabym folder, ale mój wzrok co i rusz przyciągało widniejące na magnesie słowo Nadzieja. Totalnie bezsensowne. I zamiast przeczytać folder, całowałam się z Coopem na kanapie. Po jarmużowych chipsach nie smakował wcale kapciem, bardziej kojarzyło się to z wodorostami.

Kiedy wspomnienia wracają, zamykam oczy, a mój podbródek zaczyna się zanurzać pod wodą.

Jak wywalili mnie z reprezentacji, tata się popłakał. Błagał trenera, żeby pozwolił mi zostać. Obiecywał, że się poprawię, że już nigdy nie narażę drużyny, ale to były jego zapewnienia, nie moje. Ryzyko jest wpisane w życie. Na koniec trener powiedział, że byłabym dla drużyny obciążeniem.

Po powrocie z zawodów do domu tata nawrzeszczał na mnie, ale nie bardzo wiedziałam, co mówi, za bardzo wciągnęły mnie francuskie koniugacje.

Podniósł rękę, żeby mnie walnąć, ale mama go powstrzymała. To wtedy się rozszlochał. Padł na kolana i przytulił mnie do siebie. Włosy miałam jeszcze mokre, a kołnierz bluzki całkiem przez to zimny, więc kiedy wreszcie mnie puścił, poszłam do łazienki, żeby je wysuszyć.

Mieć nadzieję to po francusku *espérer*.

Patrzę w niebo, usta mając tak blisko lustra wody, że mogłabym poczuć jej smak. Stłumione dzwonienie wyrywa mnie z transu.

Dori, Katie i Hannah już trzymają się pomostu, a Madison macha, żebym do nich dołączyła.

– Dobra robota, Zander – mówi ponownie. Mój trener też zawsze to powtarzał. „Dobra robota, Zander”. A potem klepał mnie po głowie jak psa.

– Ja chyba mam już dość – mówi Hannah, wychodząc z wody.

– Pewna jesteś? Tak dobrze ci szło – przekonuje ją Madison.

– I tak nie planuję tego lata dużo pływać – odpowiada Hannah i bierze sobie żółty krążek.

Madison patrzy rozczarowana, jak Hannah opuszcza kąpielisko, żeby się przysiąść do Cassie.

– Okej, moje panie. Pora na sprawdzian z nurkowania. Będziecie musiały zejść na dno jeziora, znaleźć jedną z pałek do nurkowania i dostarczyć mi na pomost. To jest około czterech metrów, jeśli więc poczujecie, że nie dacie rady, bez wahania się wynurzajcie. Będziemy robić to kolejno. Która chciałaby spróbować pierwsza?

Dori i Katie kolejno zaliczają zadanie, skutecznie wyławiając żółte pałki. Wywołana przez Madison, staję z podkulonymi palcami stóp na końcu pomostu, a ona wrzuca do wody pałkę.

Gdy moje ręce wbijają się w wodę, przypomina to cięcie lodu. Chłód stopniowo przenika całe moje ciało, a im bardziej schodzę w głąb jeziora Kimball, tym zimniej się robi. Żółta pałka leży na piasku, więc ją chwytam,

ale się jeszcze zatrzymuję. Unoszę się kilkanaście centymetrów nad dnem, przesiewając ręką ten piach. Jest miękki i przelatuje mi przez palce, a mnie korci, żeby zostać tutaj, gdzie wszystko się tak swobodnie unosi, zanim dotknie dna.

Kiedy zaczyna mi brakować oddechu, a w piersi czuję ucisk, odbijam się stopami od piasku i wracam na powierzchnię.

– Zander! – krzyczy Madison z końca pomostu. Wygląda tak, jakby już miała wskoczyć. – Przez chwilę myślałam, że nie dasz rady. Wystraszyłaś mnie.

Wręczam jej tę złotą pałkę do nurkowania.

– Przepraszam.

– Wiem od Kerry’ego, a on od twoich rodziców, że miałaś pewien problem z pływaniem.

– Tak mu powiedzieli? – pytam. Madison kiwa głową. Widzę, że troska na jej twarzy jest autentyczna, i jeszcze bardziej mnie to wkurza. Niepotrzebne mi jej zatroskanie i litość.

Nic nie mówię. Piszę swoje imię na zielonym krążku, który dostaję od niej, i wieszam go na tablicy. *Fini*.

ROZDZIAŁ 6

*Cher Papa,
Je pense que j'ai un cancer.*

*Cordialement,¹
Alex Trebek*

Z wilgotnymi włosami i odrobiną wody w uchu kieruję się w stronę torów łuczniczych. Podskakując na jednej nodze, żeby ją wylać, zbliżam się do grupy obozowiczów otaczającej opiekuna Hayes. Kiedy Madison pokazała mi tory, byłam zaskoczona. Biorąc pod uwagę klientelę obozu, wydało mi się to cokolwiek niebezpieczne. Mieszkam przecież w jednym domku z dziewczyną, która lubi sprawiać sobie ból. A Kerry poprzedniego wieczoru zrobił aferę o widelec.

– Im bezpieczniej, tym lepsza jest zabawa – mówi Hayes, podnosząc do góry sprzęt. Okazuje się, że i łuki, i strzały, które trzyma, są z plastiku. Takie, jakimi bawią się małe dzieci. Bez spiczastych grotów, tylko z przysawkami.

– To zależy – mruczę pod nosem. Podnoszę rękę, żeby zapytać, czy można jeszcze zmienić sekcję.

– Słucham, Durga, w czym mogę ci pomóc? – Hayes wyciąga do mnie zestaw łuczniczy i się uśmiecha. Głowę ma całą w czarnych dreadach i skórę tak ciemną jak Cassie. Na końcu jednego z dreadów dynda hałaśliwy dzwoneczek.

– Durga? Na imię mi Zander.

Hayes się uśmiecha.

– Durga to niesamowita hinduska bogini-wojowniczk. Pokonała potężnego Mahiszasurę, któremu nie mógł sprostać żaden mężczyzna. Ty też wyglądasz na

taką, która może kryć w sobie małą wojowniczkę.

Odbieram łuk i strzały, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. Nie czuję się wojowniczką, ani hinduską, ani żadną inną. Jestem zmęczona, ale już za późno, żeby się wycofać.

– W łucznictwie chodzi o precyzję i cierpliwość. – Hayes powoli mruży oko. – Trochę tak, jak w życiu. Wdech, i celujemy. Potem wydech, i zwalniamy cięciwę. Nie spieszmy się. Chodzi nie tyle o trafienie w cel, co o drogę, która doprowadzi nas do tego celu. Bo tak to jest w życiu, że kiedy osiągniesz jakiś cel, zawsze pojawi się przed tobą następny. – Hayes wypuszcza z płuc całe zgromadzone tam powietrze i się uśmiecha. – Weźmy razem wdech.

Grupa obozowiczów nabiera głęboko powietrza.

– To było na początek. A teraz to powtórzmy. Oddychając razem, stajemy się częścią czegoś większego od nas. Wesprzyjcie waszego sąsiada i pozwólcie, żeby on was wspierał – mówi Hayes. – Chodzi o wędrówkę, nie o punkt docelowy.

Bierzemy głęboki wdech, a potem kolejny.

– Wdech. Celuj. Wydech. Puść. Traf. Raduj się wędrówką. – Hayes podnosi i opuszcza ręce, podkreślając gestem każdy nasz oddech. – Wspaniale. A teraz poćwiczmy. Z samymi łukami. Nie zapominajcie o oddechu. Ta lekcja odnosi się do całego życia. Wystarczy pamiętać o oddychaniu.

„Wystarczy pamiętać o oddychaniu. Proszę, nie wymagam więcej”. Na te słowa tężeję, bo zadźwięczały mi w uszach głosem mamy. Nie chcę, żeby tu ze mną była. Chciałabym zostać sama, z szumem w mojej głowie, jak z ciepłym kocem chroniącym mnie przed zimnem. Z kocem, który mogę naciągnąć sobie na głowę, żeby cała zniknąć.

– Wciąż jeszcze masz na sobie ten strój kąpielowy.

Odwracam się i widzę obok siebie Grovera. Rozpraszam się i opuszczam łuk.

– Co tu robisz? – pytam.

– Bek się uparł. – Grover wskazuje drugi koniec grupki, gdzie grubasek ćwiczy celowanie i oddychanie. – Wciąż jeszcze masz na sobie ten strój kąpielowy – powtarza.

Nie reaguję, ale obciążam bluzkę, żeby tak nie przylegała.

– Nie odpowiadasz, dlatego że jeszcze jesteś na mnie wściekła? – dopytuje Grover.

– Nie jestem wściekła. Wypowiedziałeś zdanie twierdzące. Nie muszę odpowiadać.

– Mądrała z ciebie, co? – Grover usiłuje szturchnąć mnie w ramię, ale się uchylam przed jego dotykiem.

– To nie ma znaczenia.

– Wszystko ma znaczenie. – Mruży oko. – Czy to z powodu chłopaka, który gra w futbol?

– Nie – zaprzeczam, nagle stając w obronie Coopa, chociaż za bardzo mi na nim nie zależy. Gdyby akurat teraz uprawiał seks z Miley Ryder, najpopularniejszą dziewczyną z naszego rocznika, prawdopodobnie bardziej niż to, że mnie zdradza, przygnębiłby mnie fakt, iż z uwagi na brak okazji do ćwiczenia francuskich koniugacji podczas pocałunków, mogę sobie pogorszyć ocenę z francuskiego.

Podchodzi do nas Hayes.

– Czy wy oddychacie razem? – pyta.

– Nieustannie. – Grover porusza znacząco brwiami. Oblizuje przyssawkę swojej strzały i przyciska mi ją do ramienia. – Cel. Puść. Traf.

Gapię się na tę strzałę, oślinioną przez Grovera. Jest ciepła i trochę obrzydliwa... a trochę nie.

Pozbywam się jej.

– Faj – mówię i rzucam nią w niego.

Hayes ustawia nas przed plastikowymi tarczami i każe ćwiczyć. Grover nie odstępował mnie ani na krok, a ucho nie daje się przetkać. Ten pogłos kompletnie mnie rozprasza. Wtykam w nie palec i podskakuję. Potrząsam głową. Nic nie skutkuje.

– Boże, jak ty jesteś seksowna – mówi Grover, kiedy macham głową, podskakując na jednej nodze.

– Masz jakieś odchyły.

– Jestem tego świadomy.

– Nie zaczynaj znowu – jęczę.

– Okej. Wiedz jednak, że sobie to uświadamiam.

Ćwiczymy celowanie i puszczenie, przy czym większość z nas raz po raz pudłuje. W pewnym momencie Grover odrzuca łuk i krzyczy:

– To niemożliwe! Nie mogę oczyścić umysłu. W ciągu minionych dziesięciu sekund myślałem o siedmiu różnych kanapkach i o tym, jak Zander wyglądałaby podczas konsumpcji.

– Przestań myśleć o mnie – mówię, a mój głos wibruje mi w głowie. Wody to jednak nie rusza.

– Właśnie to jest niemożliwe.

Hayes podnosi łuk Grovera i podaje mu.

– Po prostu oddychaj – poucza.

Rozglądam się po innych obozowiczach, wyraźnie niewiele lepiej radzących sobie z wcelowaniem w tarczę niż Grover i ja, i nagle widzę, jak Bek trafia swoją plastikową strzałą w sam środek. A potem jakimś cudem to powtarza.

Bek i ta jego sprawność tak bardzo mnie urzekają, że zapominam o wodzie w uchu i o tym, co Grover mówił o kanapkach i o mnie. Grubasek ani na moment nie odrywa oczu od celu, przysuwa łuk do policzka, odciąga cięciwę, nabiera tchu i wraz z wydechem puszcza. Widzę, że coś do siebie mówi. Bez

wysiłku zalicza kolejną dziesiątkę.

Podsuwam się do niego, żeby usłyszeć jego słowa, ale okropnie mamrocze, a przez tę przekłętą wodę w uchu dociera do mnie tyle, co nic. Skaczę przechylona na bok, usiłując ją wytrząsnąć. Nagle czuję w uchu ciepło, blokada bowiem wreszcie ustępuje, a słowa Beka aż dźwięczą.

– Ty mówisz po francusku – dziwię się. Bek, zaskoczony, że mnie słyszy, upuszcza łuk na ziemię.

– Nie.

– Kłamiesz.

– Może.

– To co to za sekret? – pytam.

– Nie mam żadnych sekretów.

– Właśnie że masz. Słyszałam. Powiedziałaś: *Voici mon secret* ².

– Ty znasz francuski? – Kiedy kiwam głową, powtarza: – Nie mam żadnych sekretów.

– To czemu to powiedziałaś? – dociekam.

Podnosi swój łuk.

– Dobra, przyłapałaś mnie. Noszę w sobie sekret. Mam rentgenowski wzrok. Tak przy okazji, ładny strój kąpielowy. Grover będzie zazdrosny, że pierwszy go zobaczyłem.

Zasłaniam rękoma piersi, chociaż wiem, że kłamię.

– O co ci naprawdę chodzi?

– Nie rozumiem, o czym mówisz. Ja nawet nie znam francuskiego. – Spod jasnych włosów na czole Beka prześwitują krople potu, ale nagle słychać, że dzwonią na obiad.

– Wygląda na to, że pora coś zjeść. Proszę mi przynieść cały sprzęt – odzywa się Hayes.

– *Voici mon secret* – powtarzam pod nosem, patrząc, jak Bek idzie przez

tory w stronę stołówki. – Oto mój sekret.

– Jaki sekret? – pyta Grover, stając obok mnie.

– Żaden.

– Nieprawda – zaprzecza i mruga do mnie. – Zawsze jakiś jest.

* * *

– Nie patrzcie na to, jak na terapię grupową. Pomyślcie, że chodzi o dzielenie się z grupą – mówi Madison, gdy siadamy w Kręgu Nadziei. – To otwarte forum, na którym będziecie dzielić się z nami swoim życiem. Ja jestem tutaj po to, by was wspierać, a nie osądzać. – Zwraca się do grupy, gestykulując, a na jej kolanach spoczywa mała figurka.

Siedzimy więc kręgiem w Kręgu Nadziei: bulimiczka, dziewczyna, co się tnie, nastolatka z depresją i samozwańczy przypadek choroby dwubiegunowej i psychozy maniakalno-depresyjnej połączonej ze skłonnością do anoreksji, podejrzewający niekiedy, że jest chłopakiem w ciele dziewczyny, Madison i ja.

– To tego nauczył cię Kerry na szkoleniach? – szydzi Cassie.

– Tak – potwierdza Madison. – Właśnie tego.

– A ma kwalifikacje, żeby was szkolić?

– Kerry posiada doktorat z psychologii i pracy socjalnej. Napisał szereg artykułów o swoich dokonaniach w tym obozie. To w pewnym sensie geniusz.

Oczy Cassie błyszczą.

– Chciałabyś go przelecieć, co?

Madison sztywnieje, ale pomija tę uwagę milczeniem. Podnosi natomiast swoją figurkę.

– To jest święty Antonii Padewski. Nasza „róźdzka mowy”. Będziemy go sobie przekazywać, żeby zawsze trzymała go ta, której kolej na zwierzenia. Na znak, że ma mówić. Reszta będzie słuchać.

Rozkopuję ziemię stopą, czubkiem buta rozprawdzam grudki. Nie zamierzam nic mówić. Za wiele ostatnio robiłam, i pływałam, i brałam udział. Akurat teraz wolałabym się zdrzemnąć. Kiedy tak siedzimy, czekając, aż ktoś zacznie, wrywa mi się nawet ziewnięcie.

– Okej, w takim razie ja – mówi Madison. – Pochodzę z Birmingham. To zaledwie kilka godzin drogi stąd. Robię magisterkę z pracy socjalnej na uniwersytecie stanowym w Michigan, a licencjat mam z psychologii, z angielskim jako drugim fakultetem.

Cassie wtóruje mi ziewaniem.

– Ty się nie dzielisz. Ty się chwalisz. Przejdź do prawdziwych problemów, Mads – rzuca.

– Nie nazywaj mnie, proszę, Mads.

– Okej, Mads – zgadza się Cassie.

Madison prostuje się i przekazuje świętego Antoniego Cassie.

– Może teraz ty się podzieliś?

Cassie zakłada ręce na piersi.

– Ja nie mam się czym chwalić.

– Ktoś inny? – Madison patrzy po twarzach. – Dori, może ty?

Dori omiata nas wzrokiem i niechętnie bierze figurkę.

– Mam piętnaście lat. Jestem z Chicago. Moi rodzice się rozwiedli i mieszkam z mamą.

– Świetnie – Madison kiwa głową.

– Wcale nie tak świetnie. Nienawidzę ojczyma.

– Chodziło mi o to, że to świetnie, że się dzielisz.

– W tym nie ma nic świetnego. Jest beznadziejnie. – Dori bawi się skrajem koszulki, zawija w nią świętego Antoniego.

– Może powiesz nam, dlaczego jest beznadziejnie? – zachęca ją Madison.

– Sama nie wiem. – Dori nie odrywa oczu od swojej koszulki. – Mój

ojczym to palant, mama poświęca mu więcej uwagi niż mnie. Wolałabym mieszkać z tatą, ale on wyprowadził się do Oregonu, do swojej nowej żony.

– I jak się z tym czujesz?

– Szkoda gadać – mruczy Dori, ale Madison nie zmienia rozmówcy. Wszystkie więc czekamy, żeby Dori powiedziała coś więcej. – Chyba powinnam się cieszyć szczęściem swoich rodziców, ale nie potrafię.

Madison klepie ją w kolano.

– To nie jest tak, że powinnaś brać to do siebie.

– Do siebie? – Cassie rozwała nastrój chwili histerycznym śmiechem. – Naprawdę tak powiedziałaś?

– Ja już go nie chcę. – Dori wciska świętego Antoniego w ręce Madison i wbija wzrok w ziemię, jakby miała się tam pojawić dziura, która ją pochłonie.

Madison posyła Cassie krzywe spojrzenie.

– Nie patrz tak na mnie, Mads. To ty mówisz ludziom, że mają srać pod siebie.

– Że nie powinni brać rzeczy do siebie – prostuje Madison. – Mówienie, co się powinno czuć, nie pomaga w uporaniu się z tym, co się rzeczywiście czuje.

Cassie przewraca oczami, ale Madison znów skupia uwagę na Dori.

– Ja słucham, co mówisz. Sama pamiętam rozwód swoich rodziców. Było beznadziejnie.

– Twój rodzice się rozwiedli? – Dori ożywia się, a Madison przytakuje.

– Okej. Kto chciałby być następny? – pyta potem.

Hannah i Katie dzielą się z nami tym, że obie pochodzą z Indiany, chociaż nie z tego samego miasta. Rodzice Katie też są rozwiedzeni, ona jednak woli ojczyma od swojego prawdziwego taty. Cassie przez cały ten czas, gdy dziewczyny mówią, to śmieje się, to chrząka, co i rusz przewracając oczami.

– Cassie, może przestałabyś to robić – upomina ją Madison.

– Ja? Nie ja stanowią tutaj problem.

– Co w takim razie jest problemem?

Cassie mruży oczy, a atmosfera w kręgu robi się ciężka. Zupełnie, jakby nad nasze głowy nadciągnęła chmura, dotkliwie obniżająca temperaturę.

– Dlaczego nie zapytasz Katie o to, co naprawdę chcesz wiedzieć? – dopytuje Cassie.

– Ja tylko chcę ją poznać – odpowiada Madison. – Ją prawdziwą. Na tym właśnie staramy się skupić w tym pierwszym tygodniu. Na poznaniu siebie. Naszej prawdziwej natury.

– Chcesz się po prostu dowiedzieć, czemu pakuje sobie palce w gardło. I jeszcze żeby cię potem poklepać po plecach za skłonienie Katie do wyznania spraw, które nie powinny cię obchodzić.

– To nieprawda – zaprzecza Madison. Wyciąga świętego Antoniego w stronę Cassie. – Czemu ty nie podzielisz się z nami informacją o tym, co masz nadzieję odnaleźć?

Cassie wyrywa figurkę z rąk Madison tak szybko, że nas wszystkie to zaskakuje.

– Co mam nadzieję odnaleźć? – drwi. – A co ty masz nadzieję stąd przywieźć, Madison? Chorobę weneryczną?

– Wystarczy, Cassie. – Opiekunka sięga po figurkę.

– Nie. – Dziewczyna odsuwa się. – My jesteśmy dla ciebie tylko wzmianką w perfekcyjnym sprawozdaniu. Nie chcesz nam pomóc. Stanowimy eksperyment naukowy, po którym będziesz mogła wrócić na uczelnię i chwalić się, jak to latem pomagałaś zagubionym nastolatkom i bzykałaś się z facetem, który bije cię na głowę trwałością roztaczanych aromatów i długością włosów.

– To nieprawda.

– Powiem ci, jaka jest prawda. – Cassie odwraca się do grupy i wskazuje

na nas. – Katie zmusza się do rzygania, bo społeczeństwo wmawia jej, że jest za gruba, a ona nie kocha siebie aż tak bardzo, żeby się tym nie przejmować. Dori nienawidzi swojego ojczyma dlatego, że jej prawdziwy tata odtrącił ją dla innej kobiety. Jedno muszę przyznać. To na pewno boli.

– Już wystarczy, Cassie. Usiądź, proszę – wtrąca Madison.

– Hannah się tnie, bo woli czuć fizyczny ból, niż przyznać się do psychicznego. Tu jeszcze nie jestem pewna, co ją tak strasznie boli. A Zander może się okazać najbardziej popieprzona z nas wszystkich, bo do niczego się nie przyznaje.

Znieruchomiałam na dźwięk swojego imienia.

– Słucham? – pytam.

– Zgadza się, Z, jesteś jeszcze bardziej popieprzona ode mnie. – Cassie szczyrzy się do mnie i wyciąga świętego Antoniego. – Czemu nie powiesz grupie, jak trafiłaś na ten obóz?

– Rodzice mnie zapisali – mówię, zacinając się.

– Ale kłamiesz – podśpiewuje Cassie.

– Wcale nie.

– Przypuszczam, że próbowałaś strzelić samobója – mówi.

– Nie próbowałam się zabić – zaprzeczam, rozglądając się po reszcie dziewczyn.

– Twój chłopak cię leje, a mimo to przyjmujesz go z otwartymi ramionami. Albo grozi ci, że wylecisz ze szkoły. Ciepło? – kpi sobie Cassie.

– Nie – odpowiadam z jeszcze większym naciskiem. – Mam świetne oceny.

– Już kumam. Może... – Cassie przysuwa się jeszcze bliżej, prawie pod mój nos. – Może jesteś po prostu samolubną gówniarą, która nigdy w życiu nie doświadczyła niczego złego, a potem dała się nakryć mamusi i tatusiowi na tym, jak daje się dymać swojemu chłopakowi na ich drogiej skórzanej kanapie, i oni pojąc nie mogli, jak kochana córunka może pozwalać, by jakiś chłopiec

wsadzał swoją fujarę do jej niewinnej szparki.

W żołądku mnie ściska, czuję się jak w imadle, które zaraz wszystko ze mnie wydusi. Wpijam palce w drewnianą ławkę tak mocno, że aż boli mnie pod paznokciami, ale mimo to nie odzywam się ani słowem. Nawet zmuszam się do ziewnięcia prosto w twarz Cassie, choć od wdychanego powietrza boli mnie przełyk.

– A może jest jeszcze gorzej? Może jesteś jedynie apatyczną kupą ludzkich cech, obojętnie czekającą, aż coś ją rozjedzie. – Cassie się krzywi. – I to mnie uważasz za wariatkę. Ja przynajmniej coś czuję i nie boję się o tym mówić. A ty coś kiedyś czułaś, Zander?

Apatyczna. Po francusku: *apathique*.

To samo powiedziała pani Nunez, szkolny psycholog. Tata chciał mnie wysłać do, jak to określił, „prawdziwego specjalisty” w szpitalu w Phoenix, mama natomiast upierała się, że w moim przypadku wystarczą jej starania i psycholog w szkole. Ona nie znosi szpitali. Tata przystał na to pod warunkiem, że oprócz tego wyjadę do Camp Padua.

– Wydajesz się bardzo apatyczna, Zander – stwierdziła pani Nunez. – Rozumiesz znaczenie słowa „apatyczna”?

– Mam piątkę z angielskiego. – Patrzyłam przez okno.

– Owszem. – Pani Nunez przerzuciła na swoim biurku zawartość mojej teczki. – Ze wszystkich przedmiotów masz piątki. Dlatego trudno mi zrozumieć, jak do tego wszystkiego doszło. Zander, jesteś mądrą dziewczyną. Powinnaś wiedzieć lepiej.

– To już się nie powtórzy – powiedziałam.

– Wiem, że po tym, co spotkało twoją siostrę, jest ci ciężko, ale posuwać się do takiej skrajności... – Dotknęła mojej nogi.

– To już się nie powtórzy – oświadczyłam głośniej.

– Od tamtej pory dużo płakałaś?

– Pewnie – potwierdziłam.

Kilka tygodni wcześniej Coop łaskotał mnie w łóżku, co oznaczało, że tak naprawdę próbuje zdjąć mi bluzkę. Leżałam nieruchomo i wpatrzona w sufit odmieniałam francuskie czasowniki. Ledwie czułam, że mnie dotyka.

Nagle usiadł i powiedział:

– Kurka wodna. Ty płaczesz. Strasznie to popierdolone, Zander.

Wyszedł i wcale mnie to nie ruszyło.

– Cały czas płaczę – powiedziałam pani Nunez.

Wyglądała na usatysfakcjonowaną i od razu obrała inny kierunek.

– Jestem dobra w układaniu planów. Nakreślmy więc twoją przyszłość, bo powiedziałaś już, że zamierzasz ją mieć – dodała. Do domu wróciłam z listą odpowiednich dla mnie uczelni, którą mama umieściła potem na lodówce pod jednym z jej pouczających magnesów, tym z sentencją: „To, co się zdarza, jest darem”.

To, co spotyka mnie teraz, darem nie jest. Cassie znów pcha mi się pod nos.

– Ignorujesz mnie, Zander? Skupiasz się na czymś, z czym łatwiej się uporać? Udajesz, że mnie nie ma? Kiepska sprawa, bo ja istnieję. Jestem w stu procentach prawdziwa, czy chcesz to widzieć, czy nie.

– Cassie, dosyć – ucina Madison. Cassie zaczyna siadać, a ja cała się trzęsę w tym całym Kręgu Nadziei. Mogłabym gołymi rękami połamać tę ławkę lub wydłubać Cassie oczy jej widelcem.

– Może to ty jesteś zakłamana – atakuję.

– Co? – Cassie powoli odwraca się do mnie.

– Niczym się na swój temat nie podzieliłaś. Skąd mamy wiedzieć, że masz czym? Równie dobrze może być tak, że ciągle kłamiesz – mówię.

– Mam się podzielić czymś na swój temat? – Kiedy Cassie się do mnie przybliżyła, wali mnie w nos jej słodki oddech. Opiera nogę o ławkę. – Widzisz to? – Wskazuje mocno wypukłą, kilkunastocentymetrową bliznę na swojej

goleni. Wierzyć mi się nie chce, że dotąd jej nie zauważyłam. Z drugiej strony jednak ostatnio mało co zauważam. – Pamiątka po zrzuceniu ze schodów przez faceta mojej mamy. Uznał, że fajnie jest katować pięciolatkę na oczach jej matki. Czulaś kiedyś, Zander, jak to jest, kiedy zardzewiały gwóźdź rozdziera ci skórę?

Krew odpływa mi z twarzy, ale z ust nie udaje mi się wydusić żadnych słów.

– Przykro mi, że spotkało cię coś takiego – odzywa się w końcu Madison.

– Naprawdę, Mads? Czy tylko przykro ci, że trafiłaś na mnie? – Cassie rzuca mi pod nogę figurkę świętego Antoniego. – I to by było na tyle.

Wychodzi z Kręgu Nadziei. Ja znów grzebię stopą w ziemi i napierając najmocniej, jak potrafię, rozkopuję ją, aż mija szalejąca we mnie złość. Szkoda, że wszystko tak nie znika.

– Sądzę, że na dzisiaj wystarczy – mówi Madison, podnosząc świętego Antoniego i pakując go do kieszeni.

1. (fr.) Drogi Tato, myślę, że mogę mieć raka. Pozdrawiam [\[wróć\]](#)
2. (fr.) Oto moja tajemnica. [\[wróć\]](#)

ROZDZIAŁ 7

*Kochana Mamo i Prezydencie Cleveland,
poznałem dziewczynę. I jest ona rzeczywista. Będę was informował.*

*Wasz syn,
Grover Cleveland*

Na kolacji Cassie nie ma. Decyduję się na sałatkę szpinakową, ale nie bardzo jestem głodna. Żołądek dokucza mi tak, jakby ktoś w niego przywalił. Cały boli. Zatrzymuję się przed wielką jak moja głowa tacą ciasteczek na pewno nie domowej roboty. Wyglądają na produkcję przemysłową, nieograniczoną żadną datą ważności.

Jedzenie żywności produkowanej przemysłowo równa się spożywaniu samych pestycydów, powtarza zawsze moja mama.

Dokładam do swojej tacy jedno ciasteczko i zajmuję miejsce obok Grovera.

– A gdzie Patyczak? – pyta.

– Nie wiem – odpowiadam obojętnie. Dziobię swoją sałatkę, wrzucam do ust pomidorka koktajlowego. Czuję się, jakbym przełykała jakiś kwas.

– Uciekła – mówi Bek.

– Naprawdę? – prawie krzyczę.

– Słowo daję. – Bek się uśmiecha, a Grover nic nie mówi. Za to co chwilę zerka na mnie.

– O co chodzi?

– O nic. – Grover wzrusza ramionami.

Jem, starając się ignorować to, jak wrednie się w środku czuję. Tego właśnie nie rozumieją moi rodzice. Że dobre samopoczucie oznacza tylko, iż zaraz będzie gorzej. I to o wiele. Wolałabym, żeby było pośrodku. I nic w tym

złego. Tyle tylko, że to teraz niemożliwe. Cassie tak na mnie wsiadła, że nie potrafię zignorować złości, którą odczuwam, a jednocześnie żal mi tej dziewczyny. Dlatego marzy mi się, żeby mieć do tego stosunek obojętny. Przejmowanie się zawsze powoduje ból, niezależnie od tego, czy przeżywa się coś za bardzo, czy za mało.

Kiedy już mam dosyć tej zieleniny z mojego talerza, rozpakowuję sobie ciasteczko. Potem je zawijam. Znowu odwijam. Zlizuję z palców słodkie okruszki. Rozglądam się, czy ktoś w stołówce to zauważył, ale poza Groverem nikt nie zwraca na mnie uwagi. A on tylko siedzi obok i sporadycznie dotyka mnie pod stołem kolanem. Ilekroć do tego dochodzi, cofam nogę, mimo to zawsze udaje mu się ponowić ten gest.

Pod koniec kolacji kładzie mi na tacy jabłko.

– Na wypadek, gdybyś zmieniła zdanie – mówi. Natychmiast mu je oddaję.
– Wiesz, że niektórzy obierają je ze skórki, żeby było im łatwiej zjeść.

– Co z tego? – pytam.

– To, że jeśli nawet je obierzesz, trucizna i tak zostaje w środku.

– Nie zamierzam go zjeść – odpowiadam.

– Kto mówił o zjedzeniu? Chcę tylko, żebyś to zrozumiała. – Grover dotyka pustego krzesła Cassie. – Twarda powłoka zwykle skrywa coś słodkiego.

Chwytam tę aż nadto oczywistą aluzję.

– A co z trucizną w pestkach?

– Każde jabłko nosi w sobie truciznę. Jeśli okazemy się dostatecznie uważni, uda nam się usunąć te pestki. Ale wymaga to cierpliwości.

– Myślałam, że nie znosisz czekania – dziwię się.

– Nie znoszę. – Grover uśmiecha się do mnie. – Ale trucizny jeszcze bardziej.

– O jakiej truciznie mowa? – dopytuję, zakładając ręce na piersi.

Grover bierze jabłko i podrzuca je do góry. Bez trudu je łapie, kiedy spada.

– To może temat na jutro – mówi.

Kiedy wracam, Cassie jest w domku. Pachnie drażetkami lemonheads.

Nikt nic nie mówi, ona też nie. Sięga za to do swojej torby i wyjmuje czerwoną buteleczkę z lakierem do paznokci. Siada na łóżku i maluje paznokcie u nóg, co kilka minut wrzucając sobie do ust kolejną drażetkę.

Kładąc się naprzeciwko niej, nie mogę się oprzeć spojrzeniu na bliznę na jej nodze. Jak mogłam jej wcześniej nie zauważyć?

– Z, jeśli dalej będziesz się na mnie gapić, w środku nocy polakieruję ci czoło.

Gdy się budzę jakoś tak pomiędzy zmierzchem a porankiem, łóżko Cassie jest puste, a okno w łazience otwarte. Wchodzę na sedes i próbuję je zamknąć, ale jakoś nie mogę.

Zamiast tego otwieram je jeszcze szerzej, żeby Cassie nie miała kłopotów z powrotem.

ROZDZIAŁ 8

Ciociu Chey,

już chyba pora, żebym Ci się przyznała, że uprawiałam seks w Twoim łóżku... z Twoim facetem.

Całusy,

Cassie

Próbuję siatkówki, działań artystycznych i rękodzieła, a także jazdy konnej. Po kolejnej morderczej sesji „dzielenia się z grupą” gram nawet z Bekiem w piłkę na uwięzi. W ramach ćwiczenia, dzięki któremu mamy lepiej się poznać, Madison prosi nas o podzielenie się z resztą taką informacją o sobie, jakiej jeszcze nigdy nikomu nie ujawniliśmy. Katie wyznaje, że w pierwszej klasie oszukiwała na teście z matematyki. Hannah opowiada, że się całowała z chłopakiem swojej najlepszej przyjaciółki. Dori mówi, że przeważnie jest przekonana, iż Bóg nie istnieje, i strasznie tym wkurza swojego świętojebliwego ojczyma. Ja mówię, że nie znoszę szpinaku.

– To czemu co wieczór opychasz się pieprzoną sałatką szpinakową? – kontruje Cassie.

Patrzę pod nogi i próbuję sobie przypomnieć, jak jest po francusku „szpinak”, ale w głowie mam pustkę.

– Co z tobą, Cassie? Czego ty nikomu nie powiedziałaś? – pyta Madison.

Cassie uderza językiem o podniebienie.

– Nigdy nikomu nie mówiłam, że to dziwaczne, jak Zander je szpinak, choć go nienawidzi.

Po tym wszystkim idę prosto na piłkę na uwięzi. Poczucie, że w coś uderzam, podoba mi się, a zarazem zbija mnie z tropu – bo wreszcie mam ochotę coś ponawiać. Nie pamiętam, kiedy ostatnio to czułam. Ku mojemu

zaskoczeniu mecz kończy się moją wygraną.

Hayes kibicuje zza linii bocznej, skandując:

– Durga! Durga! Durga!

Bek nie wydaje się zbyt rozczarowany i tłumaczy, że przeszkadzało mu to, że ma sztuczną rękę.

– Dlaczego ty cały czas zmyślasz? – pytam.

– Wcale nie. – Rozciera sobie niewątpliwie prawdziwe ramię i odchodzi.

Któregoś popołudnia jeszcze w tym samym tygodniu leżę samotnie na tratwie, schnąc po pływaniu. To jeszcze jedna rzecz, o jakiej zapomniałam – że uwielbiam przebywać w wodzie. Może zresztą nie zapomniałam, a po prostu nie chciało mi się pamiętać. Tu, na środku jeziora, niemal wydaje mi się, że nie przebywam na żadnym obozie. Wzrok mi ucieka, a myśli odpływają, zaraz jednak uświadamiam sobie, że skoro nie na obozie, to jestem w domu, i znów budzi się złość. Wbijam paznokcie w dłonie. Tak jak się obawiałam, wada uświadamiania sobie, że coś lubię, jest zwracanie uwagi na to, czego nie znoszę.

Tratwa zaczyna się kolebać, bo po drabince wspina się Grover, a potem potrząsa nade mną mokrą czupryną. Na twarz spadają mi kropelki wody.

– W końcu ten legendarny czarny kostium kąpielowy. Spełniły się wszystkie moje marzenia. – Kładzie obok mnie jabłko. – Nie zabrałaś go po obiedzie.

– Ile razy mam ci mówić, że go nie chcę? – Przewracam się na bok.

– Co szkodzi próbować? – Wyrzuca jabłko do wody. Owoc tonie z pluskiem, a chwilę później znów się wynurza i unosi na powierzchni.

– Tak je zmarnujesz? – pytam.

– Wiesz, ta cała zasada „Jedz jabłka, będziesz zdrowy” mnie nie dotyczy. – Grover przygląda się zmarszczkom na wodzie.

– Skąd wiesz, że zachorujesz na schizofrenię?

– Nie wiem tego. Ale tak czuję.

Czuję. Słyszając to słowo, kiwam głową.

– Jak to jest? – pytam.

– Jakbym siedział na chwiejnym krześle, które z czasem rozleci się pod tym naporem. – Grover chwilę patrzy na unoszące się na wodzie jabłko, a potem znów na mnie. – Ale nie mówmy o mnie. Porozmawiajmy o tobie.

– Nie. – Kładę się na wznak i wystawiam twarz do słońca. Chwilę później czuję cień odcinający mnie od jego żaru. Otwieram oczy i widzę twarz Grovera o centymetry od mojej.

– Jesteś naprawdę ładna. Twój chłopak, co gra w futbol, już ci to mówił?

Leżę bez ruchu. Wpatruję się w ogromne teraz oczy Grovera.

– Bo powinien – dodaje.

– Za dużo o mnie nie myśli – odpowiadam. – Po prostu podobają mu się moje cycki.

– To akurat rozumiem. – Grover się uśmiecha. – Skąd wiesz, że o tobie nie myśli?

Ze złości ściska mnie w żołądku. Znowu. Kiedy próbuję zdusić w sobie to uczucie, słyszę w głowie głos Cassie. Apatyczna kupa ludzkich cech. Złość jeszcze się wzmacnia i nie potrafię się jej pozbyć.

– Ponieważ zawsze zapomina o urodzinach mojej siostry – odpowiadam. Nikomu jeszcze o tym nie mówiłam.

– Masz siostrę? Jak jej na imię?

Woda z włosów Grovera kapie mi na czoło.

– Molly.

Mówię o Molly.

– To kiedy Molly ma urodziny?

– Szesnastego września.

– Kiedy wrócę na plażę, zapiszę to sobie w notesie. Będę mógł wysłać jej życzenia. Masz już ochotę spławić swojego chłopaka?

- Nie musisz tego robić.
- Ale chcę – zapewnia Grover.
- I tak do niej nie dojdą.
- Wyjechała na studia?
- Nie, jest młodsza ode mnie – mówię.
- Jest w szkole z internatem? Mogę tam wysłać.
- Ona nie żyje, Grover.

Ledwie te słowa wychodzą mi z ust, mam wrażenie, że w piersi pęka mi jakiś balon. Cała flaczeję. Grover nieruchomieje. Prawie nie mruga.

- Zdecydowanie powinnaś spławić swojego chłopaka – mówi.
- Przyjmuję to do wiadomości.

Zamykam oczy. Wysilek patrzenia na Grovera z tak bliskiej odległości, że widzę pory na jego nosie i piegi wokół oczu, sprawia, że wzrok i tak mi się rozmywa. Od zbyt wielu długich sekund nie padło żadne słowo. Próbuję znaleźć w głowie jakiś czasownik, który mogłabym odmienić po francusku, ale panuje w niej wyłącznie zamęt.

– Czemu tak bardzo się troszczysz o Cassie? Ona jest wredna – odzywam się wreszcie.

- Jak się z tym czujesz?

Czujesz. To słowo mnie prześladowuje.

- Cassie mnie wkurza – przyznaję.

– A więc to działa. – Zdezorientowana, spoglądam na Grovera. – Jeśli ty się na nią wkurzasz, ona ma prawo wkurzyć się na ciebie. Łapiesz? – Uśmiecha się.

- A wkurzanie się jest takie dobre?

– Co jest w nim złego? – pyta. Nie jestem w stanie zebrać w sobie dość energii, by mu odpowiedzieć. W bycie wkurzoną wpisane jest przecież bycie, a ja czasem wolałabym wcale nie istnieć. – Możliwe, że nie chcesz się

wkurzać, Zander, ale może czasem ci to potrzebne.

– Skąd wiesz?

– Nie wiem. Tylko ty znasz siebie. – Grover przysuwa się do mnie, jakby chciał podzielić się tajemnicą. – Troszczę się o Cassie, ponieważ ona tego nie chce – mówi.

– Ale skoro nie potrzebuję twojej troski, czemu jej nie dasz, czego chce?

– Nie chodzi o robienie rzeczy, których ludzie od ciebie oczekują. Idzie o dawanie im tego, czego potrzebują. – Jeszcze bardziej się przybliża, nos ma już o centymetry od mojej twarzy. Przez chwilę myślę, że chce mnie pocałować, i serce mi przyspiesza. – Właśnie taką ciebie chcę zapamiętać na resztę życia.

A potem siada prosto. Słońce tak daje mi po oczach, że momentalnie łzawią.

– Naprawdę powinnaś pomyśleć o spławieniu tego twojego chłopaka – mówi Grover.

– A jak to jest z tobą? – Siadam. – Co ciebie wkurza?

Grover uśmiecha się i daje nura do wody, ochlapując mnie. Dostaję dreszczy, a on, ledwie wynurza się jego głowa, krzyczy:

– Na ciebie mogę zaczekać, Zander!

– Myślałam, że nienawidzisz czekać.

– Zgadza się. – Twarz Grovera ocieka wodą. – Ale to jeszcze nie znaczy, że czasem nie muszę.

Odpływa, a ja dalej siedzę, pocąc się w popołudniowym słońcu. Kiedy robi się zbyt gorąco, zeskakuję z tratwy i płynę w głąb jeziora. Z włosami unoszącymi się wokół twarzy siadam na dnie Kimball. Biorę garść piasku i pozwalam, żeby powoli przesączał mi się między palcami, jak ten w klepsydrze. Staram się oczyścić umysł. Kiedy płuca zaczynają odczuwać brak powietrza, przebijam się do góry i łapię oddech. Chwila dłużej i mogłoby mi się nie udać.

Na plaży trafiam na Cassie, siedzącą na ręczniku. Odchyła się na rękach i celuje nosem w niebo. Wycieram się i zbieram mokre włosy w kucyk. Kilka zostaje mi w ręce. Lepią się do wilgotnych palców.

– Cholera – szepczę.

– Znowu gadasz do siebie, Z?

Wycieram dłonie ręcznikiem i pozbywam się tych włosów.

– Kiedy coś mnie gryzie, za mocno ciągnę się za włosy. Boję się, że kiedyś wyłysię – wyjawiam jej. – Poza tym mam siostrę.

– Jakby mnie to obchodziło – mówi Cassie.

– Ona nie żyje. – Cassie patrzy na mnie, ale nie umiem nic wyczytać z jej twarzy. – Nieczęsto o tym mówię. – Wyciągam ręce wzdłuż boków, opierając się chęci zaciśnięcia pięści. – Mogę cię nauczyć pływać – dodaję.

Cassie robi kwaśną minę.

– Kto powiedział, że nie umiem?

– Nikt. Strzelałam.

Cassie wzdycha przesadnie głośno.

– I kto w ogóle twierdzi, że chcę się nauczyć pływać? Gdyby to miało oznaczać noszenie takiego kostiumu jak twój, wolałabym się utopić.

– W porządku – odpowiadam, wkopując na jej ręcznik trochę piachu. – Ale jeśli uznasz, że ci się przydam, wiesz, gdzie mnie szukać.

PRACA ZESPOŁOWA

ROZDZIAŁ 9

*Kochani Rodzice,
dzięki za sprej przeciw owadom.*

Z

Po tygodniu od rozpoczęcia obozu podczas terapii grupowej Dori postanawia zastrzelić nas tym, że raz próbowała się zabić.

– To było kilka lat temu, tuż po ponownym ślubie mojej mamy. Zamknęłam się w łazience i połknęłam buteleczkę tabletek. Chwyciłam pierwsze, co wpadło mi w ręce, i wzięłam wszystko – opowiada.

– O mój Boże – przejmuje się Hannah.

– Aż tak źle nie było. – Dori kręci głową. – Taka byłam zaryczana, że nie widziałam etykietki na buteleczce. Okazało się, że to było beano, coś na wzdęcia. Nic się nie stało.

Cassie wybucha śmiechem.

– Twoim pierwszym błędem było, że sięgnęłaś po tabletki. Co za gówniarski samobój.

Dori ją ignoruje.

– W sumie na dobre wyszło. Zrozumiałam, że tak naprawdę nie chcę umrzeć. Po prostu dramatyzowałam.

– Dori, przecież to przerażające – odzywa się Madison. – Co by było, gdybyś naprawdę zrobiła sobie krzywdę?

– Nie sądzisz, że brałam to pod uwagę? – kontruje Dori. – Mama musiałaby mieszkać sama z tym swoim neandertalczykiem. – Przewraca oczami, ale Madison chyba nie bierze tego do siebie.

Dotyka nogi Dori i mówi:

– Dziękuję, że się tym podzieliłaś. – I zwraca się do reszty grupy: – Czy jeszcze któraś z was myślała o targnięciu się na swoje życie?

– Głupie pytanie, Mads. Pewnie, że tak. Przecież trafiłyśmy tutaj.

– Ja nigdy nie próbowałam się zabić – mówi Hannah.

– Nie. Ty tylko się okaleczasz. Powiedziałabym, że to równie tragiczne, Żyieto.

– Nie tnę się żyletkami.

– Nie masz nic przeciwko osądzeniu Dori za to, że próbowała skasować się tabletkami na wzdęcia, a wcale nie jesteś lepsza od niej – drwi Cassie.

Po tym na sesji już nic się nie dzieje.

Następnego dnia siedzę w nogach mojego łóżka, regularnie uderzając stopą w podłogę. Trzymanie rytmu zawsze mi pomaga.

– *Devenir, revenir, monter, rester, sortir...* – szepczę do siebie, a palce stóp powili mi drętwieją. – *Venir, aller, naître, descendre, entrer, rentrer...* –

Zacinam się. Stopa wisi nad ziemią, gotowa na następne uderzenie, ale brakuje mi słowa. A przecież czasowniki z listy „Dr & Mrs. Vandertramp”¹ to moja francuska specjalność na ćwiczenie pamięci. Znam je równie dobrze jak zapach swojego domu.

Przezesuję palcami włosy, ale zanim znów sobie kilka wyrwę, nieruchomieję. Macam palcami skórę głowy, badam gęstość włosów. Miałabym ich więcej, gdybym potrafiła skończyć z tym szarpaniem. To w niczym nie pomaga. Za to boli. Opuszczam ręce. Opieram głowę na dłoniach i rozglądam się po domku, jakby gdzieś tutaj schował się ten francuski czasownik, którego nie mogę znaleźć w głowie.

– Co, do cholery, jest dalej? – pytam szeptem.

Chwilę później wchodzi Dori, z plikiem listów w ręku. Jeden z nich wyciąga w moją stronę.

– Poczta. Poza tym za piętnaście minut mamy się spotkać z Madison

w Kręgu Nadziei.

– Dzięki. – Biorę ten list i od razu poznaję charakter pisma oraz adres zwrotny. Nina Osborne.

– Nie otworzysz? – pyta Dori.

– To od mojej mamy.

Macha w powietrzu jakimś innym listem.

– Znam to. Mnie mama właśnie powiadomiła, że jest w ciąży. Listownie. A to oznacza, że uprawiała seks z moim wstrętnym ojczymem. Chyba się porzygam. – Dori wali się na łóżko obok mnie. – Wierzyć mi się nie chce, że część moich genów miesza się z tymi jego, żeby stworzyć nowego człowieka. Jak ja go nienawidzę.

Bywa, że Dori mówi, iż wybiera się na jakieś zajęcia, a potem zastaję ją w domku, śpiącą. Nigdy jej wtedy nie budzę.

– Współczuję, że twoja mama będzie mieć dziecko z kimś, kogo nienawidzisz – mówię.

– Przeżyję. – Skóra wokół jej ust wiotczeje, jakby jej ciążyła.

Gdy Dori już wychodzi, rzucam:

– Skąd wiesz, że masz depresję?

Dori zatrzymuje się i dotyka zamka w drzwiach, obrysowując metal palcem.

– Ponieważ bywają takie dni, gdy mi się wydaje, że to wszystko nie ma sensu.

– Obóz? – dopytuję.

– Nie, Zander. Życie. – Dori wychodzi, cicho zamykając drzwi. Parę razy obracam w ręce ten cienki liścik. Zastanawiam się, czy go nie spalić, ale jeśli wziąć pod uwagę panującą po całym tym dzisiejszym deszczu wilgoć, wątpię, czy zająłby się ogniem. Zamiast tego więc go otwieram.

Kochana Zander,

bez Ciebie jest tu na pewno cicho. Twój tata założył „klub podcastowy”. Właściwie to nie jestem

pewna, czy można nazwać klubem coś, co liczy tylko dwóch członków, czyli jego i mnie, ale przecież mu tego nie powiem. Zmusza mnie do słuchania TED Talks, Freakonomics Radio i całej masy innych kanałów internetowych, które Ty uznałabyś za okropnie nudne. Nie jest jednak tak źle, jak się obawiałam. Myślę nawet, że czegoś się uczę.

Doszłam do wniosku, że właśnie o to chodzi tego lata. O naukę. Ty się uczysz w Michigan, a my z Twoim tatą robimy to tu, w domu. Nie jestem tylko pewna, czy kiedykolwiek się nauczę znosić ciszę związaną z Twoją nieobecnością. Nadal bym chciała, żeby obóz zrobił dla Ciebie wyjątek i zwolnił z zakazu posiadania telefonu. Tyle przeszliśmy, że takie utrzymywanie mnie z dala od mojej córeczki wydaje się okrucieństwem.

Mam w każdym razie nadzieję, że się dobrze bawisz. W twoich listach nie mogę tego wyczytać. Są takie krótkie.

W zeszłym tygodniu widziałam Coopera w tym sklepie spożywczym, gdzie pracuje. Był chyba zbyt zajęty, żeby się przywitać, ale ja mu pomachałam. Mam nadzieję, że na obozie dobrze Cię karmią. Słuchałam właśnie audycji o nadmiarze cukru w naszej żywności. Zwłaszcza w tej żółtej. Trzymaj się z dala od żółtej. I od pomarańczowej. Poza pomarańczami i marchwią, nic nie jest naturalnie pomarańczowe. Je możesz jeść.

Tęsknię za Tobą.
Pozdrowienia
Mama

Przyglądam się jej pismu, tak spiczastemu, jakby wszystkie słowa zakończone były cierniami. Każde banalne zdanie mnie kłuje. Zgniatam ten list w kulę i wyciągam ze swojej torby kartkę oraz długopis.

Piszę:

devenir

revenir

monter

rester

sortir

venir

aller

naître

descendre

entrer

rentrer

Gdy raz po raz powtarzam w myślach te słowa, stopa wybija rytm, ale oczy i tak co chwilę wędrują ku leżącemu obok mnie i zgniecionemu na amen listowi.

Kiedy już nie mogę tego znieść, wyrzucam to mamine pisanie i dobieram się do kupy ubrań na łóżku Cassie. Wiem, że to gdzieś tam jest. Potrząsam parą szortów i słyszę grzechot – lemonheads. Wrzucam sobie do ust trzy, jak tabletki. Słodkie, cukrowe i żółte. Ślina mi cieknie, gdy je chrupię. Składam swoje niedokończone ćwiczenie mnemoniczne z francuskiego i pakuję je do koperty, którą adresuję do mamy. Do Kręgu Nadziei idę okrężną drogą, zahaczam o skrzynkę pocztową przy stołówce i wrzucam ten list.

– Zrywasz ze swoim chłopakiem? – słyszę za sobą głos Grovera.

Z zaskoczenia skacze mi tętno.

– Nie. To list do mojej mamy.

– Napisałaś jej o mnie? – pyta.

– Nie. Opowiedziałam o sobie. Ale i tak nie zrozumie.

Grover kiwa głową. Zapada milczenie. Nie mam pomysłu, co powiedzieć, bo z Groverem nie da się po prostu rozmawiać. Jego ogromne oczy zawsze wyglądają tak, jakby się miały zaraz rozpląkać. Każde słowo wypowiada w taki sposób, jakby miało być jego ostatnim, przez co mam ochotę go chwycić i przed tym ochronić. Akurat teraz ma mokre włosy. Ubrany jest w ociekającą wodą kąpielówki i koszulkę z napisem „O dobrą zabawę nietrudno, gdy ma się kartę biblioteczną”.

Nachyla się do mnie.

– To to?

Odsuwam się.

– Co?

Patrzy na moje wargi.

– Cukier.

Zakrywam dłonią usta i wężam swój oddech.

– Nic nie mów Cassie – proszę.

Grover uśmiecha się i zaciska usta. Żadne z nas jeszcze się nie rusza.

– Nie znoszę tego, jak moja mama daje coś do zrozumienia, a nie powie tego wprost – wyrzucam z siebie w końcu.

– Co na przykład?

– Nie podobają jej się listy ode mnie, ale nigdy się do tego nie przyzna. Pisze jedynie, że są za krótkie, a naprawdę chodzi jej o to, że czuje niedosyt. To jednak nie to samo. – Oczy Grovera znów robią się bliskie płaczu i czuję w żołądku taki ucisk, jakby coś miało go zaraz rozsadzić. – Chciałaby chyba, żeby wszystko było długie i rozwleczone, bo lepiej coś zagadać, niż przemilczeć. Ale przecież nawet tysiąc napisanych słów może nie dorównywać mocy zdania „Kocham cię”.

– Kocham cię – mówi Grover.

– Właśnie tak. „Kocham cię”.

– Powiedz to lepiej swojemu chłopakowi.

– Czekaj. Co takiego? To było tylko porównanie – tłumaczę.

– Dla mnie brzmiało bardziej jak wyznanie. – Grover mruży oko.

Reaguję jękiem i kręcąc głową, idę sobie. Wszystko przez te jego przesadnie wyraziste oczy.

– Zaczekaj. – Dogania mnie i dotyka ramienia. Odsuwam się.

– Już ci mówiłam. Nienawidzę czekać – warczę.

– A ja ci powiedziałem, że czasem bywa to nieuniknione. Przestań się więc przed tym bronić.

– Przed niczym się nie bronię.

– Właśnie że tak – mówi Grover.

– Wcale nie. – Mierzę się z nim wzrokiem. Krople na jego skórze sprawiają, że nos lśni mu w słońcu. RzUCA mi się w oczy, że jego koniuszek jest idealnie zaokrąglony i gładki. – A jak to jest z tobą? – pytam.

– Co ze mną?

– Ty nigdy się do niczego nie przyznajesz.

– Wprost przeciwnie. Teraz na przykład chciałbym przyznać, że pięknie pachniesz. Pasuje ci cukier.

– To się nie liczy.

– Oczywiście, że tak.

– Ale to nie odnosi się do ciebie – tłumaczę.

– Ludzie i tak są zbyt samolubni. Wiedziałaś, że gdyby istniał taki wybór, więcej ludzi chciałoby wygrać w lotto, niż odkryć lekarstwo na AIDS?

– Zapomnij. – Zbieram się, żeby odejść.

– Jesteś tak samo okropna jak twoja mama – woła za mną Grover. Odwracam się gwałtownie.

– Jak możesz tak mówić? – Pokonuję dzielącą nas odległość.

– Mówisz, że ona lubi wszystko rozwlekać. Ty tak samo.

– Nie, wcale nie. – Odsuwam się, ale Grover przesuwa się ze mną.

– Właśnie, że tak. Robisz to teraz.

Robię jeszcze krok w tył i wpadam na drzewo. Nie dość, że z niezbyt głośnym hukiem walę głową w pień, to jeszcze nie mam drogi ucieczki.

– Głowa w porządku? – pyta.

– Niewątpliwie nie. Z jakiegoś powodu chyba tu jestem?

– Chodzi mi o tę część głowy. – Grover dotyka mojej potylicy. A potem odsuwa się ode mnie tak daleko, że powietrze staje się zimne jak wtedy, gdy na pustyni zachodzi słońce. – Jestem pewien, że twoją mamę i tak ucieszy ten list. Prawdopodobnie na niego czeka.

Oddala się, a ja osuwam się wzdłuż pnia i przyciągam kolana do piersi,

żeby ukryć w nich twarz. Wzrok mi się zmęczył i gdy tak siedzę na ziemi, opuszcza mnie energia. Zastanawiam się, czy nie wziąć przykładu z Dori i nie odpuścić sobie terapii grupowej, żeby się zdrzemnąć. Ale im dłużej myślę o Coopie, tym bardziej zmęczenie ustępuje miejsca złości. Chciałabym do niego zadzwonić i zbluzgać za to, że wtedy w sklepie nie zagadał do mamy. Ona może i woli nie dostrzegać rzeczywistości, ale nawet do niej musiało dotrzeć, że nie dlatego się z nią nie przywitał, iż był zapracowany. Coop udawał, że jej nie widzi.

Po drodze do Kręgu Nadziei mijam piłkę na uwięzi. Bez wahania walę ją najmocniej, jak potrafię, posyłając wysoko w powietrze. Szybko owija się wokół słupka, aż rozbrzmiewa brzęk oznaczający, że lince całkiem zabrakło luzu. Odbijam piłkę drugą ręką.

– Durga, Durga, Durga – powtarzam przez zaciśnięte zęby. Bo chociaż moja umiejętność walenia w piłkę na uwięzi znacznie się poprawiła, obóz nie oduczył mnie jeszcze mówienia do siebie.

1. Popularna w krajach anglojęzycznych tabela, ułatwiająca zapamiętywanie francuskich czasowników. Nazwę tworzą ich pierwsze litery. [\[wróć\]](#)

ROZDZIAŁ 10

*Ciociu Chey,
nie zaglądam pod moje łóżko.*

*Całusy,
Cassie*

– Kiedy pada określenie „praca zespołowa”, jakie jest wasze pierwsze skojarzenie? – pyta Madison.

– Napompowana botoksem twarz – odpowiada Cassie. Z przypadkowo dobranych kosmyków robi sobie warkoczyki. Sterczą chaotycznie na jej głowie jak połamane anteny. Naliczyłam ich siedem. Przerywa w połowie warkocza. – Przepraszam. Powinnam uściślić. Twoja napompowana botoksem twarz.

– Nie stosuję botoksu.

– Jeszcze nie, ale będziesz. – Wraca do zajmowania się swoimi włosami. – Już sobie wyobrażam. Za dwadzieścia lat będziesz jedną z kobiet o lśniących gładkich czołach i plastikowych kościach policzkowych, u których górna warga już się nie rusza. Założę się, że kiedy w dwudzieste piąte urodziny zobaczysz u siebie pierwszą zmarszczkę, popędzisz do dermatologa.

– Pytałam poważnie, Cassie.

– To nie miały być żarty, Mads – odpowiada Cassie śmiertelnie poważnie, związując koniec warkoczyka gumką. – Starłam się być szczerą. Cokolwiek mówisz, zawsze najpierw widzę w myślach twoją przyszłą plastikową twarz.

– Dziękuję więc za szczerść, chociaż zachwycona nie jestem.

– Jak większość ludzi – komentuje Cassie, opierając się na rękach i wystawiając twarz ku słońcu. – Kiedy będziesz cała pomarszczona po zbyt

wielu sezonach na plażach Panamy, gdzie dasz się przelecieć jakiemuś koleśowi z wytatuowanym orłem, który przez twoje bryle wyda ci się ciachem, to pozazdrościsz mi cery. U mnie zmarszczki pojawią się po osiemdziesiątce. – Siada prosto i się uśmiecha. – O ile się zdecyduję żyć tak długo.

Po raz pierwszy od początku obozu Madison wygląda na pokonaną. Ta dziewczyna o idealnych paznokciach i długich jedwabistych włosach, choć pozornie niezłomna, sprawia wrażenie bliskiej załamania.

– Zespół to jedna całość – rzucam, chcąc zakończyć spięcie między Cassie a Madison. Wszystkie dziewczyny patrzą teraz na mnie. – Chciałaś wiedzieć, co mi się kojarzy z pracą zespołową? Że „zespół to jedna całość”. Tak zawsze powtarzał mój trener.

– Trener twojej drużyny pływackiej? – pyta Madison. Ramiona trochę się jej rozluźniły.

Kiwam głową.

– Zwróciłam mu kiedyś uwagę, że jak się dobrze wczytać w słowo „zespół”, jest w nim też „pół”. Zignorował mnie.

Madison wręcza mi figurkę świętego Antoniego i szeptem mówi:

– Dziękuję.

Obracam w dłoniach tego człowieczka. Do dzisiaj niewiele się odzywałam na naszych terapiach.

– Opowiedz nam coś więcej o swoim zespole pływackim – mówi Madison.

– Od mojego trenera jechało czosnkiem. Ktoś z was przebywał kiedyś w pełnym wilgoci pomieszczeniu z kimś, od kogo capi czosnkiem? – Kieruję to pytanie do świętego Antoniego, jakbym to z nim rozmawiała. – Wydaje się wtedy, że każda molekuła powietrza niesie w sobie coś z tego najohydniejszego oddechu świata.

– Obrzydliwość – przyznaje Dori.

– Raz próbowałam oddychać samymi ustami, z nadzieją, że w ten sposób nie poczuję czosnku, ale tylko miałam wrażenie, że czuję jego smak – opowiadam.

– O mój Boże, Z, zaraz się porzygam. – Cassie pakuje palec do gardła i ogląda się na Katie. – Dołączysz, Pawica?

– Zamknij się. – Katie piorunuje ją wzrokiem.

– Każdy zespół może być zespołem marzeń – kontynuuję. – To druga rzecz, jaką często nam przypominał.

– Mój trener siatkówki też to powtarzał. – Madison się uśmiecha. – Tacy ludzie pewnie dysponują zbiorkiem podobnych sentencji.

– To trochę jak opiekunowie na obozie – docina jej Cassie.

Ja jednak ignoruję ich spór. Ściskam w ręce figurkę świętego Antoniego, powoli coraz bardziej dusząc tego plastikowego człowieczka.

– Powtarzał nam to przed każdymi zawodami. A ja stałam tam i usiłowałam nie wdychać jego kolacji z poprzedniego dnia i pytałam się w myślach, o jakich marzeniach mówi. O marzeniu o zwycięstwie naszej sztafety? O wygraniu całych cholernych zawodów? To nie są marzenia. To osiągnięcia. I to durne.

– A wygrywałyście? – pyta Dori.

– Za każdym razem – odpowiadam, a potem to koryguję. – Prawie za każdym.

– Wygrana nie jest głupim osiągnięciem, Zander. Człowiek dobrze się czuje po wygranej. Powinnaś być dumna z faktu, że jesteś dobrą pływaczką – mówi Madison.

– W tym rzecz. Nie czułam się dobrze – odpowiadam.

– To jak się czułaś? – pyta.

Stawiam figurkę świętego Antoniego obok siebie, na ławce.

– Nijak. – Robię pauzę, żeby zerknąć na Cassie, i wreszcie kończę: –

Niczego nie czułam.

Krąg na jakiś czas milknie. Nie mogę znieść panującej w mojej głowie ciszy, więc raz po raz powtarzam w myślach modlitwę Camp Padua, bo swoich francuskich czasowników nie potrafię sobie przypomnieć. A wszystko jest lepsze od milczenia.

Módlmy się do świętego Antoniego Padewskiego. O odnalezienie zagubionych. O uwolnienie duszy. O życie wieczne.

Znowu. I znowu. Blokuję dostęp zastojowi.

W końcu Madison bierze się w garść i ogłasza, że zagramy w budowanie zespołu. Jesteśmy na pokładzie samolotu, który spada do wody, ale mamy szalupę, która pozwoli nam się uratować i dotrzeć na bezludną wyspę. Możemy zabrać tylko jedną rzecz, ale musimy całą grupą zgodzić się, co to będzie.

– Macie pięć minut na podjęcie decyzji. Czas więc na pracę zespołową, moje panie. – Madison spogląda na zegarek i daje znak, by zaczynać.

Jeszcze przez chwilę nikt się nie odzywa. W końcu zaczyna Cassie:

– Nie potrzebujemy pięciu minut, bo ja wiem, czego nam trzeba.

– Potrzebujemy wody – mówi Katie.

– Nieprawda, Pawico. Wokół nas jest woda.

– Słona nie nadaje się do picia – protestuje Katie.

– To ją ugotujemy. – Cassie wzrusza ramionami.

– W takim razie potrzebne będą zapalki – odzywa się Dori.

– Bez sensu. Równie dobrze możemy potrzebować dwa patyki – odpowiada Cassie.

Madison uderza stopą w ziemię.

– Trzy minuty.

– A telefon? – sugeruje Hannah.

– Jasne, na bezludnej wyspie na pewno stoi nadajnik sieci Verizon, Żyło.

Geniuszka. – Cassie kręci głową.

– Nie nazywaj mnie Żyletą.

– Czemu nie? Tniesz się, żeby inni cię zauważyli. No to cię zauważam.

– Nie robię tego po to, żeby zwrócić uwagę.

– To po co się tniesz? – Cassie krzyżuje ręce na piersi i przygląda się Hannie, autentycznie zaciekawiona. Tamta patrzy na resztę grupy.

– Ja nadal uważam, że telefon to dobry pomysł.

– Trzydzieści sekund – nuci Madison.

– Okropny, zresztą już wam powiedziałam, że wiem, czego potrzebujemy.

– To nam powiedz – mówię.

Cassie uśmiecha się krzywo i mówi powoli:

– Gdybym była na pokładzie samolotu, który spada...

– Piętnaście sekund – wtrąca Madison.

– I jedyną perspektywą byłoby życie na bezludnej wyspie z wami czterema... – Cassie nachyla się do nas i kończy cichym głosem: – ...to złapałabym za buteleczkę beano, żeby strzelić samobója.

– Czas minął – ogłasza Madison, wzdychając. – Wszystkie zginęłyście.

– No, i beano nie będzie już potrzebne – mówi Cassie z uśmiechem.

ROZDZIAŁ 11

*Mamo,
klub podcastowy brzmi strasznie.*

Z

PS Przepraszam za tamten list.

Tuż przed kolacją zaczyna padać. Kiedy idę do stołówki, niebo przecina błyskawica. Wyciągam rękę, żeby kilka kropli spadło mi na skórę. Pewnie odwołają ognisko, które na dzisiaj obiecał nam Kerry. Nie żebym narzeką. Kilka wieczorów wcześniej, kiedy siedzieliśmy w Kręgu Nadziei, a Hayes, grając na gitarze, nakłonił nas do śpiewania starych piosenek kowbojskich i hymnu „Kumbaya”, dorobiłam się dwudziestu nowych ukąszeń komarów.

Na jednym z takich bąbli na moim ramieniu osiada kropla deszczu. Wcieram wodę w skórę. Cieszę się, że pada.

Mało kto zdążył już dotrzeć do stołówki i przy naszym stole siedzi samotnie Bek. Biorę sałatkę i lemoniadę, potem zawracam i dokładam na swój talerz porcję żółto-pomarańczowego makaronu z serem.

– Potrzebuję twojej pomocy – mówię do Beka, ledwie usiadłam.

Zjada kęs smażonego kurczaka.

– Coś ty za jedna?

– Zander.

– Nie znam żadnej Zander.

– Daj spokój, Bek. Mam problem z przypomnieniem sobie swoich francuskich słówek. – Skubię swój makaron. Na pewno dodano do niego parmezanu.

– Kto to jest Bek?

– Ty – wyjaśniam.

– Nie znam żadnego Beka.

– Niech ci będzie. Alex, potrzebuję twojej pomocy. Ty jeden tutaj znasz francuski.

– Wydawało mi się, że według ciebie nazywam się Bek.

– Zgadza się.

– To kto to jest ten Alex, do którego się zwracasz? – pyta.

– Też ty.

– Mam wrażenie, że bierzesz mnie za swojego dawnego chłopaka z Francji, niejakiego Alexa Beka. Chociaż nie bardzo mi to wygląda na francuskie nazwisko. Mówiłaś, że jak masz na imię? – dopytuje.

– Siedzimy przy tym samym stole od przeszło tygodnia, Bek. Na imię mi Zander. – Akurat dosiada się do nas Grover z tacą zastawioną jedzeniem. Mój żołądek opuszcza przepisowe miejsce w brzuchu i podjeżdża do gardła. Kątem oka przyglądam się Groverowi.

– Witaj przy naszym stole – mówi do niego Bek. – Nie nazywasz się przypadkiem Alex Bek? Ta oto Zander poszukuje swojego byłego chłopaka z Francji.

– Jestem Grover Cleveland. – Grover wyciąga rękę do Beka. – Przyszły chłopak Zander.

Cała temperatura mojego ciała skupia mi się w twarzy i mam ochotę przywalić Groverowi, choć jednocześnie wiem, że tego nie zrobię. Nie mogłabym wyrzucić mu krzywdy. Sama zresztą nie wiem, czego od niego chcę.

– Miło mi cię poznać, przyszły chłopaku Zander, Groverze Cleveland. – Bek wita się z nim, jakby się widzieli po raz pierwszy.

– Wzajemnie. – Grover kiwa głową.

– Co jest grane? – pytam.

– Ja nie wiem – odpowiada Bek.

– Nic dziwnego, że nie wiesz. – Grover klepie go po plecach. – Dostałeś w głowę piłką bejsbolową i na skutek tego uderzenia cierpisz teraz na amnezję pourazową.

– Skąd wiesz? – pyta Grovera Bek.

– To się stało na moich oczach.

Jęcę.

– Obaj gadacie od rzeczy. – Pakuję do ust łychę makaronu.

– Jestem tego świadomy. – Grover mruga do mnie.

– A ja nie – mówi Bek.

Powinnam wiedzieć, żeby nie prosić Beka o pomoc. Przecież nawet nie wiemy, czy naprawdę nazywa się Alex Trebek. Moja frustracja jednak mija, w miarę jak usta wypełnia suty maślany smak makaronu z serem. Osiada mi na zębach i języku.

– Boże mój – mruczę.

– Wystarczy Grover.

Ignoruję ten komentarz i wsuwam do ust kolejną łyżkę, potem następną.

– Zwolnij trochę, mała Miss Piggy. – To Cassie ląduje na swoim miejscu z tacą pełną pomidorków koktajlowych i ogórka.

– Zamknij się – mówię z pełnymi ustami. – To takie pyszne.

– To makaron z serem, Z, a nie orgazm. – Cassie wgryza się w ogórka.

– Miałaś orgazm? – zaciekawia się Bek. – Opowiedz mi o nim.

– Chciałbyś, Bobasku.

– Myślałem, że się nazywam Bek.

– Bo się nazywasz. – Grover znów klepie go po plecach, a potem zwraca się do mnie: – Nigdy jeszcze nie jadłaś makaronu z serem?

Zamieram w pół kęsa. Cały stół zaczyna gapić się na mnie. Przełykam to, co mam w ustach.

– Pewnie, że jadłam. – Wycieram usta.

– Kłamiesz – drwi Bek, celując palcem w moją twarz.

– Znasz się na tym – odgryzam się.

– Makaron z serem to jedzenie dla dzieciaków. Wszystkie opychają się makaronem z serem. Coś z twoją rodziną jest nie tak, Z? – pyta Cassie.

Wzdrygam się na te słowa. Coś jest nie tak z moją rodziną? Jak można jednocześnie zaprzeczyć i potwierdzić?

– Naprawdę nigdy jeszcze nie jadłaś makaronu z serem? – wypytuje mnie Grover, opierając się o stół i patrząc mi w oczy. W duchu błagam go, żeby nie mrugał, boję się bowiem, że po policzku spłynie mu łza, a ja będę musiała ją zetrzeć i wyznać, że nie pamiętam, kiedy ostatnio widziałam parmezan.

Kerry trzykrotnie klaszcze, żeby zwrócić na siebie uwagę sali.

– Jedynym sposobem na odnalezienie się... – wrzeszczy. Mrugam i odwracam wzrok. Odkładam łyżkę, a potem odsuwam od siebie tacę.

Jest przyznanie, że się zgubiliśmy...

– Z uwagi na deszcz musieliśmy zmienić plany na dzisiaj. Zamiast tego, co mieliśmy zaplanowane, czeka was wieczór gier. – Kerry wskazuje wielką szafę w kącie sali wypełnioną grami planszowymi. – Kiedy już posprzątaacie po kolacji, śmiało łapcie za gry i się bawcie. Ci, którzy potrzebują wieczornych lekarstw, niech się zgłoszą do pani pielęgniarki w centrum medycznym.

Do końca kolacji makaron z serem stoi na mojej tacy nietknięty. Po wszystkim wywalam go do śmieci.

Pasjans. Oto gra, na jaką mam dzisiaj ochotę. Próbuję wziąć z szafy talie kart, ale drogę zastępuje mi Grover.

– Zgadnij kto?

– To ma być kolejna z twoich gier słownych z Bekiem? – pytam i usiłuję go wyminąć, ale nadal blokuje mi przejście.

- Nie.
- To co to jest? – dociekam.
- Zgadnij kto?
- Nie muszę zgadywać – krzyczę. – Wiem, kim jesteś. Groverem Clevelandem.
- Nie – odpowiada i pokazuje mi jakieś pudełko. – „Zgadnij kto?” Taka gra. Zagrałabyś ze mną?
- Patrzę, czy ludzie się na mnie gapią. Robią to.
- No dobra – wyrywam Groverowi pudełko.
- Tak przy okazji, urocza jesteś, gdy się wściekasz.
- Nie wściekam się. Jestem załamana. – Kładę grę na stole i otwieram pudełko.
- To dobrze.
- Jak coś takiego może być dobre? – pytam.
- Wiesz, ilu ludzi na tym świecie nie uświadamia sobie, co czuje? Ja, w moim stanie wzmożonej pobudliwości emocjonalnej, miewam trudności z określeniem nie tylko, jak się czuję, ale nawet, czy na kanapce jest szynka czy indyk. Jedno i drugie wydaje mi się w tej chwili równie prawdopodobne.
- Powinieneś więc spróbować – mówię.
- Czego? Szynki, czy indyka?
- Nie. Wyznania, co czujesz.
- Ty wiesz, co czuję. – Grover znacząco porusza brwiami.
- W odniesieniu do mnie może i tak. Ale nie na swój temat.
- To teraz chyba czuję głód – odpowiada.
- Przed chwilą jedliśmy.
- Wiesz, co mi chodzi po głowie? Słone krakersy. Wiedziałaś, że praktycznie niemożliwe jest, żeby w mniej niż minutę zjeść sześć krakersów?
- Że co? – pytam. Nie łapię, jak zeszliśmy na ten temat.

– W ustach się zrobi za sucho. – Grover kiwa głową. – Powinniśmy to sprawdzić. – Wstaje, zanim zdążam mu powiedzieć, że nie mam apetytu ani na krakersy, ani na cokolwiek innego do jedzenia. Trzeba było się uprzeć przy pasjansie, ale Grover zawsze potrafi mnie podejść. Nie uznaje odpowiedzi przeczących, co nawet mi się podoba, choć z drugiej strony desperacko pragnę, żeby zostawił mnie w spokoju.

– Znalazłem. – Grover wraca na swoje miejsce. Wyciąga z kieszeni garść osobno pakowanych krakersów, takich jak te, które w restauracjach podaje się do zup. Nachyla się nad stołem, żeby osłonić dłońmi swoje łupy.

– Gdzie je znalazłeś? – pytam.

– W kuchni.

– Jak się tam dostałeś?

– Nie powiem. – Grover się uśmiecha. – To kto pierwszy?

– Nie będę tego robić.

– Daj spokój. Nie chcesz się przekonać, czy dasz radę? – pyta.

– Kogo obchodzi, czy uda mi się zjeść sześć krakersów w niecałą minutę?

– Mnie.

– Dlaczego? – Nachylam się nad stołem i opieram o niego ręce, naśladowując pozycję Grovera.

– To potwierdziłoby moją tezę.

– Co za tezę? – dopytuję.

– Że jesteś inna od innych. Że prawdopodobieństwo istnienia drugiej osoby dokładnie takiej jak ty wynosi jeden do nieskończoności. – Grover przykrywa moją dłoń swoją i poważnieje. – Chciałbym też, zanim zwariuję, móc się chełpić, że osobiście znam kogoś zdolnego zjeść sześć krakersów w czasie krótszym niż sześćdziesiąt sekund.

Zerkam na jego dłoń na mojej. Nie widać ani skrawka mojej skóry. Ma mnie w garści.

– Dobra. – Sięgam po krakersy i zaczynam je rozpakowywać.

– Zasady są takie, że jedna minuta, zero wody, i musisz zjeść do ostatniego okruszka – mówi Grover, patrząc na zegarek.

– Nie wierzę, że to robię.

– A ja tak. – Grover mruga do mnie. – Jesteś gotowa? – Kiedy kiwam głową, raz jeszcze rozgląda się wokoło i mówi szeptem: – Start!

Zaczynam pałaszować krakersy. Są słone i przepyszne. Kiedy pochłaniam kilka pierwszych kęsów, ciasteczka zaczynają mi się zbrylać pod policzkami. Obrabiam je językiem i łykam po kawałeczku.

– Uroczo wyglądasz, kiedy się opychasz.

– Zamknij się – syczę, wypluwając przy tym na stół kilka okruszków krakersa.

– Je też musisz zjeść – podkreśla Grover.

– Stul dziób! – Podnoszę je ze stołu i pakuję do ust. Nie do wiary, że zżeram przeżute resztki z brudnego blatu w stołówce. O czymś takim rodzice na pewno nie czytali w folderze obozu.

– Trzydzieści sekund.

Grover nie odrywa ode mnie oczu, jakby niczego wspanialszego w życiu nie oglądał. Zaciskam wargi w poszukiwaniu śliny, która pomogłaby mi przepchnąć te krakersy w głąb gardła. Nie chcę zawieść Grovera. W końcu wyznał coś na swój temat, choć, jak zauważyłam, nigdy tego nie robi. Chcę więc tego dla niego dokonać. Muszę. Żując, uświadamiam sobie, że chciałabym móc naprawić to symboliczne rozchybotane krzesło, które Grover uważa za swoje oparcie. Wzmocnić je tak, żeby jego życie nigdy się nie rozpadło.

– Dziesięć sekund – mówi Grover.

Niestety, daje o sobie znać suchość. Przelykam mały kawałeczek, a potem następny, ale nie dość szybko. W ustach mam pustynię.

– Pięć sekund.

Podejmuję ostatnią próbę połknięcia wszystkiego, co mam w buzi, ale bez efektu. Nie uda mi się zapobiec rozpadowi życia. A ono to właśnie robi najlepiej. Wietrzeje, kruszy się i sypie, aż zostają po nim jedynie resztki i okruchy. Kiedy czas mija, siedzę naprzeciw Grovera, z ustami pełnymi krakersów.

– To było niesamowite – mówi.

Połykam i połykam, aż w jamie ustnej robi się pusto.

– Widzisz, nie różnię się od innych.

– Może w kwestii krakersów. – Grover zmiata ze stołu jakiś okruch. Sięga po karty do „Zgadnij kto?” I tak po prostu przechodzimy do gry, jakbym go przed chwilą nie zawiodła.

– Ty zaczynasz – mówi.

Zerkam na osobę, którą wylosowałam. Facet ma na imię George. Jest jasnowłosy i w okularach, lekko przypomina mi tatę.

– Czy twoja osoba jest ruda? – pytam.

Grover kręci głową przecząco.

– Nie.

Przewracam u siebie wszystkich rudowłosych.

– A twoja osoba jest ruda?

– Nie.

Grover robi czystkę wśród swoich.

– Czy twoja osoba ma niebieskie oczy?

– Tak. – Grover raz po raz mruga.

Usuвам u siebie wszystkich o oczach brązowych i zielonych, przez co zostaje mi siedem osób.

– Twoja ma okulary? – docieka Grover.

– Tak – jęczę.

Grover przewraca u siebie prawie wszystkich – zostają mu tylko trzy osoby.

– Czy ta twoja ma kapelusz? – dopytuję.

– Nie.

Jedna osoba leci.

– Grałaś w to, kiedy byłaś mała? – pyta Grover.

– A czemu?

– Tak pytam.

– Owszem – odpowiadam. – Czy twoja osoba ma brązowe włosy?

– Grałaś z Molly?

– Czy twoja osoba ma brązowe włosy? – powtarzam.

– Teraz kolej na moje pytanie – mówi Grover. – Czy grałaś w to z Molly?

– Nie. – Zaciskam zęby.

– Dlaczego? – drąży.

– Była na to za mała. Czy twoja osoba ma brązowe włosy?

– Nadal ja pytam. Jaka była Molly?

– Miała jasne włosy – opisuję ją.

– I...

– Piwne oczy.

– I...

– Smagłą skórę – jęczę. – Po mamie.

Grover przewraca całą resztę swoich osób i sięgając przez blat, chwytam mnie za rękę.

– Zander, ja nie chcę wiedzieć, jak ona wyglądała. Chciałbym się dowiedzieć, jaka była.

Trzyma mnie mocno, ale to nie boli. Wprost przeciwnie. Jego ręka jest ciepła jak koc. Czuję, że oczy mnie pieką.

– Ty nie opowiadasz o swojej rodzinie – kontruuję.

– Ciebie uważam za bardziej interesującą – odpowiada.

– A mnie się wydaje, że uciekasz od swoich problemów.

– To prawda. Ty też. Dobrana z nas para. – Grover przesuwa kciukiem po mojej skórze. – Jaka była Molly?

– Puść moją rękę.

– Nie.

– Dlaczego zawsze musisz mnie dotykać?

– Bo to mi przypomina, że jesteś prawdziwa. Poza tym mnie uszczęśliwia. Widzisz, potrafię się do czegoś przyznać.

– Mnie to nie uszczęśliwia.

– Szczęście nie trwa wiecznie, Zander – stwierdza Grover.

– Coś o tym wiem.

– Jak to „coś wiesz”? Czy to przez to, co się stało Molly?

Po plecach spływa mi kropla potu. Czuję, że pod włosami zbiera się ich całe mnóstwo. Nie da się tego powstrzymać. Nigdy się nie daje. Krzesło znów się połamało, wszystko się rozleci i zostanę z marnymi szczątkami czegoś, co dawało mi oparcie. Bez żadnych szans na ich sklejenie.

Uwalniam swoją rękę i zrywam się od stołu, zrzucając przy tym na podłogę naszą grę. Na zewnątrz deszcz bębni w ziemię, zmieniając wszystko w grzęzawisko. Przez niebo przetacza się taki grzmot, że aż podskakuję, biegnąc w kierunku domku. Nagle zaczepiam o coś nogą – o kamień lub gałąź – i się przewracam. Zdieram sobie skórę na kolanie.

– Zander, zaczekaj! Zatrzymaj się, proszę – krzyczy za mną Grover.

Zawracam gwałtownie, miażdżona ciężarem gniewu, smutku i całej reszty tego wszystkiego, co muszę odczuwać, ilekroć dotyka mnie Grover. Bo niczego takiego nie chcę czuć. Chcę tylko znów zniknąć. Wrócić do tego, jaka byłam, do czasu, gdy nie raniły mnie takie rzeczy i nie przejmowałam się, że coś się połamało. Z całym impetem wpadam na Grovera, bijąc go w pierś. Uderzam go tak mocno, jak waliłam w piłkę na uwięzi, i ręce bolą mnie do

szpiku kości.

– Ja nie wiem, jaka była Molly, jasne? Nic o niej nie wiem! To chciałeś usłyszeć? – wrzeszczę, zataczając się w tył, bo moje stopy nie nadążają za ruchem ciała. W ciemności wokół nas siecze deszcz. Stopa zaczepia o coś na ziemi i wykręca się nienaturalnie, a całą nogę przeszywa mi ból. Z wyciem ląduję w kałuży.

Grover rzuca się ku mnie, ale się od niego odsuwam. Ubranie mam całe w błocie, brudnymi rękoma wycieram mokrą twarz.

– Ani się waż – mówię, choć gardło mnie pali od powstrzymywania łez. Chwytam się za bolące kolano. – Nie dotykaj mnie.

Podnoszę się, ciężar ciała opierając głównie na zdrowej nodze.

– Pozwól, proszę, że zabiorę cię do pielęgniarki. Leci ci krew.

Grover wskazuje na strużkę ściekającą z rozciętego kolana.

Bez słowa odwracam się od niego i kuśtykam w stronę domku. Ból z każdym krokiem się nasila. Już w środku wyciągam spod łóżka swoją torbę, a z niej starą kołdrę Molly. Błoto kapie na podłogę, skarpeta przesiąkła krwią z kolana. Chętnie przedziurawiłabym teraz tę kołdrę, ale zamiast tego przygarniam ją do siebie z całych sił. Potem padam na kolana na twardą podłogę domku i wtulam twarz w ten sprany materiał. Z każdym wdechem szukam jej zapachu. Zapachu mojej siostrzyczki, jakby jeszcze wczoraj spała zawinięta w tę kołdrę, chociaż tak naprawdę nie zdarzyło się jej pod nią spać, a przynajmniej nie tak, jak ja jej tego życzyłam.

Kiedy się w końcu podnoszę, na nodze mam zaschniętą krew. Ściągam mokre ubranie i idę pod prysznic. Noga w kostce spuchła i jest zasiniona, ale nie wygląda to tak źle, jak się obawiałam. Kiedy kończę mycie, słyszę, że do domku wchodzi reszta dziewczyn wraz z Madison. Wkładam spodnie od pizamy i bluzę Uniwersytetu Arizony i wychodzę, utykając, gotowa wskoczyć do łóżka.

– Co ci się, u diabła, stało? – pyta Cassie, kiedy wpycham do worka na brudne rzeczy swoje mokre, zakrwawione ciuchy.

– Nic.

– Zander, chcę, żebyście tego lata miały poczucie swobody, ale proszę, nie opuszczaj zajęć grupowych bez uprzedzenia – mówi Madison, zamykając drzwi na klucz. – Niepokoiłam się.

– Dobrze – obiecuję, włączając pod kołdrę Molly i przykrywając się nią po uszy. Jest poplamiona krwią i błotem, ale jakoś nawet mi z tym lepiej, jakby w końcu sypiał pod nią ktoś żywy.

ROZDZIAŁ 12

Mamo i Prezydencie Cleveland,
zdecydowałem, że chcę zostać latarnikiem. Tak chyba nazywa się osoby, które wskazują statkom bezpieczną drogę do portu. W każdym razie chciałbym zostać takim przewodnikiem statków. Przyślijcie mi, proszę, informację, czy taki zawód jeszcze istnieje. A także więcej bielizny.

*Wasz syn,
Grover Cleveland*

Kiedy się budzę w środku nocy, okno w łazience jest otwarte, a łóżko Cassie puste. Czuję pulsowanie w kostce, a kolano tak mnie mrowi, jakby drobinki brudu z wolna inicjowały infekcję bakteryjną. Gdybym wróciła z obozu jakoś okaleczona, mama by chyba padła.

Kuśtykam do łazienki i przecieram skórę mokrą myjką. Początkowo piecze, zaraz jednak przychodzi ulga. Oparta o umywalkę, wpatruję się w otwarte okno. Jakaś częśćka mnie chce wiedzieć, co Cassie robi co noc.

Wspinam się na sedes i podciągam do góry, żeby się przekonać, w jaki sposób ona wychodzi i wchodzi. Wydaje mi się, że nawet pomimo znacznej różnicy gabarytów, mnie też uda się swobodnie przejść przez to okienko.

Nie zastanawiając się ani nad konsekwencjami, ani nad tym, jak wrócę, wyskakuję na zewnątrz i ląduję na jednej nodze jak pelikan. Gdy ostrożnie stawiam drugą nogę, klapki nieco grzęzną mi w błocie. Jakoś mnie to cieszy i wyzwala. Duszę w sobie okrzyk radości. Zrobiłam to. Uciekłam z zamknięcia.

Zdążyło się już przejaśnić i na skraju nieba wisi sierp księżyca. Kuśtykam małymi kroczkami jak najdalej od domku.

Pomosty nad jeziorem połyskują w blasku księżyca. Właśnie tam odnajduję Cassie. Siedzi wpatrzona w wodę. Sama nie wiem, czemu przypuszczałam, że

ją tu znajdę. No i jest. Nie wiem też, czemu się wykradłam przez okienko łazienki z nogą skręconą w kostce i bez możliwości powrotu. A jednak to zrobiłam. I dobrze się z tym czuję.

Ledwie wchodzę na metalowy pomost i słysząc szczęk, Cassie reaguje gwałtownie.

– Co ty tu, kurwa, robisz?

– A co ty tu, kurwa, robisz? – odpowiadam tym samym.

– Nie twój interes – odgryza się Cassie. – Nie podchodź.

– Dlaczego?

– Boję się, że swoim masywnym cielskiem zatopisz ten pomost.

– Nie mam masywnego cielska.

– Widziałam, że nawet makaron z serem już ci się nie mieścił, tłuściochu. –

Cassie nadyma policzki.

Podchodzę bliżej, ignorując docinki. Cassie sztywnieje. Jeszcze wyraźniej widać białka jej oczu.

– Wyluzuj. Jeśli pomost się zanurzy, uratuję cię, okej?

– Czemu miałabyś to zrobić? Ja bym cię nie ratowała.

– Choćby dlatego, że szczerze to przyznajesz.

Na twarzy Cassie widzę zwątpienie. Dziwnie jest patrzeć, jak się waha. Uważałam ją za kogoś, kto nawet kiedy nie jest czegoś pewny, potrafi się do tego przyznać z całą pewnością.

– Obiecuję, że cię uratuję – zapewniam ponownie i ogień w oczach Cassie odrobinę przygasa. Jej nogi dyndają na skraju pomostu, stopy ma jednak cały czas uniesione nad wodą, jakby się bała, że zetknięcie z nią ją oparzy.

– Czemu ty, kurwa, kulejesz? – pyta, gdy siadam obok niej.

– Skręciłam nogę w kostce. – Zdejmuję klapki i zanurzam palce stóp w zimnej wodzie. Przesuwam się bliżej krawędzi pomostu, żeby skąpać też opuchniętą kostkę, i wzdycham.

– Próbowalaś ją rozmasować? – dopytuje Cassie.

– Nie, tak jest dobrze.

Cassie odwraca wzrok w stronę księżyca. Na jej twarzy widać irytację.

– Jak powiedziałam, mogę nauczyć cię pływać. – Nadal siedzi z nogami tuż nad wodą, choć wiatr wyraźnie się ochłodził. Czekam, aż coś powie, ale bezskutecznie. – Nie jest ci zimno? – pytam.

– Nie.

Kłamie. Przy takim wychudzeniu cały czas musi być jej zimno. Zdejmuję swoją uniwersytecką bluzę i jej podaję.

– Masz – mówię.

– Powiedziałam, że nie jest mi zimno.

– To na wypadek, gdyby ci się zrobiło.

Cassie jęczy, jakbym zażądała, żeby się przebrała za kurczaka i zatańczyła na rogu ulicy z tablicą reklamową w garści. To jednak nie powstrzymuje mnie przed przekazaniem jej bluzy. Wiem, czego ta dziewczyna potrzebuje, nawet jeśli sama nie chce się do tego przyznać.

Poblask księżyca na powierzchni wody zmienia ją w wielkie prześcieradło z czarnej satyny, lub w coś równie gładkiego i miłego w dotyku. Zachęcającego, żeby się pod nim całkiem schować.

– Tę bluzę dał mi mój tata – mówię.

– Ma mnie to wzruszyć?

– Studiował na Uniwersytecie Arizony.

– I założę się, że co lato jeździcie tam całą rodziną. – W głos Cassie wkrada się ożywienie i staje się sarkastycznie słodki. – Tata oprowadza cię po kampusie, opowiadając historyjki o bractwie studenckim i zapewniając, że to były najlepsze lata jego życia. A potem kupuje ci bluzę i mówi, że już nie może się doczekać, kiedy też tam pójdziesz.

Uderzam stopą w wodę, wywołując drobniutkie fale.

– Właściwie, to zamówił tę bluzę przez internet – prostuję. Wreszcie przyciągam uwagę Cassie. – I do przyjazdu tutaj moim najdalszym wypadem od siedmiu lat były zawody pływackie kilka miasteczek dalej.

– Mam ci współczuć?

– Nie – mówię krótko i znów trącam palcami stóp wodę. – Możesz sobie zatrzymać tę bluzę. Ja jej nie chcę.

– Na zawsze? – pyta, a ja kiwam głową. Cassie przygarnia ją do siebie. – O wiele za duża. – Ale i tak ją wkłada. Siedzimy w milczeniu, chociaż na końcu języka mam milion pytań, które bym zadała Cassie. Dlaczego przychodzi tutaj co noc? Kiedy ostatni raz ktoś jej coś ofiarował? Czy pamięta, jak bardzo ją bolało wtedy, gdy się dorobiła tej blizny na nodze? O nic jednak nie pytam. Zachowuję to na później. A na razie po prostu sobie siedzimy razem. W życiu tak pełnym zgiełku czasem najbardziej trzeba człowiekowi ciszy. A życie Cassie na pewno jest strasznie hałaśliwe.

W pewnej chwili Cassie tak nisko opuszcza stopę, że wydaje mi się, iż dotknie wody, a chwilę później wstaje.

– Zaczekaj, aż zejdem z pomostu. Nie chcę, żebyś go rozbijała – mówi.

Wraca na plażę, jakby szła po linie, z ramionami rozłożonymi dla równowagi, balansując. Czekam więc, obserwując ją w mojej przepastnej bluzie sięgającej prawie poniżej jej szortów. Wkładam klapki i kuśtykam za nią.

– Jutro nauczysz mnie pływać – mówi. Kiedy przytakuję, Cassie chwytam mnie pod łokieć. Skórę ma szorstką i odruchowo niemal się odsuwam. Przybliżyła się do mnie i tak ustawia rękę, że zapewnia mi oparcie, jak dźwignia. Dzięki temu mogę odciążyć trochę kontuzjowaną nogę i oprzeć się o pomagającą mi wrócić do domku Cassie.

Kiedy podsadza mnie pod oknem łazienki, jęczy.

– Koniec z makaronem i serem, Z.

– Zamknij się – mówię.

– Sama się zamknij.

Słyszac trzask łamanej gałazki, zamieram przewieszona przez parapet i się rozglądam.

– Słyszalaś to? – pytam szeptem.

– Luzik, Z. Co nam mogą zrobić? – Cassie mocuje się z moim ciężarem. – Właż w to okno. Długo cię nie utrzymam.

Jeszcze raz oglądam się przez ramię i zauważam wysoki cień kryjący się wśród drzew. Znajoma sylwetka. Nie ta, której się spodziewalam. Zaraz zresztą znika.

ROZDZIAŁ 13

Cher Papa,

J'ai récemment souffert de paralysie. Je n'ai pas été vacciné contre la poliomyélite. Je réfléchis à ma nouvelle condition.

Cordialement¹,

Alex Trebek

Rano na torach łuczniczych iskrzą się kałuże. Już teraz jest gorąco i wcale mi nie pomaga, że pod ubraniem mam strój kąpielowy. Ścieram z czoła krople potu i odganiam od siebie komara. Hayes wręcza mi plastikowy łuk i strzały, a ja przesuwam dłonią po przyssawce. Nie wiem, czy Grover przyjdzie dzisiaj na łucznictwo i nie zdecydowałam jeszcze, czy by mi na tym zależało.

– Wcześniej jesteś – mówi Hayes.

– Odpuściłam sobie śniadanie.

– To niedobrze, Durga – frasuje się. – Jeśli chcesz odżywiać umysł, musisz też karmić ciało. Wojownikom potrzebna jest energia.

– Dlaczego uważasz mnie za wojowniczkę? – pytam. Wyłączam w głowie głosik, wrzeszczący, że wcale się nią nie czuję.

Hayes uśmiecha się niespiesznie.

– W naszych wewnętrznych walkach wszyscy jesteśmy wojownikami. Durga istnieje tu, w tobie. – Wskazuje moje serce. – A ty potrzebujesz pożywienia. –

Zaczyna mi opowiadać o hierarchii potrzeb według Masłowa, o której się uczył na studiach z pedagogiki dziecięcej. Że bez jedzenia i wody nie będziemy czuć się bezpiecznie, a bez poczucia bezpieczeństwa nie poczujemy się kochani, natomiast bez miłości nie będziemy mieć szacunku do siebie, zaś bez szacunku do siebie nigdy nie doznamy pełni samorealizacji.

– A więc wszystko zaczyna się od pożywienia i wody? – upewniam się.

– Dlatego trzeba jeść zdrowe śniadania, Durga. – Hayes wyjmuję z kieszeni batonik muesli. – Zjedz.

I tak robię, bo zmartwię się, jeśli Hayes przestanie mnie nazywać Durgą. Gdy uświadamiam sobie, że tak właśnie bym to odebrała, poczucie, że coś może mnie zmartwić, już nie wydaje się tak dręczące. Jeżeli Maslow ma rację, pnę się w górę hierarchii potrzeb i za nic nie chciałabym wylądować znów na dole.

Kiedy jem, ktoś zatrzymuje za mną. Odwracam się i staję twarzą w twarz z Groverem. Niemal się krztuszę. Możliwe, że jednak zlecę na sam dół.

– Nie było cię na śniadaniu. Zdrowo się zabalowało w nocy? – pyta. Grover uśmiecha się tak, że nie potrafię tego rozgryźć. Przewidzieć, co za chwilę powie, też zresztą nie potrafię. Ilekroć wydaje mi się, że wiem, okazuje się, że nie miałam zielonego pojęcia.

Pokazuję mu batonik.

– Wiedziałaś, że pożywienie jest bramą do samorealizacji?

– A ja cały czas myślałem, że jem z uwagi na swoją wzmożoną niestabilność psychiczną i emocjonalną.

Nie śmieję się, chociaż coś we mnie tego chce. Pragnie poczuć się lepiej, i to wrażenie jest tak nowe i szczególne, że nie bardzo wiem, co z nim zrobić. Dławię je więc oddechem i wbijam wzrok w ziemię.

– Jak tam noga? – pyta Grover. Świadomie przenoszę ciężar ciała. Przy nacisku kostka odrobinę boli, ale nocne moczenie w zimnej wodzie chyba jej pomogło.

– Przeżyję.

– Pewnie że tak. – Grover przybliżył się do mnie, co wyzwala we mnie jakiś mechanizm obronny. Jakaś część mnie chce, żebym mu przywaliła w ten śliczny nosek, a inna, żebym dotknęła jego ust i namacalnie poczuła ten uśmiech. Nic z tego mi się nie podoba. – Coś ci przyniosłem – mówi, grzebiąc

w kieszeni.

– Nie musiałeś... – Odsuwam się o krok, ale Grover mnie przytrzymuje. Krzyżuję ręce na piersi, a on pokazuje jakąś buteleczkę.

– Do dezynfekcji. Na twoje kolano. – Grzebie głębiej. – Maść z antybiotykiem i plaster. Chcę zapamiętać cię na resztę życia, ale nie z tego powodu, że przeze mnie masz bliznę.

– Dzięki. – Wyciągam rękę.

– Ja to zrobię. – Klęka przede mną i koniuszkiem palca dotyka strupa na kolanie. – Nie wygląda bardzo źle.

– Przestań. – Uciekam przed jego dotykiem.

Grover podnosi na mnie swoje wielkie oczy. Pierwszy raz nie wygląda na tego pewnego siebie koleśka, którego widuję codziennie. Sprawia wrażenie małego chłopca z problemami. Takimi prawdziwymi, jakich nie powinien mieć żaden dzieciak. Świetnie znam takie spojrzenie.

– Niech ci będzie. – Powoli zbliżam się do niego.

– Przepraszam za wczoraj.

Spryskuje mi skórę antyseptycznym sprejem. Tak piecze, że zaciskam zęby. Grover lekko dmucha na to moje skaleczenie i jego oddech sprawia, że ból ustępuje. Potem wciera mi maść w skórę. Zagryzam dolną wargę, a do oczu napływają łzy. Wydaje mi się, że wszystko mnie w środku boli, a jednocześnie wpadam w euforię. I nie wiem, jak nad tym zapanować. Nie mam doświadczenia z takimi uczuciami. Z Coopem było łatwo, bo przy nim nic nie czułam. Byłam jak szmaciana lalka. Przy Groverze wszystkie zmysły mi się wyostrzają, jakbym jednocześnie płonęła, unosiła się w wodzie i latała w powietrzu.

– Prawie gotowe – mówi, odpakowując plaster. – To dla ochrony. Żeby ci się rana nie otworzyła.

Otwarta. Tak właśnie się czuję. Wiem, że więcej już nie zniosę, więc się

odsuwam.

– Grover, nie musisz mi pomagać.

Chłopak podnosi się i chowa swoją apteczkę do kieszeni.

– Chcę.

– Ale nie musisz – podkreślam. Jestem przecież wojowniczką. Nikt nie musi za mnie staczać moich walk.

– Okej – odpowiada.

– Masz... – Wskazuję jego kolana. Są całe w ziemi, na której klęczał. Nie mówię nic więcej, tylko schylam się przed Groverem. Ręka, którą wyciągam w jego stronę, trzęsie mi się. Biorę głęboki oddech, bo wiem, co muszę zrobić. Dotykam go. Moja skóra wchodzi w kontakt ze skórą Grovera i zmiatom ten brud z jego kolana. To takie proste, choć nie do końca, i wszystko w sobie zawiera.

– Może więc to ja potrzebuję pomocy – mówi Grover. Kiedy wstaję, uśmiecha się, a z jego spojrzenia znów bije pewność siebie.

– Wiem, gdzie byłeś w nocy – mówię. – Robisz to co noc, prawda?

Kiwa głową.

– Na wszelki wypadek.

– Co?

– Gdyby postanowiła skoczyć – odpowiada.

Świadomość tego wyrywa mi powietrze z płuc i znów wszystko we mnie się na niego otwiera. Grover czuwa nad Cassie, żeby móc ją uratować.

– Grover, nie zauważyłem, że przyszedłeś. – Podchodzi do nas Hayes.

Cofam się o krok, czując, że policzki mnie palą, i podaję mu opakowanie po batoniku.

– Dzięki za pożywienie.

– Zbliżasz się ku samorealizacji, Durga.

– Coś w tym jest – przyznaję.

1. (fr.) Drogi Tato, ostatnio nabawiłem się paraliżu, Nie zaszczepiłem się przeciwko chorobie Heinego-Medina. Zastanawiam się nad swoją nową sytuacją. Pozdrawiam. [\[wróć\]](#)

ROZDZIAŁ 14

Cooper,

urodziny Molly są 16 września i wiem, że wtedy w sklepie widziałeś moją mamę.

Zander

PS Zrywam z Tobą.

– Najpierw musisz wejść do wody – mówię.

– Nie. – Cassie krzyżuje ręce na piersi. – I nie włożę tego czegoś.

– Musisz – tłumaczę.

– Przecież widzę, ile tu pleśni. – Cassie wskazuje pomarańczową kamizelkę ratunkową, którą trzymam w ręce.

– Bez niej nie wolno ci wejść do wody. – Zerkam na dyżurującą opiekunkę.

Cassie mruży oczy.

– W tym stroju wyglądasz jak lesba.

– Wcale nie.

– Twoja sprawa, laluniu. Ja tylko mówię, że pewnie lubisz lizać szparki. Nic dziwnego, że kiepsko ci idzie robienie laski.

– Laskę robię nieźle! – krzyczę zbyt głośno. Cassie uśmiecha się wrednie. – I nie jestem lesbijką.

– Jakbyś mogła mnie nabrać. Lepiej ostrzegę Cleve'a, póki się za bardzo nie zaangażował.

Tylko centymetry dzielą nas od wody, Cassie w żarówiastoróżowym skąpym bikini i mnie w czarnym jednoczęściowym kostiumie o sportowym kroju. Ściągnięcie jej z ręcznika zajęło mi wieki.

– Darujmy sobie. Najwyraźniej nie chcesz się nauczyć pływać. – Cofam się o krok.

– I dobrze. – Cassie wraca usiąść na swoim ręczniku.

Już mam się poddać i sobie pójść, gdy nagle coś sobie przypominam – Cassie doprowadza ludzi do szału, żeby dowieść, że ma rację i nikomu na niej nie zależy. Mnie jednak Cassie niewątpliwie obchodzi, bo inaczej nie proponowałabym jej nauki pływania. Nie wyłaziłabym przez okienko w łazience, narażając się na przyłapanie przez Madison lub nawet gorzej, przez Kerry'ego. Cassie wygrzewa się na ręczniku. Człapię do niej.

– Siedź tu i ani drgnij – mówię.

W stołówce Grover i Bek rozgrywają dynamiczną partię speeda, raz po raz waląc kartami w stół. Na sali są też inni obozowicze, zaabsorbowani planszówkami.

– Potrzebuję twojej pomocy – mówię.

Grover odwraca się do mnie – mam na sobie jedynie strój kąpielowy – i oznajmia:

– Ogłaszam, że to najlepszy dzień mojego życia.

Staram się zakryć rękoma.

– Potrzebne mi są krakersy – mówię.

– Po co? – pyta Bek, tasując swoją talię.

– Piramida potrzeb Masłowa.

– Znam Masłowa. – Bek nie odrywa oczu od kart. – Świetny gość.

– Krakersy. Pomożesz mi? – pytam Grovera.

Grover kiwa głową i zaraz znika za drzwiami prowadzącymi do kuchni. Przeszuję z nogi na nogę. Żałuję, że nie pomyślałam o zabraniu ręcznika.

– Nie bój nic. Nie jesteś w moim typie – mówi Bek.

– Słucham?

– Mówię o stroju kąpielowym. Wcale mnie nie kręci. Mam kogoś innego na oku. – Bek nie podnosi wzroku znad tasowanych kart, ale widzę, że się rumieni.

– Wolno nam tam wchodzić? – pytam, kiedy Grover wraca z garściami krakersów.

– Nie wiem. Nie pytałem – odpowiada Grover, przekazując mi ciasteczka.

Kiedy wracam, Cassie siedzi na swoim ręczniku plażowym, z twarzą zwróconą w niebo. Rzucam jej na kolana krakersy.

– Jedz.

– Czego nie kumas w anoreksji, Z?

– Lemonheady jesz.

– One się nie liczą – twierdzi Cassie.

– Czemu nie?

– Bo wszyscy wiedzą, że cukierki to nie jest prawdziwe jedzenie.

– Jedz te krakersy. – Jeśli wziąć pod uwagę, że mam do czynienia z osobą zdolną dźgnąć mnie skradzionym widelcem, kiedy będę spała, daję dowód mojej determinacji, ale ona musi coś zjeść. Bez jedzenia nie będzie czuła się ze mną bezpiecznie.

Cassie podnosi jeden.

– Ile to ma kalorii?

– Pomyśl o tym w ten sposób: od wieków nie zjadłaś żadnego solidniejszego posiłku. Jesteś całe tysiące kalorii na minusie. Krakers ci nie zaszkodzi.

– Kalorie nie tak działają, tępoto.

– Jedz – warczę.

Cassie znów siada na ręczniku i już otwiera usta, jakby zaraz miały z nich paść najpaskudniejsze słowa, na jakie mogłaby się zdobyć. Teksty o szparkach i lasce będą niczym w porównaniu z tym, co teraz dla mnie szykuje.

Nagle robi coś nieoczekiwanego. Rozpakowuje krakersa i go zjada.

– No co? – pyta z pełnymi ustami.

– Nic – mamrocę. Bo rzeczywiście, gdy chodzi o Cassie, chyba nic nie

powinno mnie dziwić.

Kiedy już skonsumowała kilka krakersów, pytam ją ponownie, czy chce się nauczyć pływać.

– Dobra. – Wstaje i otrzepuje zapiaszczoną pupę.

– Ale będziesz musiała to włożyć. – Pokazuję jej kamizelkę ratunkową, leżącą w pobliżu.

– Wporzo. Ale po powrocie do domku pierwsza rezerwuję prysznic.

– Wporzo – naśladuję Cassie, zapinając jej kamizelkę. – Tak przy okazji, lubię cię najedzoną.

Ignoruje ten komentarz i schodzimy na brzeg jeziora Kimball. Przed wejściem do wody Cassie zatrzymuje się i patrzy na nią. Na piaszczystym dnie rozsiadły się kępki wodorostów. Woda jest zielonkawa i mętna, co najwyżej z nutą błękitu, za to dalej, na środku jeziora, jest ciemnoniebieska. Mijają kolejne minuty, a potem Cassie mówi:

– W przedszkolu pięć razy odesłano mnie do domu z powodu wszawicy.

– Co?

– Nie każ mi powtarzać.

– Pięć razy? – upewniam się.

– Mama nigdy mnie nie kąpała, tylko przecierała myjką, a głowę posypywała talkiem.

Jej duży palec u nogi już wisi nad wodą.

– Bała się wody, czy coś w tym stylu?

– Nie wiem. Nie rozmawiała ze mną. – Cassie przygląda się swojej nodze. Jej spojrzenie staje się intensywne, chyba podobnie jak wspomnienia napływające jej do głowy tak wyraźnie, że musi się z nimi zmierzyć.

Muska koniuszkiem palca powierzchnię wody, czym wywołuje ledwie zauważalną falę.

– Chcesz być jak twoja mama? – pytam.

Przecząco kręci głową, więc chwytam ją za rękę. Tym razem się nie opiera.
– Udowodnij – mówię.
Razem wchodzimy do wody.

ROZDZIAŁ 15

Kochani Mamo i Tato,

moglibyście przysłać mi jeszcze jeden kostium kąpielowy? Mnóstwo czasu spędzam w wodzie. Ale bez obaw. Nie będzie tak, jak przedtem. Obiecuję.

I dopilnujcie, żeby był dwuczęściowy.

Z

Na torach łuczniczych stoi cały obóz, podzielony na dwie grupy. Słońce wisi nisko na niebie, które przechodzi z błękitu w róż, fiolet i oranż. Zmrok powinien przynieść mojej skórze ulgę. Ze spieczonych ramion bije żar. Możliwe, że jutro będzie mi schodzić skóra. Ziewam w dłoń. Cała jestem ociężała, a Kerry wyklada zasady podchodów.

– W końcu wiem, czemu cię tu skierowali – szepcze do mnie Dori.

Czując w żołądku ciężar, dopytuję równie cichym głosem:

– Czemu?

Przysuwa się do mojego ucha.

– Bo najwyraźniej jesteś masochistką.

– Nie jestem masochistką.

– To co robisz z Cassie? – Mówi to trochę za głośno i Kerry spogląda na nas.

– Praca zespołowa – ogłasza donośnie Kerry – to podstawa życiowego sukcesu. Nikt nie przetrwa wyłącznie o własnych siłach. Żadne z was nie jest osamotnione. Chcę, żebyście o tym pamiętali, gdy będziecie opuszczać Camp Padua. Nie jesteście sami. Wzajemnie siebie potrzebujemy. A jeśli któreś z was poczuje się zagubione, niech pamięta, że łatwiej jest się odnaleźć, gdy pomagają inni ludzie. – Patrzy w naszą stronę i usiłuje zaprezentować polowanie na flagę jako ćwiczenie na budowanie zespołu, zdolne pomóc

wszystkim zgromadzonym tutaj zabłąkanym duszyczkom.

Kiedy odwraca wzrok, odpowiadam Dori:

– Nic takiego.

– Przez trzy godziny sterczałaś w wodzie, pozwalając, żeby Cassie darła z ciebie łacha.

– Wcale nie darła ze mnie łacha. – Krzyżuję ręce na piersi i drażni mnie moja szorstka skóra. Przydałby mi się aloes.

Dori przekrzywia głowę.

– Nie?

Przypominam sobie niektóre uwagi Cassie z dzisiejszej lekcji pływania. Co do trzech godzin, Dori ma rację. Stałyśmy po uda w wodzie, bo Cassie nie chciała się schylić, zanurzyć twarzy i wydmuchiwać powietrza. Koniec końców, ani razu nie spróbowała. Kiedy zadzwonił dzwon, rzuciła swoją pomarańczową kamizelkę na piasek, żebym to ja ją odniosła. Choć wolałabym nie czuć rozczarowania, uznałam, że mam do tego prawo. Spiekłam się na darmo.

– To były raczej takie spostrzeżenia – wyjaśniam szeptem.

Dori kręci głową, a Kerry kończy:

– Nikt nie przetrwa wyłącznie o własnych siłach. Życie wymaga pracy zespołowej – mówi. Rozdaje flagi i wyznacza granice terenu gry. – Swoją flagę możecie schować gdziekolwiek w lesie wokół torów łuczniczych i stajni. Proszę nie wychodzić poza ten obszar. Jakies pytania?

W całym tłumie jedna ręka wędruje do góry. Przyglądam się jej długim palcom, połączonym dłonią z bardzo długą ręką należącą do jeszcze dłuższego i chudego ciała. Głowa Grovera wystaje ponad czubki czupryn większości obozowiczów.

– Słucham, Grover – mówi Kerry.

– Ja mam pytanie.

– Okej.

– Właściwie, to mam mnóstwo pytań – zastrzega się Grover.

– Okej. Czego dotyczą?

Grover potrząsa głową.

– Dziewczyny... A może powinienem nazywać je kobietami? To będzie moje pierwsze pytanie.

– Powinieneś nazywać je kobietami – odpowiada Kerry.

– Okej. Moje pierwsze pytanie dotyczy więc kobiet. Dlaczego one tak wspaniale pachną?

– Co to ma wspólnego z podchodami? – Kerry sprawia takie wrażenie, jakby kończyła mu się cierpliwość.

– Jak mam grać, jeżeli wokoło będą biegać tak wspaniale pachnące kobiety? Nawet podczas kolacji ciężko mi wysiedzieć koło Zander tak, żeby nie próbować powąchać jej szyi. To nie tylko rozprasza, ale i wydaje się niesprawiedliwe.

Dori ogląda się na mnie. Spieczona skóra jeszcze bardziej parzy.

– Już ci powiedziałem – odzywa się Kerry. – Na obozie obowiązuje zakaz relacji damsko-męskich.

– A ja powiedziałem, że Grover i Zander to brzmi jak para gejów. Nikt się nie domyśli.

– Zander niewątpliwie nie jest chłopcem. – Kerry celuje we mnie palcem.

– Ale mogłaby być – włącza się Cassie. – Widziałeś jej strój kąpielowy?

– Ja tak. – Głos Grovera brzmi teraz kokieteryjnie, chłopak do tego porusza znacząco brwiami. Zakrywam twarz dłonią.

– Wracajmy do pytań – mówi Kerry.

– Jak się zastanowić, Patyczak zadała pytanie – przypomina Grover. – A co z chłopakami gustującymi w innych chłopakach i dziewczynami lubiącymi dziewczyny? Ich ten zakaz relacji nie dotyczy?

Cassie podnosi rękę.

– A gdyby tak dziewczyny podejrzewające, że mogą być chłopakami, mogły w zależności od dnia wchodzić w relacje to z innymi chłopcami, to z dziewczynami?

– Właśnie. – Grover wskazuje Cassie. – I tu nasuwa mi się kolejne pytanie. Jeżeli dziewczyna uważa się za chłopaka uwięzionego w dziewczęcym ciele, to pachnie jak dziewczyna, czy jak chłopak?

– Chciałeś powiedzieć, jak kobieta – poprawia go Cassie.

– Fakt. Jak kobieta – zgadza się Grover.

– Żadne relacje nie wchodzi w grę – ucina Kerry. – Możemy już wrócić do tematu?

– Pytałeś, czy mamy jakieś pytania. No to je zadaję – wyjaśnia niewinnie Grover.

– Dotyczące podchodów – odpowiada z naciskiem Kerry.

– Podchodów? – Grover wygląda na zaskoczonego. – W zeszłym roku w to graliśmy. Mnie pasuje. Nie mam pytań.

– Dziękuję. – Kerry dmucha w gwizdek i obozowicze zaczynają się rozchodzić.

– Grover naprawdę cię lubi – mówi Dori, kiedy nasz zespół zbija się w grupkę, żeby ułożyć plan.

– Nawet mi nie przypominaj.

– Dlaczego się zachowujesz tak, jakby to było coś złego? – pyta.

Nie odpowiadam, bo nie wiem, co powiedzieć. Czuję się zagubiona przez same myśli o Groverze i cała gama jego uczuć do mnie miesza się ze wszystkimi odcieniami tego, co ja czuję. Może z ich połączenia powstałaby tęcza, a może tylko wielka brunatna breja.

Nasza drużyna znajduje sobie wreszcie schowek, wysoko na drzewie, i upychamy tam swoją flagę. Kiedy dochodzi do podziału drużyny na grupki,

do akcji wkracza Cassie.

– Od teraz ja przejmuję stery. – Wskazuje kolejne osoby. – Ty, ty, ty, ty nie, ty, ty zdecydowanie nie, ty, no i Zander. Wy będziecie ze mną. Będziemy dowodzić poszukiwaniami flagi tamtych.

Dori, oddalając się z drugą połową naszej drużyny, klepie mnie po plecach i sarkastycznie życzy:

– Powodzenia.

Gdy ustalamy plan przechwycenia flagi, ja stoję na wpół zgięta.

– Rozdzielmy się – mówi Cassie. Podchodzi i chwytam mnie za ramię. – Ty idziesz ze mną.

– Auć. – Odsuwam się. – Spiekłam się na słońcu.

– Problemy białych ludzi. – Cassie kręci głową. – Daj spokój, Z, w imię pracy zespołowej potrzebuję twojej pomocy.

Ciągnie mnie przez las, daleko od reszty grupy i od granic obszaru gry, wyznaczonego przez Kerry'ego. Próbuję się uwolnić, ale Cassie nie puszcza. Kostka nadal trochę mi dokucza i się potykam.

– Dokąd idziemy? – pytam prawie bez tchu.

Cassie nie odpowiada, a tylko jeszcze bardziej mnie ciągnie. Jej paznokcie wpijają mi się w skórę. Kiedy zaczepiam nogą o wystający z ziemi korzeń i padam, wreszcie się zatrzymuje.

– Co my, u diabła, robimy? – wrzeszczę, waląc dłonią w ziemię.

– Nie za bardzo się dziś rzucasz? Powiedziałam, że potrzebuję twojej pomocy. Potraktuj to jak pracę w zespole.

– To nie jest żadna praca zespołowa – odpowiadam. – Ciągłe mnie ustawiasz. Cały dzień próbuję ci pomóc, a ty tylko robisz sobie ze mnie jaja!

Cassie przygląda mi się, gdy tak leżę na ziemi. W jej zmrużonych oczach błyska coś, co widziałam w nich zaledwie kilka razy. Smutek.

– Jak chcesz. – Zbiera się, żeby iść dalej.

Podnoszę się z jękiem. Nie obchodzi mnie, czy Cassie posmutniała dlatego, że nie będę jej towarzyszyć. Niech sobie idzie, gdzie chce. Ja dość się za nią naganiałam. Wystarczająco długo stałam w wodzie, czekając, aż się ruszy. A jednak...

Może właśnie tak wszyscy ją dotąd traktowali. Zostawiali samą w wodzie, bo dłużej nie potrafili tego wytrzymać. A ja przecież smak samotności znam aż za dobrze.

– Zaczekaj – krzyczę. Cassie ogląda się na mnie. – Też idę.

Z jej twarzy momentalnie znika smutek.

– Zaczekaj tutaj – mówi, gdy stajemy pod naszym domkiem, a potem znika w środku. Wychodzi ubrana w bluzę uniwersytecką ode mnie i ze swoją torbą sportową w ręce.

– Czy ty czasem nie uciekasz?

– Od czego? Nie da się uciec nikąd. Idziemy.

Bez słowa maszerujemy więc przez obóz. W mojej obecności Cassie wydaje się spokojna. Co jakiś czas zerka na moje spalone ramiona. Ja natomiast nieustannie rozglądam się wokoło, jak wiewiórka obawiająca się potrącenia przez samochód.

– Wyluzuj, Z – mówi, gdy dochodzimy do centrum medycznego. W tym drewnianym baraczk, kryjącym wszystkie lekarstwa potrzebne obozowiczom i nie wiadomo, co tam jeszcze, światła są teraz pogaszone.

– Co tu robimy? – pytam, ale zamiast odpowiedzieć, Cassie podchodzi do zamkniętych drzwi i wyjmuję z kieszeni klucz. – Skąd go masz?

– Nie powiem – ucina i otwiera drzwi. – Stój tutaj i pilnuj.

– Tylko jeżeli powiesz mi, co robisz.

– Im mniej będziesz wiedziała, tym lepiej – zapewnia Cassie.

– Dlaczego? – rzucam.

– Dla spokoju ducha, Z. Staram się cię chronić.

Cofam się, kiedy to słyszę.

– Co takiego ważnego jest w centrum zdrowia?

Cassie patrzy mi w oczy.

– Coś, czego potrzebujemy.

Znika w baraku. Chodzę tam i z powrotem, rozglądając się, czy ktoś nie nadchodzi. Czego mogłaby stąd potrzebować Cassie? Przychodzi mi na myśl milion różnych możliwości. To w końcu dziewczyna, która przy naszym pierwszym spotkaniu połknęła garść tabletek odchudzających. A ja ją, ot tak, wpuszczam do budynku pełnego lekarstw, i to wyposażoną w torbę? Opuszczone dłonie zaciskam tak, że paznokcie wbijają mi się w skórę. Boli. A ja nie chcę, żeby bolało. Ale już nie potrafię tego powstrzymać tak, jak kiedyś. Nie mogę odpędzić od siebie bólu.

W chwili, gdy już mam tam wejść i sama ją wyciągnąć, słyszę czyjeś kroki.

Chowam się za barakiem i wyglądam, żeby zobaczyć, kto idzie. Krew tętni mi w skroniach. Kiedy zza rogu wyłania się długi cień, a za nim krótki i okrągły, odprężam się.

– Co wy tu, do cholery, robicie? – pytam ochryłym szeptem, kiedy już wiem, że to Grover i Bek.

– Zapewniamy wsparcie. – Grover rozkłada ręce, jakby chciał mnie objąć. Nie podchodzę, więc sam się do mnie przybliża. – Cassie nie była pewna, czy będziesz miała wystarczające jaja. – Szturcza mnie w bok.

– Wystarczające jaja? – powtarzam.

– Tak, jaja – potwierdza Grover, jakby się ze mną drażnił. – Powiedziałem jej, że masz.

Opieram się o budynek, bo niespodziewanie opadam z sił. Czuję w nogach zmęczenie po całym dniu stania w wodzie.

– To Cassie sądzi, że nie mam jaj? – Nikt inny w tym obozie nie dałby się jej torturować sarkazmem, no może poza Groverem. Przyciskam głowę do

ściany baraku i patrzę w górę, na ciemniejące niebo. Prze gęsty baldachim gałęzi przebijają jedynie małe plamy koloru.

– Jakie jest niebo nad Arizoną? – pyta Grover tak łagodnie, że mnie to zaskakuje.

– Ogromne, powiedziałabym. Większe niż tutaj. – Nie odrywam oczu od nieba, usiłując dojrzeć przez gałęzie jakąś gwiazdę. Przy moim domu nie rośnie żadne drzewo, jest tylko twarda trawa i kurz. Tutaj trawa jest inna, gładka jak jedwab. Widać, że nie brakuje jej wody.

Siadam na ziemi, czując, że opadłam z sił. Kiedy się odzywam, mam wrażenie, że mój głos stracił dźwięczność.

– W Arizonie wszystko jest bardziej na widoku.

– To chyba by mi się spodobało. – Grover siada obok mnie.

Zaprzeczam ruchem głowy, ale jeszcze na niego nie patrzę.

– Na pewno nie.

– Dlaczego? – pyta.

Przesuwam dłonią po tej solidnie nawodnionej, pełnej życia trawie koło mnie.

– Bo tam wszystko wygląda tak, jakby za moment miało umrzeć.

Dotykam łukowatych śladów po paznokciach, znikających już z moich dłoni. Tył szortów mi przemaka, bo ziemia po deszczu jest jeszcze wilgotna. Gdybym wzięła jej trochę w garść, przylepiłaby mi się do palców i wnętrza dłoni. Gdybym zrobiła to samo w Arizonie, rozsypałaby się i ulotniła z wiatrem.

Kiedy przyglądam się swoim dłoniom, nagle coś czuję. Zerkam w bok i widzę, że Grover wpatruje się w moją szyję. Chwilę później orientuje się, że go przyłapałam. Odrywa wzrok od mojej opalenizny i dotyka mojego ramienia. Piecze.

– To boli – mówię.

Kiwa głową i kładzie ręce na kolanach.

– Mam pytanie – wtrąca Bek. Krąży przed nami, skubiąc paznokcie i sprawiając wrażenie jeszcze bardziej zdenerwowanego ode mnie.

– Tylko jedno? – upewnia się Grover.

– Jak się odczuwa miłość?

– Co takiego? – Nieco odrywam się od ściany.

Oczy Beka robią się ogromne, widoczny w nich błękit się iskrzy. Chłopak wygląda na przerażonego.

– Chyba się zakochałem.

– Kłamie? – pytam szeptem Grovera.

Grover wzrusza ramionami.

– Też chciałbym wiedzieć.

W tej właśnie chwili z drzwi baraku wybiega Cassie. Wpada prosto na Beka i przewraca go na tyłek. Jej sportowa torba ląduje na ziemi.

– Sorki, Prosiaczku. – Podaje mu rękę, on ją chwytą. Mimo iż zmierzcha, widzę, że się zarumienił.

– Patyczak, masz już to, czego potrzebowałaś?

Cassie potwierdza kiwnięciem głową i uwalnia się od uścisku Beka.

– Boże mój, ale łapy ci się poca.

– *Je suis désolé* – mamrocze Bek. Słyszając francuski, podrywam się.

– Co? – pyta Cassie.

– Nic. – Bek wpycha ręce w kieszenie i wytrzeszcza oczy na mnie, błagając chyba, żebym nie wyjawiała, że się zmartwił.

– To co jest w tej torbie? – Chcę ją podnieść, ale Cassie zastępuje mi drogę.

– Tym się nie przejmuj. – Przerzuca ją przez ramię. – Spadajmy stąd. Trzeba to upchnąć, póki nikt nie widzi.

Na wpół idziemy, na wpół biegniemy do naszego domku, Bek obok Cassie, a Grover przy mnie. Ze wzrokiem utkwionym w jej torbie zastanawiam się, co może się w niej kryć, ale mam też wrażenie, że może nie chcę wiedzieć.

– Zapomniałabym. – Cassie wyjmuję z kieszeni szortów jakąś buteleczkę i mi ją rzuca.

Chwytam.

– Aloes? – pytam.

– Sorki, że się spiekłaś, Z.

Cassie przyspiesza i zrównuje się z Bekiem. Ja stoję w miejscu zaszokowana, wciąż z tą buteleczką żelu aloesowego w ręce.

– Grover, skąd jesteś? – odzywam się wreszcie.

Nie odpowiada. Kiedy mam już ponowić pytanie, powstrzymuje mnie głos Cassie.

– Szkoda twojego czasu, Z. Nigdy ci nie powie.

– Dlaczego? – Kieruję to pytanie do Grovera.

– Wiedziałaś, że cztery osoby na dziesięć nigdy nie opuszczają miejsca swojego urodzenia? – pyta, zamiast odpowiedzieć.

Warczę, za bardzo zmęczona i spieczona na te jego gierki.

W domku Cassie chowa torbę pod swoim łóżkiem. Bek staje w drzwiach i niespiesznie zaciąga się powietrzem.

– Tutaj pachnie winogronami.

– Widzisz – mówi Grover. – Dziewczyny pięknie pachną.

– Tobie tylko żarcie w głowie, Bobasku? – Cassie szturcha Beka w brzuch.

– I seks – dodaje.

– Mówiłem – zwraca się do mnie Grover. – To twoje łóżko? – Siada na kołdrze Molly.

Dlaczego pozwalam mu na tyle pytań, chociaż na moje nigdy nie odpowiada? Bierze do rąk kołdrę i przygląda się plamie krwi z tamtej nocy. Przeczesuję palcami włosy i w ostatniej chwili powstrzymuję się przed wyrwaniem kilku. W gardle rośnie mi gęsia skórka.

– Spływajmy stąd, zanim podłapiemy coś wenerycznego od Mads. – Cassie

wychodzi, a za nią Bek.

Czekam, żeby Grover wstał z mojego łóżka, ale on nic takiego nie robi. Przesuwa dłońmi po poduszce i rozsiada się jeszcze wygodniej. Unikam jego wzroku. Poklepuje miejsce obok siebie, zachęcając, żebym też usiadła, ale nie reaguję. Zamiast tego idę do łazienki i przyglądam się opaleniznie na ramionach. Są bardziej czerwone niż przypuszczałam. Wcieram w nie ten chłodzący żel. Kiedy staje za mną Grover, przechodzi mnie dreszcz. Może przez aloes. A może nie.

– Boli – mówię.

Kiwa głową.

– Wiem. Ale tylko tak można się wyleczyć.

Też kiwam głową.

– Beznadzieja.

– Owszem – potwierdza Grover.

Patrzy na mnie z lustra, a na jego twarzy maluje się spokój i pewność. Jak to możliwe, skoro balansuje na czymś, co w każdej chwili może się zerwać. Na myśl o tym czuję ucisk w żołądku, a może to serce mi pęka. Nie potrafię określić.

– Dlaczego nie powiesz mi, skąd jesteś? – pytam.

– Bo jestem tchórzem.

– Nie wierzę.

– To masz problem – mówi Grover.

– Ty też.

– Wiem o tym – przyznaje.

Rzeczywiście mam problemy, ale nad nimi pracuję. Przekrzywiam więc głowę na bok i odgarniam w tył włosy, odsłaniając szyję.

– Śmiało – mówię.

– Poważnie? – pyta Grover.

Ręce mi się trzęsą.

– Tak.

Uśmiecha się, a potem nachyla nade mną. Jego nos muska mi skórę, jak piórko.

I Grover wdycha zapach mojej szyi.

Kiedy już wracamy na tory łucznicze, mówi:

– Coś zauważyłem.

– Co takiego?

– Cassie ma nową bluzę.

Wzruszam ramionami.

– Naprawdę? – pytam.

Grover kiwa głową i idziemy przez las, tratując sosnowe szyszki.

– Jak w ogóle zaprzyjaźniliście się z Cassie? – pytam.

– Przywaliła mi. – Twarz Grovera rozciąga się w pociesznym uśmiešku. – Za nazwanie jej Patyczakiem.

– Nadal ją tak nazywasz.

Zbliża się do mnie o krok.

– Jak myślisz, ile Cassie ma ksywek?

– Niewiele – odpowiadam.

– A jak sądzisz, czemu? – dopytuje. Patrzą w te jego wielkie oczy. Chłopak kryje w sobie tajemnice i już prawie je widzę. – Bo nikogo nie obchodzi na tyle, żeby ją przezywał. Potrzebowała kogoś, kto się nią przejmie.

Przeciąga końcami palców po moim pokrytym aloesem ramieniu.

– Nauczy się pływać – mówi. – Nie rezygnuj z niej.

Nie zrezygnuję, odpowiadam w myślach.

– Gdzie byliście? – Spomiędzy drzew wyłania się Madison, ciężko oddychając. – Szukaliśmy was.

– My też nas szukaliśmy – odpowiada Grover.

– Co to miało znaczyć? – dziwi się Madison.

Grover patrzy na mnie.

– Zander, co to znaczy? Czasem ludzie błędzą, gdyż za bardzo się boją patrzeć na ścieżkę. Kiedy indziej unikają drogi ze strachu przed tym, co mogliby na niej napotkać. Łatwiej jest obserwować z cienia.

– Praca zespołowa. – Wzruszam ramionami. – Kerry powiedział, że jeśli coś zginęło, łatwiej będzie to znaleźć, jeśli inni pomogą szukać.

Mimo mroku widzę, że Grover się uśmiecha.

– Amen.

ROZDZIAŁ 16

*Ciociu Chey,
naprawdę nie jesteś moją ciotką, więc przestańmy udawać.*

*Całusy,
Cassie*

Następnego dnia Cassie chowa głowę pod wodą i bulgocze. Sama się schyla i to robi. Nie muszę się wyklócać. Nawet nie dogryza mi sarkastycznymi komentarzami. Wchodzimy w głąb jeziora Kimball. Patrzy na wodę, a potem zanurza głowę.

– Masz – mówi, wypluwając wodę z ust i wycierając twarz. Cała w szoku pytam:

– Co ty, do cholery, w nocy wykradłaś?

– Bo co?

– Bo to dziwne. Ty jesteś dziwna. Ukradłaś z centrum medycznego lekarstwa?

– Ktoś się tym przejmie? – śmieje się Cassie.

– Ja się przejmę – krzyczę.

Na twarzy Cassie pojawia się półuśmiezek.

– Czemu miałabyś się przejąć?

Spuszczam wzrok na swoją koszulkę, okrywającą kostium kąpielowy. Dzisiaj muszę chronić ramiona. Nie mogą być wystawione na słońce, bo zacznie mi schodzić skóra. Aloes pomógł, ale w jedną noc to się nie wygoi. Potrzeba kilku dni.

– Coś sobie w nocy uświadomiłam. – Bawię się skrajem koszulki.

– Co takiego?

– Że od trzech dni nie odmieniałam żadnych francuskich czasowników.

– Co to ma wspólnego ze mną? – dziwi się Cassie.

Zagryzam wargi. Nie pamiętam, żebym wcześniej w tym roku miała głowę wolną od nieustannie mnie zalewających słów w obcym języku, od tego morza liter, w którym mogłam nurkować i znikać. Ale Cassie wszystko utrudnia. Łamie słowa na tak małe kawałeczki, że trudno je odczytać. A może to we mnie coś się połamało? Tak czy inaczej, nie czuję się na siłach ich poskładać.

– Nie chcę, żeby cię wywalili z obozu, okej? – mówię.

– Dlaczego? Żal by ci mnie było?

– Nie – ucinam. – Żal by mi było siebie samej. – Cassie mruży oczy, jakby próbowała doszukać się w tym fałszu, ale ja nie kłamię. Mówię prawdę.

– I żal by mi było też Grovera – dodaję.

Kiedy wypowiadam to imię, Cassie poważnieje.

– Nie bój nic. Nie ukradłam lekarstw.

– To dobrze.

– Ale gdybym ukradła... – Cassie staje niekomfortowo blisko mnie i patrzy mi w oczy. – Co byś zrobiła?

To jest sprawdzian. Czuję to.

– Nic – odpowiadam.

Przygląda mi się uważnie i odsuwa się.

– Wsadziłam łeb do wody. Co dalej? – pyta.

– Unoszenie się na wodzie – mówię, nabierając tchu. – Żeby pływać, musisz umieć utrzymać się na wodzie.

Cassie szarpie za pomarańczową kamizelkę ratunkową, którą ma na sobie.

– To mnie będzie unosić, matole.

Komentarz pełen złości. Dowód na to, że naprawdę nie jest na żadnych prochach. Zaciągam Cassie na brzeg za tę jej kamizelkę ratunkową i sięgam do swojej kieszeni po paczkę krakersów, którą Grover przekazał mi przy

śniadaniu pod stołem.

– Jedz. – Podaję ją dziewczynie.

– Tylko z tabletkami odchudzającymi. – Mierzy mnie wzrokiem. – Tobie też by się przydały.

– Bez tabletek.

– Z tabletkami – odpowiada Cassie.

– Bez tabletek – powtarzam. Cassie nadal obstaje przy swoim. – Daję słowo, że dopóki nie będziesz brała tabletek, nie będę odmieniać żadnych francuskich czasowników.

– Skąd mam wiedzieć, czy naprawdę robisz coś takiego?

– Znikąd. Musisz uwierzyć, że mówię ci prawdę.

– Prawdę – powtarza Cassie. A potem dodaje: – Dobra. Nie będę już brała żadnych tabletek na odchudzanie, jeśli mi powiesz, czemu tu trafiłaś.

Słowa Cassie zaskakują mnie. Przez ułamek chwili widzę w myślach jedno francuskie zdanie z czasem przeszłym niedokonanym. Nauczycielka francuskiego kazała nam chodzić po klasie i przy użyciu tego czasu opowiadać o czymś, co w miarę regularnie robiliśmy, kiedy byliśmy młodszy.

Quand j'étais petite, nous allions à la plage chaque semaine.

Kiedy byłam mała, co tydzień chodziliśmy na plażę.

Uderzyła wtedy językiem o podniebienie i powiedziała mi, że to niemożliwe, bo w pobliżu nie ma żadnej plaży. Miała rację. Zmyśliłam to, ponieważ nie chciałam opowiadać o tym, co zwykle robiliśmy. Ale i tak wiedziała, co się dzieje u nas w domu. Wszyscy wiedzieli.

– Powiem ci. – Nie potrafię spojrzeć na Cassie. – Ale jeszcze nie teraz.

– Obiecujesz?

Zmuszam się do podniesienia wzroku.

– A ty obiecujesz, że nie będziesz już brała tabletek na odchudzanie?

Cassie z wahaniem kiwa głową.

– Obiecuję – mówi.

Podajemy sobie ręce na potwierdzenie. Przyglądam się jej okropnej kamizelce ratunkowej.

– To co z tym robimy?

Widzę na twarzy Cassie chytry uśmieszek.

– Przekonasz się.

* * *

Zanim dźwięk dzwonu ogłosi koniec naszej rekreacji, Cassie zanurzy głowę w wodzie jeszcze wiele razy. Uczę ją pracy nóg. Wywołuje nimi fale, trzymając się bocznego pomostu w strefie czerwonej i z twarzą w wodzie wydmuchuje powietrze. Ilekroć obok nas przepływają małowaty, ochlapuje je i się uśmiecha. Pod koniec dnia leży na plecach, z twarzą zwróconą ku niebu, unosząc się na powierzchni dzięki kamizelce ratunkowej.

Ja siedzę na tyłku w jeziorze, przesiewając palcami piasek i wodę, i obserwuję Cassie. Moja koszulka wydyma się jak wypełniony wodą balon. Ciągnie mnie w dół.

Cassie patrzy, jak idę na koniec pomostu. W padającym na powierzchnię wody słońcu widzę granicę, za którą dno zaczyna opadać, oddzielając strefę żółtą od zielonej. Piaszczyste dno znika, zostaje jedynie ciemny błękit.

Kiedy nurkuję i przepycham się w głąb wody, koszulka mnie hamuje.

Dotykam dłonią dna, żeby potwierdzić jego istnienie. Jest. Podnosząc głowę ku błękitowi, odpycham się od dna i zaczynam przebijać się na powierzchnię. Woda tak czepia się koszulki, jakby milion maleńkich rączek próbowało ściągnąć mnie w dół, ale ja już mam dosyć dna. Tam jest ciemno. Poza tym nie chcę już tak walczyć o każdy oddech. Oddychanie powinno być łatwe.

Kiedy chwilę później przebijam głową taflę wody, z płycizny słyszę krzyk Cassie:

– Szpanerka.

Zbieramy nasze rzeczy i wchodzimy na schody prowadzące w stronę stołówki. Z włosów Cassie na jej plecy ścieka woda. Łopatki jej sterczą, tak samo kręgosłup. Straszny z niej chudzielec. Nie rozumiem, jak jej rodzice mogli oglądać to dzień w dzień i nie próbowali pomóc. Moja mama zaraz by się za mnie wzięła.

Czuję, jak w żołądku narasta mi ciężar. Przełykam gulę i pytam:

– Nadal mieszkasz z mamą?

Widzę, jak Cassie się spina.

– A co?

Staram się, żeby wypadło to swobodnie, naturalnie.

– Tak tylko pytam.

– Nie. – Cassie przyspiesza kroku, ale jej nie odstępuję.

– To z kim?

Odwraca się gwałtownie.

– Zrobiłam, o co prosiłaś. Wydmuchiwałam powietrze. Nie psuj tego wypytywaniem.

Wali na górę, a ja zostaję w tyle. Gorzko mi ze smutku. Nie znoszę się smucić. Nie ma nic gorszego. Nawet nieodczuwanie niczego jest lepsze.

Spuszczam wzrok i wchodząc dalej po schodach, liczę stopnie. Na samej górze drogę blokuje mi para wielkich stóp.

– Mam paczkę – mówi Grover.

– Słucham?

– Chcesz paczkę?

Patrzę na jego rozporek. Nic na to nie poradzę. Przez ułamek oddechu wyobrażam sobie to, co pod spodem. Grover jest taki długi.

Wyciąga zza pleców brunatny karton.

– Ode mnie dla ciebie. – Uśmiecha się. – Właściwie, to nie ode mnie.

Robię za chłopca na posyłki.

Odbieram ją od niego.

– A raczej za mężczyznę na posyłki. – Grover pręży chudą pierś, a wizja, która przed chwilą wyświeciła mi się w głowie, wraca. Policzki momentalnie mnie palą.

– Dzięki. – Ruszam dalej.

– Zrobiła to – mówi Grover. – Powiedziałem, że zrobi.

Rzeczywiście tak mówił. Ale nie to chciałabym od niego usłyszeć.

– Jeszcze jedno. – Zerkam na adres zwrotny na tej paczce. Mój domowy.

– Tak? – pyta.

– Już nie mam chłopaka.

– Mój stan psychiczny i emocjonalny właśnie poszybował w górę. – Grover też zerka na paczkę. – I nie tylko on.

– Oblech. – Oddalam się, kręcąc głową. Bo to było obleśne. Poniekąd. Może. Oglądam się jeszcze na Grovera. Okej. Może nie.

ROZDZIAŁ 17

Kochana Mamo,

w Michigan panuje wilgoć. To coś okropnego. Powietrze zatrzymuje w sobie całą wodę i nie pozwala jej się wylać. Wydaje mi się, że cała jestem zawilgocona, a ty byś chciała widzieć mnie suchą jak Arizona. Tyle że powietrze w Arizonie nic w sobie nie ma. Wysysa życie ze skóry, aż ta się łuszczy i pęka. Może więc powinniśmy spotkać się w pół drogi. Może w stanie Iowa. Albo w Nebrasce.

Wydaje mi się, że moja przyjaciółka Cassie nie ma żadnego adresu.

Smutno mi z tego powodu.

Jest mi smutno.

Smutno.

Smutno.

Wiem, że czekałaś na dłuższy list. Mam nadzieję, że ten spełni chociaż część Twoich oczekiwań.

Dzięki za bikini.

Z

Budzi mnie stukanie w czoło przypominające kapanie wody z sufitu. Kojarzę to wrażenie. Kiedy otwieram oczy, o centymetry od swojej twarzy widzę Cassie.

– Mam ochotę popływać – mówi szeptem.

– Jest środek nocy.

– Nie chrzań, Z. Wstawaj. – Cassie ma na sobie bluzę ode mnie i szorty.

Widzę też na jej karku związane troczki górnej części jej żarówiastoróżowego bikini. W ręce trzyma mój nowy dwuczęściowy kostium. – Nareszcie.

Wyrwam go jej, wyskakując z łóżka.

Kiedy Cassie pracuje nad otwarciem okna w łazience, ja cicho przebieram się w kostium. Madison śpi skulona, w pozycji embrionalnej. U jej szyi wisi srebrny klucz.

– Myślisz, że byś się wymykała, gdybyśmy nie były zamknięte? – pytam

szeptem Cassie.

– Co?

– To tak jak z Francją. Tam prawie od małego pozwala się dzieciakom na picie i nikt nie robi z tego wielkiej sprawy. U nas postępuje się inaczej. Młodzieży nie wolno pić, tym bardziej więc tego pragnie.

Cassie przewraca oczami.

– Myślałam, że dałaś sobie spokój z tą całą francuszczyzną.

– To tylko porównanie. – Znów zerknęłam na zamek w drzwiach. – Ja chyba nie.

– Co nie? Wyłączyłam się, jak tylko wspomniałaś o Francji.

– Gdyby drzwi nie były zamknięte na klucz, ja chyba nie miałabym ochoty się wymykać. A ty?

Do Cassie musiało wreszcie dotrzeć, co próbuję powiedzieć, bo nagle poważnieje i się chmurzy.

– Każdy, kto siedzi w zamknięciu, chce znaleźć drogę ucieczki. Większość jednak nie czai, że zawsze są jakieś zamknięte drzwi. – Cassie patrzy przed siebie tak intensywnie, jakby usiłowała wypalić wzrokiem dziurę w ścianie, a potem rzuca: – Spieprzajmy stąd.

Wymyka się pierwsza. Przeciskając się przez okno, oglądam się jeszcze na śpiące dziewczyny. Zamieram, kiedy Hannah się porusza, przekręca z boku na bok tak, że leży twarzą do łazienki. Kilkakrotnie cmoka i wtula nos w pościel, ale ani na moment nie otwiera oczu.

Nad jeziorem Cassie rozbiera się do bikini. Ja chwilę się waham. Kawał czasu nie pokazywałam brzucha. Może zresztą nigdy – nie pamiętam.

– Na co czekasz, Z? – warczy prawie bezgłośnie Cassie. – Nikt cię nie zobaczy.

Tyle, że Cassie nie wie, kto być może patrzy. Przypatruję się drzewom w poszukiwaniu Grovera i rozbieram się do kostiumu.

Wchodzimy do jeziora. Nabieram dłonią zimnej wody i oblewam sobie ramiona. Jakbym przyłożyła lód.

– No i ściągnęłam nas tutaj. A teraz mnie ucz.

– Brałaś tabletki odchudzające?

Cassie zgrzyta zębami.

– Nie. – Chwyta się za boki – Już czuję ten tłuszcz, rozlewający mi się pod skórą. Utopię się przez niego.

– Ludzie przy kości świetnie sobie radzą z pływaniem.

– Chcesz powiedzieć, że jestem gruba?

Ignoruję okazję do sprzeczki, stworzoną przez Cassie.

– Nauczę cię dwóch różnych stylów pływania – jednego na plecach i drugiego na brzuchu.

Cassie podskakuje w wodzie.

– Bierzmy się do roboty. Bo jeszcze sobie odmrozę to tłuste dupsko.

Patrzę, jak swobodnie czuje się teraz w jeziorze. Przez cały tydzień nie zanurzyła nawet palca. Wierzyć się nie chce, że otacza ją takie mnóstwo wody.

– Co się stało z twoją mamą? – pytam.

Cassie przestaje podskakiwać.

– Kiedy przychodzisz do szkoły z rozciętą nogą i po raz piąty z paskudną wszawicą, urzędnicy nabierają chęci na przyjrzenie się sytuacji w domu. Tak to się skończyło.

– Odebrali twojej mamie opiekę?

– Niczego nie odebrali. – Cassie tak zaciska pięści, że słychać, jak strzelają kostki palców. – Nie da się odebrać czegoś, czego człowiek nie chce. Ona po prostu odpuściła.

– To zupełnie inaczej niż moi rodzice. Oni woleli nadskakiwać. – Przesuwam palcami po powierzchni wody.

– Biedulka. Rodzice się o ciebie troszczą – drwi Cassie.

Chrząkam.

– Nie powiedziałam, że to mnie nadskakiwali.

– Twojej zmarłej siostrze? – pyta Cassie.

Wieje wiatr i potrząsa liśćmi na drzewach, jakby ktoś szeptał w środku nocy. Patrzą na brzeg i w górę, na stołówkę. W budynku pali się przyćmione światło. Podkreśla sylwetkę siedzącą u szczytu schodów.

– Grover mówi, że też taka jestem. Że chcę mieć wszystko pod kontrolą.

Cassie podnosi na mnie wzrok. W świetle księżycy jej oczy wydają się płonąć.

– Naucz mnie unosić się na wodzie.

Wchodzimy głębiej i każę Cassie położyć się na plecach. Mówi, że mam świra. Odpowiadam: to żadna tajemnica, jesteśmy na obozie dla świrów. Poprawia mnie, że to placówka dla młodzieży niestabilnej umysłowo i emocjonalnie. Zapewniam więc, że będą ją trzymała. Że nie pozwolę jej utonąć.

– Słowo? – upewnia się.

– Słowo.

Kładzie się na wodzie. Wsuwam jej ręce pod plecy i utrzymuję ją nieruchomo. Po paru minutach uprzedzam:

– Zaraz cofnę jedną rękę.

W ciemności jej włosy i skóra zlewają się z czarną wodą. Wydają się jednym i tym samym. Cassie jest wodą, a woda to Cassie. Kiedy kiwa głową, zabieram rękę.

Cassie nadal utrzymuje się na powierzchni. Uśmiecham się do niej.

– Już nigdy nie będziesz miała wszy – mówię.

Patrzy na mnie surowo.

– Daj mi do, cholery, trochę luzu.

Cofam drugą rękę i Cassie sama unosi się na wodzie. Nie poddała się.

A ja się rozluźniam.

* * *

W drodze do domku Cassie wyciąga z bluzy pudełko lemonheads i mnie częstuje. To już jej bluzka i ten fakt autentycznie mnie cieszy. Obracam w ustach te glazurowane drażetki, uważając, żeby żadnej nie rozgryźć. Nie chciałabym zjeść ich za szybko. Lepiej, gdy same się rozpuszczają. Trwa to dłużej i jest smaczniej.

– Moja mama boi się, że umrę – mówię w końcu, gdy wchodzimy w strefę dla dziewczyn.

Cassie patrzy na mnie. Nie wiem, co o tym sądzi, bo tego nie widać.

– Powiedziałabym, że wszystkie mamy boją się o swoje dzieci, tyle że moją gównem by obeszło, gdybym umarła.

– Przykro mi to słyszeć.

– A mnie to wkurza.

Spuszczam wzrok.

– Mnie wkurzyło, że moja mama tak bardzo się boi, że umrę.

Cassie szturcha mnie w ramię.

– No, to mnie zasmuciło – mówi, a potem przez jakiś czas milczy. – Powiedz mi coś o swojej siostrze – odzywa się w końcu.

Nerwowo nabieram powietrza. Zaskoczyła mnie tą prośbą.

– Słyszałam nawet jej oddechy, choć spała w pokoju obok. Co noc mnie to usypiało. Jak jakaś popieprzona kołysanka – mówię. – I brakuje mi tego. Ogromnie brakuje.

– Ale już się nie wściekasz.

Kręcę głową przecząco.

– A ty tej nocy pływałaś.

Uśmiecha się.

– Jeszcze raz to powiedz.

– Ty tej nocy pływałaś. – Teraz to ja zapadam w milczenie. Cassie poklepuje mnie po spieczonych ramionach. To, że czuję, jaka jestem opalona, nigdy jeszcze nie sprawiało mi tyle radości.

– Co nam zostaje, kiedy zabraknie nadziei? – pytam.

– Rzeczywistość – śmieje się Cassie.

– Ale może też czasem rzeczywistość spełnia nasze nadzieje.

– Może – przyznaje.

Rzeczywistość jest taka, że Molly nie żyje.

I to boli.

I że ja umrę.

To również boli.

Oddech oznacza życie.

Ale też ból.

Każde życie się kończy.

To też ból.

Trzeba, żebym żyła.

Nawet jeśli to ma boleć.

– Cholera. – Głos Cassie jest dla mnie zaskoczeniem.

– Co jest?

– Okno. – Głos jej drży. – Okno jest zamknięte. – Cassie wskazuje nasz domek.

– Cholera – powtarzam i przeczesuję dłońmi włosy. Już miałam sobie kilka wydrzeć, gdy Cassie mi przerywa.

– Kiedy drzwi się otworzą, wmieszaj się w tłum – mówi.

– Co?

– Udawaj, że cały czas spałaś. – Cassie zdejmuje swoją arizońską bluzę i podaje mi ją. Jej żarówiastoróżowy strój kąpielowy niemal świeci

w ciemności.

– Co chcesz zrobić?

– Włóż ją. Udawaj zaspaną.

– Co chcesz zrobić? – pytam głośniej.

Cassie się uśmiecha.

– Nauczyłaś mnie pływać, nie? – Popycha mnie w cień domku. – To się nazywa praca zespołowa, Z.

I zaczyna śpiewać. „Dziś z Afryki ma przyjechać do nas gość” odbija się echem między domkami, a ona biega od drzwi do drzwi, wali w nie i wszystkich budzi.

ZAUFANIE

ROZDZIAŁ 18

Kochana Mamo i Prezydencie Cleveland,

faktem jest, że pewnego dnia wszyscy staniemy się statystyką. Wiedzieliście, że prawdopodobieństwo utonięcia wynosi 1 do 1076? Znam teraz dziewczynę, której ta statystyka nie będzie dotyczyć.

*Wasz syn,
Grover Cleveland*

Cassie na tydzień trafiła do izolatki. Przy wszystkich posiłkach musi siedzieć z Kerrym i opiekunami, jeść tam wyłącznie łyżką i nożem i sypiać w domku Kerry'ego wraz z Madison, podczas gdy on nocuje gdzieś u chłopców. Z nami w domku śpi teraz „opiekunka-praktykantka” imieniem Anne, z drugiego roku studiów przedmedycznych, przez większość dni asystująca pielęgniarce przy wydzielaniu lekarstw.

Tamtego pierwszego dnia bez Cassie po południu pływam w jeziorze, dopóki nie zaczyna padać. Na odgłos grzmotu Kerry każe się nam zabierać i znaleźć sobie inne zajęcie, najlepiej gdzieś pod dachem, ja jednak wymykam się do domku.

Chociaż wyjątkowo pachnie tu stęchlizną, słucham bębnienia deszczu o dach i patrzę na puste łóżko Cassie. Kładę na nim jej bluzę. Przyda się, kiedy dziewczyna wróci. Przerzucam magazyn *Seventeen*, który przywiozłam na obóz. Po okładce nie ma już śladu, a wilgoć sprawia, że kartki, które przewracam, są pofałdowane i pomarszczone. Znajduję artykuł o tym, jak nieostentacyjnie flirtować, i czytam listę zaleceń.

Utrzymuj kontakt wzrokowy.

Nie baw się włosami.

Udawaj pewną siebie.

Uśmiechaj się.

Odsłoń szyję.

To niedorzeczne. Zamykam pismo. Nie podoba mi się, że Cassie tu nie ma. Czuję się samotna i choć kiedyś lubiłam to uczucie, to się zmieniło.

Podchodzę do jej łóżka i dotykam obnażonego materaca.

W stołówce obozowicze, zgromadzeni wokół starego telewizora, oglądają jakiś film. Widzę Grovera, siedzącego z tyłu grupy. Cassie tkwi w kącie. Z założonymi na piersi rękoma siedzi między Kerrym i Hayesem. Wydaje się udręczona.

Podkradam się i siadam za Groverem. Jego długi tułów zasłania mi ekran. Chłopak ma na sobie jasnoniebieską koszulkę bez rękawów. Mogę zobaczyć wszystkie kości jego ramion i obojczyki. Skórę załocila mu się przez przebywanie na słońcu.

Odrobinę wychyliłam się w przód i wdycham kokosowy zapach pokrywającego ją kremu z filtrem.

Grover odwraca się z uśmiechem na twarzy. Wiedział, że siedzę za nim.

Gestem wskazuję drzwi.

A potem cicho wymykamy się ze stołówki, ale jeszcze przed wyjściem zerkam na Cassie. Pokazuje mi środkowy palec. Rewanżuję się jej tym samym. Uśmiechamy się do siebie.

Przez chwilę stoimy z Groverem w deszczu. Bawię się włosami. Boję się na niego spojrzeć. Próbuję sobie przypomnieć zasady flirtu. Jestem pewna, że wszystkie złamałam. W końcu mówię:

– Jaki film leci?

– *Klub winowajców.*

– Nie widziałam go. Dobry jest? – pytam.

Grover wzrusza ramionami.

– Dopiero się zaczął.

Z podbródka Grovera zwiesza się kropla deszczu. Patrę, jak pęcznieje i nabiera wagi. W chwili, gdy dochodzę do wniosku, że wyciągnę rękę i ją zetnę, spada na ziemię. Stoję w deszczu i po raz kolejny czuję rozczarowanie.

– Chcesz wrócić do środka? – pytam.

Grover zaprzecza ruchem głowy.

– Tutaj leje – mówię.

– Mnie to nie rusza – odpowiada. – A ciebie?

Rusza mnie taka masa rzeczy, że nigdy bym siebie o to nie posądziła, ale nie dotyczy to deszczu.

– Zaczyna – mówię.

– To chodź ze mną. – Mój towarzysz się uśmiecha.

Schodzimy na plażę. Ściągam klapki i czuję mokry piasek między palcami. Nawet trochę nimi poruszam, żeby poczuć każde z ziarenek klejących mi się do skóry. Ale kiedy Grover chce wejść na pomost, chwytam go za rękę.

– To chyba nie najlepsze miejsce na przeczekanie burzy.

– Masz rację. Doznania mogłyby być wstrząsające. Wiedziałaś, że prawdopodobieństwo porażenie piorunem wynosi jeden do siedmiuset tysięcy? – Wchodzi na pomost.

– Wiesz to od Beka? – pytam.

Grover ogląda się na mnie przez ramię.

– Prawdopodobieństwo nam sprzyja. Przynajmniej w kwestii piorunów. W innych kategoriach nie aż tak bardzo.

– Coś mi się zdaje, że na metalowym pomoście prawdopodobieństwo się zwiększa.

– Pewnie to prawda. – Grover zaprasza mnie gestem, bym dołączyła do niego w tej śmiertelnej pułapce. Jako że samo życie też jest swoistym potrzaskiem, idę w jego ślady. Siadamy na końcu i Grover zanurza nogi w wodzie.

– To jakie prawdopodobieństwo ci nie sprzyja? – pytam.

Mokre włosy kleją się mu do czoła, odgarnia je więc do tyłu i wyjmuje swój notes. Szuka konkretnej strony i trzyma nad nią dłoń, osłaniając papier przed deszczem

– Prawdopodobieństwo randki z milionerem: jeden do dwustu piętnastu. Nieźle. Prawdopodobieństwo zdobycia Oscara: jeden do jedenastu tysięcy pięciuset. Też znacznie większe niż w przypadku pioruna.

– Wow. – Zanurzam stopy w wodzie tuż obok niego. Krople deszczu rozbryzgują się wokół nas, padają też na powierzchnię jeziora, przez co woda mętnieje.

– Prawdopodobieństwo napisania bestsellera z listy *New York Timesa*: jeden do dwustu dwudziestu. Prawdopodobieństwo uczestnictwa w wypadku samochodowym: jeden do osiemnastu tysięcy pięciuset osiemdziesięciu pięciu.

Śledzę, jak Grover czyta ze swojego notesu. Nie patrzy na mnie.

– Prawdopodobieństwo nabawiania się artretyzmu: jeden do siedmiu. Śmierci spowodowanej chorobą serca: jeden do trzech.

– Te dane statystyczne dotyczą wszystkich. Ja pytałam o to, jakie prawdopodobieństwo tobie nie sprzyja – podkreślam.

– Prawdopodobieństwo zachorowania na raka: jeden do dwóch – odpowiada. – To zła wiadomość dla każdego.

– Grover, powiedz mi coś o sobie.

Patrzy na drugi brzeg jeziora. Naprzeciw nas widać wille i domki – wszystko wygląda tak normalnie, ale nie Grover. Przez chwilę wydaje mi się zabłąkanym dzieciakiem, marzącym o tym, żeby móc mieszkać w którymś z tamtych domów.

Zaraz się jednak z tego otrząsa. Zagląda do swego notesu.

– Prawdopodobieństwo zostania prezydentem: jeden do dziesięciu

milionów. Wiedziałaś, że Grover Cleveland należał do najgrubszych prezydentów?

– Nie chcę nic wiedzieć o tamtym Groverze Clevelandzie. Wolę się dowiedzieć czegoś o tobie – mówię.

– Ale prezydent był znacznie ciekawszy. Zaczniemy od tego, że nie miał na imię Grover, a Stephen.

– Nie chcę nic wiedzieć o tym prezydencie! – krzyczę.

– Wściekasz się. To widać. I to jest dobre. Wściekłość jest czymś dobrym. Wreszcie uświadamiasz sobie, co czujesz.

Chwytam Grovera za rękę.

– Ja chcę wiedzieć, co ty czujesz.

– Kiedy mnie teraz dotykasz, czuję ciepło w wiadomym miejscu.

Puszczam go, jakby to było coś obłeśnego. Nie było. Czuję jednak jego ból i wiem, że on też to odczuwa.

Kiedy się podnoszę, patrzy na mnie.

– Powiedz mi, czemu nie jesz jabłek? – mówi.

– Nie o mnie rozmawiamy. Ty jesteś o wiele bardziej interesujący.

– Molly tak samo. Opowiedz mi coś o niej – dodaje Grover. Nad naszymi głowami przetacza się grzmot.

– Czego się boisz? – pytam powoli.

– Było blisko, więc teraz trochę się obawiam, że prawdopodobieństwo porażenia piorunem właśnie wzrosło.

– Pierdolić prawdopodobieństwo – mówię.

– Uwielbiam, kiedy przeklinasz. – Grover się uśmiecha, ale po jego oczach tego nie widać. Stoję w milczeniu. Niebem wstrząsa kolejny grzmot, a uniesione kąciki ust Grovera opadają, żeby ułożyć się w prostą linię. Wargi drżą mu w deszczu. – Prawdopodobieństwo zachorowania na schizofrenię u dzieci, których jedno z rodziców jest schizofrenikiem: jeden do dziesięciu –

dodaje. Tego nie czyta z notesu. Mówi z pamięci.

Z płuc ucieka mi powietrze, jakby ktoś mnie walnął.

– Pierdolić prawdopodobieństwo – powtarzam. Wyciągam do niego rękę,
 a nad nami grzmi.

Patrzy na moją dłoń. Przedziela nas deszcz.

– Nie mogę – mówi Grover. – Nie mogę. – Zostawia mnie na końcu
 pomostu, żeby samotnie zмагаć się z prawdopodobieństwem.

Przyglądam się szarej teraz wodzie. Nie wygląda groźnie.

– Durga, Durga, Durga – mówię.

Rozbieram się i daję nura.

ROZDZIAŁ 19

Kochani Mamo i Tato,

statystyka dowodzi, że mogę umrzeć na raka lub serce, nawet jeśli będę jadła szpinak. Wszyscy przecież umierają. A szpinak zostawia mi na zębach osad. Nie znoszę tego.

Przestaję jeść szpinak.

Z

Kerry zbiega na plażę i wrzeszczy na mnie, żebym „natychmiast wychodziła z wody”. Grupa obozowiczów patrzy na to z tarasu stołówki.

– Próbujesz się zabić? – krzyczy.

– Nie. Ale prawdopodobieństwo zgonu wynosi jeden do jednego.

– Czyś ty postradała zmysły? – Gniew Kerry’ego przesącza się przez zaciśnięte zęby.

– Chyba dlatego tu przebywam, tak?

Kerry piorunuje mnie wzrokiem.

– Zbierz swoje rzeczy i wracaj do domku przebrać się przed kolacją.

Zabieram z końca pomostu swoje ciuchy i widzę coś koło mojej koszulki. Notes Grovera i długopis. Znajduję ostatnią stronę i zaczynam pisać. Kiedy widzę się z Groverem podczas kolacji, kładę notes na stole.

– Zostawiłeś to na pomoście.

– Odnajdujesz moje zguby. Dziękuję. – Mimo to nie patrzy na mnie. I są to jedyne słowa, które wypowiada tego wieczoru. Pada do późna, co zmusza nas do zostania w domkach po kolacji. Dori pyta, czy może pomalować mi paznokcie u nóg. Hannah i Katie słuchają muzyki i piszą listy do domu. Praktykantka Annie czyta książkę z półnagim facetem na okładce, a ja nie mogę się powstrzymać od wpatrywania się w puste łóżko Cassie, kiedy Dori wkłada mi między palce waciki.

– Na jaki kolor? – pyta Dori.

– He? – Powłoczka na poduszkę Cassie jest dziurawa. Dziury widać też na krawędziach reszty pościeli. Dziewczyna śpi w szmatach.

– Na jaki kolor? – Dori podnosi kosmetyczkę pełną przeróżnych lakierów do paznokci.

– Sama wybierz.

Dori maluje je na czerwono. Ledwie zwracam na to uwagę. Kiedy kończy, kolebię się – rozstawiam szeroko palce u stóp i celuję nimi w sufit, żeby lakier się nie rozmazał – do łóżka Cassie z kołdrą Molly w ramionach. Nie wiem, jakie jest prawdopodobieństwo tego, że człowiekowi umiera siostra, ale to już nie ma znaczenia. Kładę kołdrę tak, żeby Cassie mogła z niej korzystać, kiedy wróci. Potem kolejno przypatruję się dziewczynom z naszego domku. Któraś to przecież zrobiła. Któraś zamknęła wtedy okno.

Następnego dnia śniadanie z Groverem przebiega równie niezręcznie, jak wczorajsza kolacja. Bek ogłasza nam, że jest reinkarnacją Paula McCartneya.

– On jeszcze żyje – mówi Grover.

– To ty tak uważasz – odpowiada Bek z pełnymi ustami. – Został kropnięty przez tamtego gościa w Central Parku.

– To był John Lennon.

– To ty tak uważasz – powtarza Bek.

– Nie – zaprzecza Grover. – Ty tak uważasz.

– Właśnie tak uważam – kontruje Bek.

– Właśnie.

– Właśnie. – Bek kiwa głową. – Chyba się dławię. Ktoś może mi zrobić Heimlicha?

– A po co? I tak się znów reinkarnujesz – stwierdza Grover.

– Racja. – Bek udaje, że umiera, a potem wraca jako Justin Timberlake.

Na terapii grupowej Cassie wygląda na zmęczoną, choć chyba jest wyspana,

skoro nie może wykradać się w środku nocy, jak to miała w zwyczaju. Grymas na jej twarzy wydaje się jednak mówić co innego.

– Dlaczego zaufanie jest takie ważne? – pyta Madison, przechadzając się wewnątrz kręgu. Jak zwykle, żadna z nas się nie odzywa. – No już, moje panie – jęczy.

Hannah siedzi ze stopami skierowanymi do środka i wpatruje się w nie, a rozcierając sobie osłonięte długimi rękawami ramiona, jakby chciała się zwinąć w kulkę i zniknąć. Katie, z zamkniętymi oczami, wystawia twarz do słońca. Cassie zadarła jedną z nóg na ławkę, wygarnia spomiędzy palców brud i wyciera go w szorty.

Wreszcie Dori podnosi rękę i odbiera od Madison świętego Antoniego.

– Zaufanie daje poczucie bezpieczeństwa.

– Właśnie tak.

– Gównno prawda – ucina Cassie.

– Dlaczego tak uważasz? – pyta Madison, przekazując jej figurkę świętego.

– Zaufanie daje tylko pozory bezpieczeństwa – odpowiada Cassie.

– A więc nikomu nie można w pełni zaufać? – dopytuje Dori.

– Ty ufałaś swojej mamie, a ona i tak wyszła za dupka – przypomina Cassie.

Dori siada prosto.

– To prawda.

– Widzisz. Zaufanie to kit, wciskany przez tych, co mają władzę. – Cassie wskazuje Madison. – Mads chce, żebyśmy myślały, że chce dla nas jak najlepiej. Ale naprawdę zależy jej na zdobyciu doświadczenia przed studiami uzupełniającymi i na wakacyjnym zaliczeniu starszego od siebie gościa.

– To nieprawda, Cassie. Zależy mi na was.

– Proszę. Przecież widzę, jak patrzysz na Kerry’ego. – Cassie przewraca oczami.

– Cassie, proszę cię, nie idź tą drogą – mówi Madison.

– Mam nie iść tą drogą? Ja się na niej urodziłam. Nikt nie dał mi wyboru.
– Może to i prawda, ale możesz wybrać, w którą stronę pójdziesz.
– Mogę? – pyta sarkastycznie Cassie. – Problem z zaufaniem jest taki, że to kit. A jeśli nikomu nie ufasz, to się nie sparzysz.

– Ludzie są tylko ludźmi, Cassie. Popełniają błędy – tłumaczy Madison.

– I ty chcesz, żebym ufała ludziom, którzy popełniają błędy?

– Nikt nie jest doskonały.

– To jakie błędy ty popełniłaś, Mads? – Cassie świdruje ją wzrokiem, zaciekawiona. – Hę? Czemu to zawsze my opowiadamy? Dlaczego ty się nie podzieliś z grupą swoimi świńskimi sekrecikami?

Madison rozgląda się spłoszona. Nie jest w stanie nic powiedzieć i aż błędnie. Cassie prostuje się, sycąc się tą chwilą triumfu, ale ja tak nie potrafię. Madison przez chwilę wydaje się zagubiona – tak samo jak my wszystkie. Jednak bierze się w garść, wchodzi znów w rolę opiekunki i mówi:

– Tu nie chodzi o mnie. Kiedy brak zaufania, tracimy wiarę. Kiedy tracimy wiarę, tracimy nadzieję. A bez nadziei co nam pozostaje?

– Rzeczywistość – odgryza się Cassie.

– Ty się po prostu boisz – mówi Hannah. Wypowiadając te słowa, nie patrzy na Cassie. Skupia się na dołku, który kopie w ziemi butem. Nie widzi, że Cassie robi wielkie oczy. Ja natomiast niemal dostrzegam ogień, który zapłonął w głowie mojej przyjaciółki. Podchodzi teraz do Hanny i stawia stopę na jej ławce tak, żeby blizna na nodze znalazła się blisko twarzy dziewczyny.

– Masz cholerną rację, że się boję, Żyieto. A ty jesteś cipa. – Cassie dotyka długiego rękawa Hanny. – Swojej maszynki do golenia używasz pewnie tylko do cięcia rąk. Chciałabyś, żebym cię poznała z kimś, kto zrobi to za ciebie?

Hannah kręci głową.

– Wy też się powinniście bać – Cassie zwraca się do reszty grupy.

W oczach ma więcej szaleństwa niż zwykle. Obserwując ją, widzę, że coś pękło. – Zaufanie? Wiara? Nadzieja? Te piękne słówka są po to, żebyśmy milej odbierały rzeczywistość. Tylko że świat nie jest śliczny. Hannah z tymi pociętymi łapami wcale nie jest śliczna. Tak samo Katie z paluchami zdartymi od rzygania. Dori nie jest śliczna tak w ogóle. No i wciąż jeszcze nie wiemy, czemu Zander też taka nie jest, poza tym, że ma dziwną obsesję na punkcie Francuzów.

– A co powiesz o sobie? – pyta Dori.

Cassie opadają ramiona.

– Ja jestem najszkaradniejsza ze wszystkich, bo nie potrafię udawać. Nie wkładam bluzek, żeby zakrywać blizny, ani nie chowam się w łazience, kiedy chcę wyrzygać obrzydlistwo. Ja nie mam wyboru. Po mnie wszystko widać. I może tylko temu można ufać.

– Usiądź już, proszę, Cassie – mówi Madison.

– Chętnie. – Cassie udaje uśmiech i dygnięcie. Zanim zajmuje swoje miejsce, rzuca figurkę świętego Antoniego na ziemię i wdeptuje go w nią piętą.

Madison postanawia zmienić kierunek sesji i zadaje nam ćwiczenie. Rozdaje wszystkim opaski.

– Wybierzemy się parami na „spacer zaufania” po lesie.

Dori przewraca oczami.

– Świetnie się zapowiada.

Madison wyjaśnia, że połówka pary z zasłoniętymi oczami poprowadzi przez las swoją partnerkę jedynie w oparciu o jej słowne wskazówki. Kiedy formułuje to zalecenie, wszystkie dziewczyny gwałtownie odsuwają się od Cassie. Jestem pewna, że żadna z nich nie zadała sobie najmniejszego trudu, żeby przyjrzeć się łóżku Cassie. A ja, choć może nie wiem, co w nią dzisiaj wstąpiło, znam ją na tyle dobrze, że robię krok w jej stronę. Cassie ma taką

minę, jakby ją to uraziło – jakby wołała być sama.

Ja jednak nie ustępuję.

– Co się dzieje? Jadłaś dzisiaj? – pytam.

– Akurat cię to obchodzi – warczy Cassie.

– Obchodzi.

– No to wkładaj opaskę, Z. A może mi nie ufasz? – Mówi to tak, jakby rzuciła mi wyzwanie. Jęczę, ale nie ze zdenerwowania, a dlatego, że mnie zirytowała.

Przy zasłoniętych oczach inne zmysły się wyostają. Słyszę odbijający się echem śmiech obozowiczów pływających w jeziorze i szelest szarpanych wiatrem liści drzew. Wyciągam przed siebie ręce i sonduję nimi przestrzeń. Nawet otwieram usta, by poczuć smak powietrza. Jest wilgotne i pachnie sosnami.

– Wyglądasz jak Helen Keller ¹ – dobiega do mnie z ciemności głos Cassie.

Opuszczam ręce.

– Zamknij się.

– Zaufanie to podstawa życiowego sukcesu – mówi Madison. – Musicie ufać innym. Najważniejsze jednak, żeby każda z was ufała sobie.

– Gadanie – bąka pod nosem Cassie.

Pierwszym poleceniem, jakie mi wydaje, jest wykonanie pięciu kroków w przód. Kiedy to robię, wpadam na drzewo. Najpierw walę w nie stopą, a potem głową.

– Cztery kroki, mówiłam, nie pięć – upomina mnie Cassie.

Mówi, żebym się obróciła w prawo i szła za jej głosem.

– Idź. Idź – powtarza raz za razem. Wyciągam ręce i ruszam, jak mi się zdaje, w jej stronę.

Potykam się o jakiś pniak i padam na twarz.

– Cassie! – krzyczę, jeszcze z opaską na oczach, ale rozłożona na ziemi. –

Powinnaś mi mówić, czy coś leży na drodze.

– Nie zauważyłam – odpowiada.

Dotykam przeszkody, o którą się potknęłam.

– Nie zauważyłaś takiego olbrzyma?

– Sorki, Z. Rany, czy ty mi nie ufasz?

Podnoszę się i otrzepuję kolana z ziemi, ale nie opuszczam Cassie. Nie mam zamiaru. Teraz już nie. Nie po tym, co zrobiła. Bo poświęciła się dla mnie. Jeszcze żadna przyjaciółka nie zrobiła niczego takiego.

– Następne wskazówki, proszę – mówię.

Cassie każe mi iść prosto. Kiedy na nic nie wpadam ani się nie potykam, rozluźniam ramiona.

– Obróć się w lewo.

Robię to i idę przed siebie.

– Teraz lekko w prawo.

Droga nadal jest wolna. Nawet gałązki nie trzaskają pod stopami.

– Zrób siedem kroków w przód.

W myślach zaczynam odliczanie. Jeden. Krok. Dwa. Krok. Trzy. Rękawkiem koszulki zaczepiam o jakąś gałąź. Uwalniam się. Robię krok do przodu. Cztery. Krok. Pięć. Krok. Jakiś patyk lub gałąź rysuje mi nogę.

– Cholera – szepczę pod nosem i dotykam zadrapania. Już czuję na skórze podłużny obrzęk.

– Wszystko wporzo, Z?

Trochę zabolalo, ale stoję prosto.

– Luzik – zapewniam.

– Jeszcze dwa kroki.

Sześć. Krok. Siedem...

W chwili gdy stawiam stopę na ziemi, słyszę... bzyczenie. Bardzo intensywne. Wyczuwam coś koło siebie, potem jeszcze coś. Zdieram z głowy

opaskę i podnoszę wzrok. Mam nad sobą gniazdo szerszeni, a Cassie stoi dobre parę metrów dalej z paskudnym uśmiechem na twarzy.

– Kurwa! – wrzeszczę i macham rękami, żeby zapobiec użądleniu.

– Według mnie powinnaś stać nieruchomo – woła Cassie. Wije spod tego gniazda w jej stronę. Po drodze podskakuję i sprawdzam, czy jakieś szerszenie nie uczepliły się mojej koszulki i nie szykowały żądła.

– Co jest z tobą nie tak? – pytam, ciężko dysząc. Nawet w palcach stóp czuję swoje tętno.

– Wydawało mi się, że już to przerobiłyśmy. Pytanie, co jest ze mną tak?

– A gdybym miała uczulenie na szerszenie lub coś w tym stylu? Mogłabym przez ciebie umrzeć! – Jeszcze raz oklepuję swoje ciuchy.

– Jeśli nie przeze mnie, przytrafi ci się coś innego. Wszyscy umrzemy, Z.

– Pięknie, Cassie. Boże, a ja myślałam, że jesteśmy przyjaciółkami. Ale wiesz co, pieprzę to. – Ciskam opaskę na ziemię.

– Nie. To ja pieprzę – odpowiada Cassie, a rozbawiona mina ustępuje miejsca kamiennej twarzy. A kiedy szykuję się do tego, żeby się stamtąd zabrać, zaskakuje mnie pytaniem: – Czemu pomalowałaś paznokcie?

Patrzę na swoje klapki.

– Dori mi pomalowała wczoraj wieczorem.

Jej twarz tężeje.

– Wiesz co? Pieprzę cię.

– Co? – pytam kompletnie skołowana.

– Uprawiasz seks z Cleve'em? Nie, nie mów. Pieprzę cię. – Cassie już się oddala, i to szybko.

Biegnę za nią, próbując zrozumieć, o co chodzi z tymi „pieprzę cię”.

– Nie uprawiam seksu z Groverem.

Zatrzymuje się tak nagle, że o mało nie wpadam na jej kościstą pierś.

– Ma na imię Cleve. Cleve. Przecież widzę, jak na siebie patrzycie – mówi.

– Ale najpierw był moim przyjacielem.

– Nadal jest – tłumaczę.

Kręci głową.

– A teraz Dori? Dori? Ta, co łyka prochy na wzdęcia i pierdzi? Wiesz co? Jak tam sobie chcesz, śmierdzielu. – Odchodzi z tupotem.

Stoję zaszokowana i patrzę, jak Cassie wali stopą w ziemię, i wreszcie to do mnie dociera. Podbiegam i chwytam ją za rękę.

– To, że pozwoliłam Dori pomalować mi paznokcie, nie oznacza, że już mi na tobie nie zależy. Nie tak działa przyjaźń.

Cassie patrzy na mnie z ukosa, z wyraźnym namysłem nad moimi słowami, a mnie znów serce się kraje, gdy pomyślę, że jej życie do tej pory mogło być zupełnie pozbawione głębszych relacji z innymi ludźmi. Cassie spogląda na moje stopy.

– Trzeba było wybrać pomarańczowy. Bardziej do ciebie pasuje.

– Pewnie masz rację.

– Dobrze gadasz, mam rację.

Jeszcze się nie ruszamy. Cassie rozgląda się wokoło, jakby irytowało ją, że tu ze mną stoi, ale na tyle dobrze ją znam, że wiem, iż gdyby chciała sobie pójść, tak właśnie by postąpiła.

– Jeszcze ci nie podziękowałam za to, co zrobiłaś – mówię.

– O co ci chodzi? – Cassie zadaje to pytanie z przesadnym naciskiem. Przekrzywiam głowę. Cholernie dobrze wie, co mam na myśli.

Zawracam, podnoszę opaskę i kręcę nią na palcu.

– Teraz twoja kolej. – Cassie chwilę się waha, a potem mi ją wrywa, jakby się nie bała tego, w co ją mogę wpakować. – Może później pomalujemy sobie paznokcie, ty mnie, a ja tobie. Czas zmienić kolor – mówię.

Wprowadzam Cassie na trzy drzewa i do ogromnej błotnistej kałuży. Mimo to ona ani razu nie ściąga opaski. Ani wtedy, kiedy wali w pień głową. Ani

przy rąbnięciu paluchem u nogi. Ani nawet, gdy cała jest w błocie. Ani razu.

– Co, u licha, się wam przytrafiło? – pyta Madison, kiedy wracamy do Kręgu Nadziei.

– Już ci mówiłam, Mads – odpowiada Cassie. – Zaufanie cholernie daje w kość. – Ale na jej twarz wrócił uśmiech.

Idziemy razem wybrać idealne kolory lakieru.

1. Helen Adams Keller (1880–1968). Amerykańska głuchoniewidoma pisarka, pedagog i działaczka społeczna, zaangażowana w pomoc osobom upośledzonym i walkę o równouprawnienie kobiet. Wzroku, słuchu i częściowo możliwości mówienia pozbawiła ją choroba, którą przeszła w wieku 19 miesięcy. Mimo to ukończyła studia, nauczyła się kilku języków i napisała szereg książek. [\[wróć\]](#)

ROZDZIAŁ 20

Ciociu Chey,

nie zanoś, proszę, moich listów do szkoły, jak to robiłaś w zeszłym roku.

Powiedziałam: proszę.

Całusy,

Cassie

Kilka dni później Cassie stawia swoją tacę na naszym stole i dosiada się do nas. Pomiędzy mną a Groverem nadal panuje niezręczna cisza, ale Cassie udaje się ją przerwać. Podnosi szklanekę wody i pociąga łyk. Grove, Bek i ja nie spuszczaemy z niej wzroku. Ulżyło nam, że wróciła.

Na jej tacy piętrzą się jaja sadzone, jest też grzanka.

– Patyczak – odzywa się poważnym tonem Grover.

– Co?

– Nie panikuj, ale na twoim talerzu siedzi węglowodan. Mam go dla ciebie zabić?

Cassie przewraca oczami.

– Zander zre świninę.

– Bo od tej owsianki już mi niedobrze. – Ukradkiem zerkam na Grovera. Od czasu, kiedy oddałam mu notes, ani razu go nie wyjął.

– Mnie jest niedobrze. – Patrzymy wszyscy na Beka, który pakuje sobie do ust bajgla.

– Pewnie, Bobasku. Z twoją głową jest niedobrze. – Cassie znów przewraca oczami. – Mamy do omówienia sprawę poważniejszą niż jedzenie.

– Nic nie jest ważniejsze niż jedzenie. – Grover wskazuje swoją tacę. – To brama do wszystkiego.

– Seks jest ważny. – Bek zjada kolejny kęs.

– Ciekawe, co Maslow mówi o seksie? – zwraca się do Beka Grover.

– Kto to jest ten pieprzony Maslow i czemu wszyscy o nim gadają? – Cassie dziobie jajka.

– To mój zmarły wujek – odpowiada Bek. – On w pewnym sensie wynalazł grawitację.

Cassie nabiera na łyżkę odrobinę jajka i wkłada ją do ust. Wydaje mi się, że nie żuje.

– Wróćmy do spraw ważnych – mówi.

Grover macha palcem.

– Nie ma nic ważniejszego od jedzenia i seksu.

– Tylko to wam w głowach? – pytam.

– Tak – odpowiadają jednocześnie obaj chłopcy. To pierwsze od kilku dni słowo, jakie Grover skierował w moją stronę.

Cassie nachyliła się nad stołem i kiwa, żebyśmy też tak zrobili. Noga Grovera ociera się o moją i stykamy się kolanami. Zastanawiam się, o czym w tej chwili myśli. Prawdopodobieństwo wskazywałoby na seks, na jedzenie lub na jedno i drugie, ale chłopak zaraz się odsuwa. A ja znów czuję rozczarowanie.

– Nadchodzi Noc Zaciemnienia – mówi Cassie.

– Co to znaczy? – pytam szeptem.

– To znaczy, że już czas – odpowiada.

– Czas na co?

– Na moją torbę.

Kiedy Cassie to mówi, Grover się uśmiecha, Bek zachowuje całkowity spokój, natomiast we mnie wszystko się spina.

– Wyniosę ją po południu nad jezioro i upchnę w tej szopie ze sprzętem, za kamizelkami ratunkowymi – mówi Cassie.

– Po co? – pytam.

– Boże, zadajesz tyle pytań, Z.

– Po prostu mi powiedz.

– Po prostu mi zaufaj – ucina Cassie.

– Dobra. – Krzyżuję ręce na piersi i odginam się na krześle.

– Cassie – grzmi jakiś głos z drugiego końca stołówki. Gdy wszyscy jednocześnie podnosimy wzrok, widzimy, że Kerry pokazuje puste krzesło tuż obok siebie, przy stole opiekunów. – Masz siedzieć z nami.

Cassie ani drgnie. Nawet nie patrzy na Kerry’ego. Z wolna skupiają się na niej wszystkie spojrzenia na tej sali. Mimo to nie rusza się z krzesła, chwytając kosmyk swoich włosów i zaczyna zaplatać warkoczek tak, żeby sterczał całkiem w górę.

– A więc to twój wujek wynalazł grawitację? – pyta Beka. Ten kiwa głową.

– Cassie – powtarza Kerry. Cassie plecie kolejny warkoczek.

– Myślałam, że grawitację wynalazł Bóg.

– Moim wujkiem jest Bóg – wyjaśnia Bek. – Nie rozpowiadam tego, żeby ludzie nie traktowali mnie inaczej.

– Dlaczego twój wujek Bóg stworzył ciebie jako takiego grubasa?

– Umarł, zanim zdążył mi to wytłumaczyć. – Bek klepie się po brzuchu.

– Cassie – krzyczy Kerry po raz ostatni.

Dziewczyna w końcu spogląda na niego. Jej dwa warkoczki przypominają antenki.

– Co takiego?

– Tu masz siedzieć. – Kerry gwałtownie wskazuje krzesło.

– Jestem zajęta rozmową z Bekiem o jego wujku Bogu. Ale dziękuję za propozycję.

– Nie proponuję. Wydałem ci polecenie – prostuje Kerry.

– A ja mówię, że już mam swoje miejsce.

– Cassie, zajmij, proszę, to miejsce.

– Boże, Kerry, taki jesteś zdesperowany, żebym przy tobie usiadła?
– Proszę, nie wzywaj imienia Pana nadaremno – odpowiada Kerry.
– Wydaje mi się, że to ty wzywasz na próżno imienia wujka Beka. Jestem też pewna, że za cholereę go nie obchodzę, bo już wie, że pójdę do piekła. A ty jak sądzisz, Bek?

– Prawdopodobnie trafisz do piekła – przyznaje grubasek.

– Widzisz.

– Cassie. Siadaj tu – mówi Kerry przez zaciśnięte zęby.

– Jezu Chryste, Kerry, ale jesteś namolny. Idę o zakład, że wujkowi Bogu się to nie podoba.

– Cassie! – Kerry odsuwa krzesło. – Masz usiąść tutaj.

Cassie przewraca oczami i się podnosi. Wyciąga ramiona nad głową i ziewa. Koszulka podjeżdża jej tak wysoko, że cała stołówka widzi jej brzuch i żebra. Nie wiem, czy przybrała na wadze, ale nie wygląda na to. A jednak na grzance są ślady po zębach i z tacy zniknęła połowa jajek.

– Cassie!

– Okej. Okej. Jezu Chryste.

– Cassie!

– Do diabła, Kerry. Daj mi chwilę.

Cassie szczyrzy się do naszego stołu, a ja podsuwam jej tacę. Powinna dokończyć grzankę.

– Nie zapomnijcie o wieczorze. Musicie przyjść – mówi. – Proszę. – Kiedy zmierza do stołu opiekunów, warkoczyki podrygują w rytm jej kroków. Po dźwięku dzwonu wzywającym nas na pierwsze zajęcia taca Cassie wciąż leży na naszym stole, więc ją sprzątam. Boli mnie, że grzanka wędruje do śmieci. Ale jutro też jest dzień.

– Zostajesz na plastyce i rękodziele, Durga? – słyszę za sobą.

Odwracam się i widzę Hayesa z naręczem gazet.

– Nie wiem – mówię.

– Nie wiedzieć to nic złego. – Podchodzi do jednej z szafek pod ścianą i wyjmuję z niej wiadro. – Ludziom ciężko się przyznać do niewiedzy. A prawda jest taka, że w życiu nie chodzi o uzyskiwanie właściwych odpowiedzi. Idzie o zadawanie odpowiednich pytań. – Napełnia wiadro wodą z kranu.

– Chyba zostanę. – Wzruszam ramionami. Poranek z Hayesem nie wydaje się taki zły.

Przynosi z kuchni trochę mąki i wsypuje ją do tego wiadra z wodą.

– Co robisz? – pytam.

– Dobre pytanie. – Hayes puszcza do mnie oko. – Dzisiaj zajmiemy się lepieniem z masy papierowej.

Kiedy szykuje w kuchni tę masę, pomagam mu, drąc stertę gazet na paski. Dołącza do nas jeszcze kilkoro obozowiczów. Poznaję tego młodego, któremu Cassie dołożyła w piłkę na uwięzi naszego pierwszego dnia na obozie. Wydaje się, że to zdarzyło się strasznie dawno, choć wcale tak nie jest.

Chwytając za kolejną gazetę, żeby ją podrzeć, zwracam uwagę na datę u góry strony. Kończy się lipiec. Czas szybko tutaj leci. Czy raczej wydaje się, że tak jest. Albo może po prostu w ogóle odczuwam tutaj upływ czasu.

– Co jest czarne, białe i całe czerwone?

Podnoszę oczy i widzę nad sobą Grovera.

– Słucham?

– To zagadka. Co jest czarne, białe i całe czerwone? – W jego oczach widać wahanie.

– Nie wiem – odpowiadam.

– Gazeta.

– Nie łapię tego.

– Ja też nie. Ale słyszałem raz, jak moja mama tak mówiła.

– Aha. – Zgarniam z blatu wszystkie paski papieru, bo dzięki temu ta chwila nie jest już tak niezręczna. Mam tego dosyć i choć nie chcę wracać do tego, co przedtem działo się między mną a Groverem, to nie chcę też tkwić w tym impasie.

– Hayes właśnie powiedział mi, że w życiu chodzi o pytania, nie o odpowiedzi, może więc nie ma znaczenia, czy je otrzymamy – sugeruję.

– Możliwe. – Grover odgarnia włosy z twarzy. – Pytałaś go o Masłowa i seks?

Zaprzeczam ruchem głowy i patrzę na usta Grovera. Oblizuje je, a mnie aż telepie. Jego obecność robi się jeszcze bardziej frustrująca.

– Zauważyłaś, że Bek czasem mówi w obcym języku? – pyta Grover. Nakazuję sobie oderwać wzrok od jego warg i przenieść go na cokolwiek innego. – Kiedy go zapytałem, co powiedział, usłyszałem, że nie ma pojęcia. I że widocznie ma w głowie metalową płytkę, która odbiera częstotliwości jakiejś francuskiej stacji radiowej.

– Czemu z nim trzymasz? – pytam.

Grover znów oblizuje usta. Cholera.

– A czemu by nie?

– Przecież nie wierzysz w ani jedno jego słowo.

– Ale za to nie przegapię możliwości.

– Jakiej możliwości?

– Tego, że któregoś dnia powie prawdę. Muszę przy tym być – oznajmia Grover.

– Na to warto czekać – przyznaję i kiwam głową.

– Właśnie.

Chociaż milczymy, mierzymy się z Groverem wzrokiem. Ja obserwuję jego, a on mnie. Powietrze tak gęstnieje od niewypowiedzianych słów, że mogłabym w nim pływać.

– Potrzebuję tylko właściwego pytania.

– Wszyscy nosimy w sobie boską światłość – mówi Hayes, wdzierając się w tę chwilę z rękoma złożonymi jak do modlitwy na wysokości piersi. –

A naszym zadaniem jest jej odszukanie i sprawienie, żeby rozbłysła. Wydobycie tego, co jest wewnątrz, i skierowanie na zewnątrz. Oto jedyna droga do prawdziwego oświecenia.

W ramach ćwiczenia, które ma nam pomóc dotrzeć do wewnętrznego ja, Hayes ogłasza, że będziemy robić z masy papierowej maski z naszych twarzy.

– Na zewnątrz możecie je ozdobić według uznania, ale muszą odzwierciedlać to, jacy jesteście w środku.

– Mogę być twoim partnerem? – pyta Grover, kiedy Hayes każe nam dobrać się w pary. W oczach chłopaka znów widać wahanie, ale czuje się, że to właściwe pytanie.

– Pewnie – odpowiadam.

Hayes pokazuje nam, jak robić masę papierową, jak maczać paski gazet w papce i jak je układać na twarzy naszego partnera.

– Żeby nie przywarła, będziecie musieli pokryć skórę warstwą wazeliny.

– Wiedziałem, że te zajęcia mnie zachwycą – wyznaje na cały głos Grover.

Po odebraniu materiałów wybieramy z Groverem stół i bierzemy się do roboty.

– Chcesz iść na pierwszy ogień? – Grover trzyma w ręce pojemniczek z wazeliną. To jednak ja, po raz pierwszy, odkąd go poznałam, postanawiam przejąć inicjatywę. Nie mam ochoty dawać się w nic wkłęcać ani do czegokolwiek zmuszać. To ja nadaję ton. Zabieram Groverowi wazelinę.

– Ty pierwszy.

Układam materiały, a Grover siada na krześle i podnosi oczy na mnie. Wydaje mi się, że słyszę w jego głosie drżenie, kiedy mówi:

– Ufam ci, Zander. – I zamyka oczy.

Podnoszę wieczko i przeciągam palcami po mazi przypominającej w dotyku gęstą wodę. Podchodzę o krok bliżej do Grovera i przyglądam się dzielącej nas odległości. Prawie stykamy się kolanami. Prawie. Przysuwam się jeszcze bliżej i to się dzieje – zetknęły się. Kiedy wstrzymuje oddech, pierś mu się unosi.

– Mój tata wydziera się na mamę. – Słowa Grovera sprawiają, że zamieram. Oczy nadal ma zamknięte. – Pięć razy próbowała się z nim rozwieść, ale nie udaje jej się doprowadzić tego do końca. W zeszłym roku aresztowano go za publiczną obrazę moralności. Policja zatrzymała go, jak na rowerze jeździł po mieście całkiem bez gaci. A rok wcześniej próbował się zabić. Znalazłem go nieprzytomnego na podłodze w łazience.

– Grover... – zaczynam.

– I boję się, że będę taki jak on. Że na jakiego twardziela bym nie wyglądał, zawsze będę zagubiony. – Nabiera tchu i wypycha z siebie kolejne słowa. – Boję się, że moje życie sprowadzi się tylko do czekania na śmierć.

– Czego oczekujesz po mnie? – pytam.

Ledwie to powiedziałam, wiem, że zadałam właściwe pytanie.

– Przypominania, że nie jestem nim – odpowiada Grover.

Rozcieram w palcach wazelinę, aż całe są nią pokryte, jak zgęstniałą wodą, która nie chce spłynąć. Gdy drugą dłonią odgarniam z czoła Grovera włosy, wali mi serce. Dotknięcie jego skóry sprawia, że po ramionach przechodzą mi ciarki. Jestem zelektryzowana i jednocześnie przerażona. Jakbym raz po raz rozbijała skorupę.

On tak samo.

Otwieramy się na życie.

Czuję to.

Grover też musi to poczuć. Rozglądam się po sali, czy ktoś się nam przygląda, ale nikt nie zwraca na nas uwagi. Chociaż policzki mnie palą,

a palce drżą, niespiesznie kreślę na jego czole kręgi. Tu nie ma co szaleć.

W stołówce panuje cisza. Grover też nic nie mówi.

Wsluchuję się w jego oddech. Wdech jak szept. Wydech jak poszum. Szept. Poszum. Szept. Poszum. Przechodzę z czoła Grovera na jego policzki. Oddech nie zawsze tak brzmi. Nie zawsze tak naturalnie.

Pocieram palcami nasadę jego nosa.

Czasem oddycha się tylko dzięki aparaturze.

Ściska mnie w gardle. Ale Grover nic na to nie mówi. Jedynie oddycha. Biorę z niego przykład.

Na moment się cofam. Potrząsam opuszczonymi rękoma i czuję, jak powietrze przepływa mi przez palce.

Znowu coś czuję.

– Wszystko w porządku? – odzywa się w końcu Grover z zamkniętymi oczami.

Zanim tu trafiłam, przestałam oddychać. Dlatego mój tata się rozplakał. Dlatego tu jestem.

– Tak – potwierdzam.

Wracam do Grovera – do jego twarzy i skóry, do jego kształtów.

Obrysowuję palcem jego brwi i kości pod dolnymi rzęsami. Wędruję opuszkami w dół tej twarzy, po szczękę. Tam zamierają.

Jego klatka piersiowa się unosi.

Grover nie jest swoim tatą. Pełno w nim życia.

Nachylam się.

Jego pierś opada.

Jeszcze bardziej się przybliżam.

Znów się unosi.

Przyciskam dłoń do jego policzka, a on wciąż jeszcze nie otwiera oczu.

Pierś opada.

Jestem tak blisko, że nasze usta dzielą tylko centymetry.

Grover nabiera tchu.

Zamykam oczy.

Wypuszcza powietrze.

Czuję na ustach jego oddech.

Czuję.

Oblizuję wargi, poznając smak powietrza, które było we wnętrzu Grovera.

Piękny oddech.

– Nie jesteś swoim tatą – mówię. Kładę dłoń na jego piersi. Wzdryga się, kiedy go dotykam. Przez chwilę wcale się nie rusza. Ja też nie. Przez miękką bawełną koszulki czuję bicie jego serca. Znowu bierze oddech. Wdech i wydech. Wdech i wydech. Raz po raz powtarza tę najprostszą – najbardziej instynktowną – oznakę życia.

Bo pełno w nim życia.

W chwili, gdy myślę, że za długo już go dotykam i że jeśli teraz nie cofnę ręki, to może już nigdy nie dam rady się od niego oderwać, Grover przykrywa moją dłoń swoją. Mówi cicho, prawie szeptem.

– Tak się cieszę, że jesteś prawdziwa.

– A ja, że jesteś pełen życia – odpowiadam równie cicho.

Powoli otwiera oczy.

– Przypomnij mi, żebym wysłał do producentów wazeliny list z podziękowaniami. W imieniu wszystkich nastolatków.

ROZDZIAŁ 21

Kochani Mamo i Tato,

jedliście kiedyś batony charleston chew? Nie jestem pewna, czemu się tak nazywają. Może produkują je w Karolinie Południowej? Albo ten, kto je wynalazł, miał na imię Charleston. Może i strasznie dziwacznie, ale chyba nie mnie to oceniać. Sama mam na imię Zander.

Przy okazji, skąd to Zander? Spodziewaliście się chłopaka? Powinniście wiedzieć, że imię Zander wcale nie jest uniwersalne. Czy próbowaliście to nadrobić, wybierając imię Molly? Jej jest takie dziewczęce.

Zauważyliście, co właśnie zrobiłam? Jej jest takie dziewczęce. Czas terażniejszy. Widzicie? O Molly, chociaż nie żyje, nadal można mówić w czasie terażniejszym. „Molly nie żyje” to też jest czas terażniejszy. A Wy od tylu lat się zamartwiacie, że jest tylko przeszłością.

Z charleston chew jest tylko taki problem, że czekolada lepi się do zębów i wchodzi między nie. Proszę, po moim powrocie umówcie mnie do dentysty.

Z

Otaczamy kręgiem płonące ognisko, Kerry intonuje piątą tego wieczoru piosenkę Jamesa Taylora, a Hayes przygrywa nam na gitarze. „You’ve Got a Friend” nigdy jeszcze nie brzmiało tak fatalnie.

Cassie siada koło mnie i pyta szeptem:

– Czyli wchodzisz w to, tak?

Kiwam głową. Nie mogłabym nie wejść. Nie mogę i nie chcę jej teraz opuścić.

Kiedy śpiewy się kończą, bo sprofanowaliśmy już cały zbiór łzawych ballad Jamesa Taylora, Kerry zbiera wokół siebie cały obóz.

– Dzisiaj przypada Noc Zaciemnienia. Wszystkie światła w obozie mają być wyłączone. Ognisko zgaszone. Zachowywać się trzeba cicho. Żadnego rozmawiania.

Hayes i młodszy opiekun imieniem Shiloh zasypują ognisko kupą piasku, aż gaśnie z sykiem.

– Jedyne przewodnikami wskazującymi wam drogę będą gwiazdy na niebie i światłość w waszych duszach. Ale bez obaw. Ufajcie sobie. Możecie błądzić, ale ufajcie, że wiecie, dokąd zmierzacie. Ufajcie, że nawet w mroku potraficie się odnaleźć.

Patrzę na niebo, a potem w ciemności na Cassie. Prycha.

– Opiekunowie zaprowadzą was z zawiązanymi oczami pod płot okalający teren obozu. Waszym zadaniem będzie znaleźć drogę powrotną do nas. – Obozowicze popatrują po sobie. Nawet ja odrobinę się denerwuję. Znam już duży kawał obozu, ale na pewno nie cały. Ten teren jest rozległy. Cassie, w odróżnieniu ode mnie, ostentacyjnie ziewa. – Nie bójcie się. – Kerry łagodzi napięcie. – Każdy z was otrzyma gwizdek. Kto będzie się bał, że zabłądził, niech zagwiżdże, a opiekun go odnajdzie. Na powrót macie godzinę. Potem światła znów zapłoną i spotkamy się w Kręgu Nadziei. Wasza nagroda za wykonanie tego zadania? – Kerry się uśmiecha. – Pieczone pianki.

– Ale nagroda – szepcze Cassie. – Obżeranie się piankami. Czemu Kerry od razu nie wszczepi nam cukrzycy?

Opiekunowie ustawiają nas w rzędzie, rozdają gwizdki i każdemu obozowiczowi zawiązują oczy, a potem układają mu dłonie na ramionach osoby przed nim. Kiedy cały obóz jest już gotowy, Kerry mówi:

– Módlmy się do świętego Antoniego. O odnalezienie zagubionych. O uwolnienie duszy. O życie wieczne.

I zaczynamy iść.

Kurczowo trzymam się idącej przede mną Cassie. Maszeruję równym krokiem. W pewnej chwili kolumna zwalnia i wpadam na jej plecy. Włosy Cassie pachną jeziorem. Wczoraj, po wyjściu z rękodziela, widziałam, jak ćwiczyła machanie nogami. Zdjęła kamizelkę ratunkową, żeby w czerwonej strefie o własnych siłach unosić się na wodzie, ale młodszy opiekun zaraz potężnie dmuchnął w gwizdek i kazał jej włożyć ją z powrotem. Cassie

udawała zirytowaną, ale widziałam na jej twarzy satysfakcję.

Idąc za nią, znów wdycham zapach jej włosów.

– Kiedy nas rozdziela, zostań na miejscu. Znajdę cię – szepcze Cassie w ciemności.

Gdyby mama wiedziała, że zostawią mnie samą w lesie i nie wskażą drogi powrotnej, dostałaby zawału. No i czy Madison nie wspominała, że są tu niedźwiedzie? Mocniej zaciskam palce na ramionach Cassie.

– Wyluzuj, Z.

Kolumna staje i ktoś zdejmuje mi ręce z barków Cassie. Przez chwilę stoję w mroku jak taka boja na morzu, która czeka, aż fala w nią uderzy i poruszy. Już mam zdjąć opaskę, ale ktoś chwytą mnie za ręce i gdzieś prowadzi.

– Doprowadziłam cię na miejsce, Zander – słyszę w uchu głos Madison. Kładzie moją dłoń na czymś zimnym. – Policz od stu do jednego, a potem zdejmij opaskę.

Słyszę oddalające się kroki, potem zapada cisza. Zaczynam liczyć w myślach, ale nie cofam ręki. Wolę nie puszczać tego, czego dotykam. Zwykle w ten sposób ztracałam się w myślach, ale teraz z każdą liczbą serce bije mi coraz gwałtowniej. Nawet gdybym chciała, nie potrafiłabym się zatracić. Za bardzo łaknę życia.

Kiedy liczenie dobiega końca, zrywam z oczu opaskę. Stoję przy płocie otaczającym Camp Padua – przy ogrodzeniu oddzielającym mnie od świata. Wokół panuje cisza. Obracam się, chcąc kogoś wypatrzeć, ale widzę tylko drzewa i czuję jedynie zapach sosen. Tęsknię za wonią włosów Cassie.

Ale przecież obiecała, że mnie odnajdzie.

Przesuwam dłonią po zimnym metalu ogrodzenia. Wszystko zostało po tamtej stronie – ludzie, sklepy, szkoła i pusty pokój Molly. Mimo to teraz marzę tylko o Cassie.

Ogarnia mnie poczucie pustki. Nie chciałabym przejść na drugą stronę tego

płotu. Madison ma rację. Tu w obozie nie sposób się zgubić. Za to tam na zewnątrz... Odsuwam się od ogrodzenia.

W ciemności wyglądam Cassie. Kiedy coś brzęczy mi prosto w ucho, nie zawracam sobie głowy odganianiem. Owad i tak wróci. Zawsze wracają. Zresztą, przyzwyczaiałam się już do komarów. W domu będzie mi ich brakowało. Wielu rzeczy będzie mi brakowało.

Nagle Cassie wyłania się z ciemności niczym promień światła wysłany, żeby wybawić mnie od zniknięcia w czarnej dziurze.

– Ruchy. – Szczerzy się do mnie. – Musimy zejść nad jezioro.

Im dalej jesteśmy od płotu, tym lepiej się czuję. Jakiś czas idziemy w milczeniu. Wsłuchuję się w swojskie odgłosy obozu.

– Skąd wiedziałaś, że będzie coś takiego? – pytam.

– Co roku jest – odpowiada Cassie.

– Od ilu lat tu przyjeżdżasz?

Cassie wzrusza ramionami i spogląda w bok, unikając kontaktu wzrokowego.

– Sama nie wiem. Za wiele.

– Skąd wiedziałaś, gdzie mnie szukać?

– Nie wiedziałam. Jedyne to, że w końcu cię znajdę.

– Cieszę się, że ci się udało – mówię.

Cassie robi taką minę, jakby mój komplement był dla niej torturą. Odpłacam jej identycznym grymasem.

Szopa na plaży jest zamknięta, ale nie na zamek. Kiedy Cassie otwiera drzwi, ukazują się Grover i Bek, siedzący na podłodze w kompletnej ciemności.

– Sorki, że przeszkodziłam, chłopcy. – Cassie wchodzi do środka i pociąga za jakiś dyndający sznurek, żeby zapalić w szopie mdlawe światło.

– Gramy z Bekiem w ciszę na morzu – mówi Grover.

– Przegrałeś. – Bek celuje w niego palcem.

– Nie dam rady dłużej milczeć. Trzymanie wszystkiego w sobie jest za trudne. Nie uważasz, Zander? – Grover chwyta mnie za rękę i ciągnie w dół, na miejsce obok siebie.

– Cleve, nie mamy czasu na kolejną z twoich dziwacznych psychologicznych gadek, w których żadne słowo nie oznacza tego, co powinno. – Cassie zamyka drzwi szopy i zaczyna myszkować wśród sprzętów.

– Aż tak to oczywiste?

– Tak – potwierdzamy zgodnie całą grupą.

Grover odchyła się w tył, chyba lekko podłamany. Nasze dłonie dzielą centymetry. Delikatnie przesuwam swoją, aż stykają się końcami palców i na jego twarz wraca uśmiech.

Rozpromieniona Cassie wyciąga zza kamizelek ratunkowych swoją torbę. Siedzimy wszyscy w małym kręgu wpatrzeni w nią, jakby odkryła złoto. Albo narkotyki. Albo zadekowany zapas piwa.

– Bingo – mówi, rozpinając zamek. Stawia torbę na środku kręgu. Kiedy się nachylamy, żeby zobaczyć, co w niej jest, ze zdenerwowania wszystko się we mnie przewraca.

A gdy sięgam do tej torby i wyjmuję część jej zawartości, ogarnie mnie niekontrolowana wesołość.

– Słodycze? – chichram się jak dzieciak. – Buchnęłaś słodycze?

– No i co? – odpowiada Cassie. – Ta obozowa piguła i tak jest gruba jak orka, no akurat jej potrzebne te słodycze. Wyświadczyłam jej przysługę tą kradzieżą.

– Myślałam, że to może prochy lub wóda, ale słodycze? To takie...

– Jakie?

– Takie... niewinne.

Podnoszę się i ściskam Cassie. Odpycha mnie.

- Jezu, Z, uspokój się.
- Po prostu mi ulżyło. – Znow siadam obok Grovera.
- Ulżyło ci, że nie jestem wariatką?
- Co to, to nie – mówię, otwierając paczuszkę skittlesów. – Jesteś wariatką.

Ale nie taką, jak myślałam.

Cassie chwytą pudełko nerdsów.

- Dzięki, Z.

Siedzimy więc przez jakiś czas w całkowitym milczeniu, wcinając słodkości z torby Cassie. Bek w rekordowym tempie pochłania dwie tabliczki czekolady. Cassie krzywi się, a on w odpowiedzi błyska w uśmiechu czekoladowymi zębami. Grover się śmieje. Sam wrzuca sobie do ust m&msy, jeden po drugim. Przerzucam się ze skittlesów na czekoladę, potem na airheads. Tyle jest tych słodczy. To coś jak Halloween latem. Lepią się do zębów i do podniebienia. Cukier rozsadza mój organizm jak adrenalinowa bomba. Weszło mi i jestem na haju, ale takim niewinnym, jakbym za szybko zjeżdżała z górki na rowerze. Jakbym wiedziała, że mogę się wywalić, ale bijący w twarz wiatr sprawia, że czuję się niezwyciężona. Jakbym sobie odbijała za te wszystkie chwile, kiedy mama zamiast lodów serwowała mi owocowe koktajle z jarmużem. Powtarzała, że owoce są smaczniejsze niż sztuczne słodziki. Totalna ściema. Sztuczne słodziki są rewelacyjne.

– Dlaczego rodzice nas okłamują? – pytam z ustami pełnymi nienaturalnie niebieskich airheadsów.

- Chyba, żeby nas chronić – odpowiada Grover.
- Przed czym? – dopytuję.
- Przed życiem. Tak przypuszczam – mówi.
- Jeżeli więc chronią nas przed życiem, to czy my naprawdę żyjemy?
- Z, jakbym słyszała Grovera. – Cassie przewraca oczami.
- Poważnie mówię. – Siadam prosto. W głowie trochę mi się kręci. Efekt

słodycznego haju. – Ja już nie chcę takiej ochrony. Jeśli będę miała ochotę na syrop kukurydziany o wysokiej zawartości fruktozy, chcę móc go jeść.

– Przybij, siostra. – Bek robi ze mną żółwika pulchną piastką.

– Tylko się pogódź z tym, że będziesz gruba. – Cassie kręci głową.

– Ale to przynajmniej będzie mój wybór. Rodzice nigdy mnie o nic nie pytają. Wiecie, nawet francuski wybrałam, bo tata powiedział, że mam wybrać. – Ręce zaczynają mi się trząść. I jakby ten cukier spowodował przeciążenie całego organizmu, przestaję zastanawiać się nad tym, co mówię. – Nie pytali mnie też, co czuję w związku z Molly. Nie zapytali, czy chcę, żeby moja teoretycznie martwa siostra mieszkała ze mną pod jednym dachem przez sześć lat. Sześć lat! Po prostu umieścili ją w pokoju koło mnie i kazali ją kochać. Kazali mi ją kochać. Tyle że moi rodzice kłamali. Od początku wiedzieli, że jest już martwa. Dobrze to wiedzieli!

– Zander. – Grover chwytą mnie za trzęsącą się rękę, co mnie zmusza do tego, żebym skupiła na nim spojrzenie. Bek i Cassie wpatrują się we mnie. Broda cały czas mi się trzęsie i wyrzucam z siebie wszystko.

– Udławiła się jabłkiem – mówię. – Molly udławiła się jabłkiem, kiedy miała dwa latka. – Słowa, które wypowiadam, rozsiadają się wokół mnie. – Kiedy rodzice byli w pracy, a ja w szkole, Molly pilnowała sąsiadka z naszej ulicy. Niejaka pani Moore. Była naprawdę miła. Ilekroć z mamą odbierałyśmy Molly, zawsze dawała mi lizaka. Jednego z tych małych o różnych smakach, takich jak imbir czy kokos, którymi kasjerzy w spożywczakach częstują dzieci. – Nabieram powietrza. Prawie czuję jego smak. – Pani Moore była wtedy w kuchni, zmywała naczynia czy robiła coś podobnego, bo Molly zjadła już obiad i teraz bawiła się w salonie. Kiedy pani Moore wróciła do niej, znalazła Molly nieprzytomną na podłodze, z plasterkiem jabłka w dłoni. Mała się udławiła. Kiedy zawieźli ją do szpitala, trafiła na OIOM. Tyle tam było urządzeń i różnych dźwięków, a ona leżała tak, jakby się miała potem obudzić,

jakby tylko spała.

Wdycham powietrze i trzymam je w sobie.

Piękne, takie prawdziwe. Potem wypuszczam je z płuc aż do ostatniej cząstki.

– Moi rodzice nie zamierzali się z nią rozstać, chociaż lekarze próbowali przemówić im do rozsądku. Przekonywali, że to nieprawdopodobne, żeby się miała kiedyś ocknąć, ale rodzice nie chcieli słuchać. Uparli się, że zabiorą ją do domu. Cały jej pokój zastawili urządzeniami, wszystkim, co było konieczne, żeby podtrzymać w niej życie. A ona przecież nie żyła. Nie biegła, nie skakała, ani nie mówiła. Po prostu leżała, oddychając, bo dzięki aparaturze było to możliwe. A co najgorsze, ja się do tego przyzwyczaiłam. Przywykłam do jej widoku i mówienia do niej. Widziałam, jak rośnie. A potem pewnego dnia wszystko się skończyło. Organizm Molly poddał się. Było tak, jak zapowiadali lekarze – do końca się nie ocknęła. A pani Moore już wcześniej się wyprowadziła. Słyszałam od naszej sąsiadki, że nie mogła znieść widoku naszego domu i wiedzy, co się kryje w jego wnętrzu. Do czego doprowadziła. Ponoć wyniosła się do Kalifornii. Teraz w pokoju Molly panuje tylko cisza.

W szopie też przez chwilę trwa milczenie, a potem przerywa je Grover.

– A więc dlatego nie jesz jabłek.

– Moi rodzice nigdy nie pytali, czego ja chcę. Mama zrezygnowała z pracy, żeby się zajmować Molly. Całe nasze życie przestawiła tak, żebyśmy żyli pod kloszem. Pod kloszem ze zdrowej żywności, słusznym wyborów i nadopiekuńczych rodziców, pilnujących, żebym nie popełniała błędów. –

Urywam i zaraz wyjaśniam: – I prawie nie popełniałam. Ale klosze pękają, ludzie zaś umierają, choćbyśmy nie wiem jak mocno chcieli trzymać się życia.

– Jaki błąd popełniłaś? – pyta Bek.

Patrzę na niego, a potem na Cassie. Pora, żebym wypełniła daną jej obietnicę.

– Podczas zawodów pływackich o mało się nie utopiłam.

– Co takiego? – wrzeszczy Cassie.

– Nie chciałam ci mówić.

– Boże, Z, a ja ci ufałam.

Zaczynam mówić szybko, z gwałtowną gestykulacją. Grover powiedział, że trudno zachować milczenie. Trudno trzymać wszystko w sobie. W milczeniu tonie się niemal tak łatwo jak w basenie.

– Po śmierci Molly rodzice zapisali mnie do drużyny pływackiej – mówię, a słowa wylewają mi się z ust. – Uznali, że to pomoże mi „dojść do siebie”. Tak właśnie powiedział tata. „Dojdiesz do siebie”. A ja nie chciałam nigdzie dochodzić. Chciałam tylko, żeby w moim domu znów było głośno. Nienawidzę ciszy. Ale robiłam, co kazali. Zaliczałam treningi i wszystkie zawody. Zżyłam się z zapachem chloru na skórze i z paskudnym oddechem trenera. Zmieniłam się w maszynę. W maszynę do życia i oddychania. Taką jak Molly. Nic już nie czułam, stawałam tam, gdzie kazano mi stanąć, jadłam, kiedy mama zażądała. Całowałam się z Coopem, kiedy tego chciał. Pływałam, kiedy kazał mi trener. I oto pewnego dnia płynęłam w sztafecie. I prowadziłam. Widziałam obok siebie w wodzie inne dziewczyny. Tak mocno się starały, żeby mnie wyprzedzić, a mnie nic już nie obchodziło. To, czy wygram, czy może przegram. Kompletnie nic. Dlatego się zatrzymałam. Na samym środku basenu. Przestałam się poruszać. Przestałam oddychać. I nie broniłam się przed opadnięciem na dno basenu.

– Jak to się skończyło? – pyta Grover.

– Ocknęłam się na krawędzi basenu, gdy trener dmuchał mi w usta.

– Trener Czosnkowy Oddech? – upewnia się Cassie. – Boże mój, ale ohyda.

– Następnego dnia tata zapisał mnie na ten obóz. – Krzyżuję ręce na kolanach. – To dlatego tu jestem.

Przez chwilę nikt nic nie mówi. Kiedy Grover kładzie mi dłoń na plecach,

nie odsuwam się. Skończyłam z uciekaniem.

– *Voici mon secret* – odzywa się Bek, czym mnie zaskakuje. Wszyscy teraz patrzemy na niego.

– Oho, znowu włączyła się ta francuska stacja. – Grover wali Beka w głowę. – Lepiej, kolego?

– Oto moja tajemnica – tłumaczę to, co powiedział Bek.

– To z *Małego księcia*. Mama zawsze czytała mi go po francusku, bo pochodziła z Quebecu.

– Zaczekaj. – Grover stara się nawiązać kontakt wzrokowy z Bekiem, ale grubasek nie podnosi oczu. – Powiedziałeś, że twoja mama pochodziła z Quebecu.

– Tak. W pewnym sensie nie żyje.

Cassie, Grover i ja popatrujemy po sobie, niepewni, czy Bek mówi teraz prawdę. Kąciki jego ust zjeżdżają tak nisko, że niżej się nie da. Taki wyraz przybiera twarz, kiedy zbiera się na płacz i nie można nad tym zapanować, bo uczucia chcą się wydostać na zewnątrz i nie da się ich powstrzymać.

– Co wieczór czytała mi go przed snem. Dzielę pokój z dwoma młodszymi braćmi, mimo to zawsze znajdowała czas, żeby zwrócić na mnie uwagę.

– Ile masz rodzeństwa? – pytam.

– Sześcioro. Była stale zajęta, ale kiedy czytała tę książkę, zawsze wiedziałem, że mnie zauważa. – Bek bierze kolejny cukierek i go rozpakowuje. – Tacie właściwie się to nie udaje. Cały czas chodzi raczej smutny, że jej już nie ma, do tego dużo pracuje... i w pewnym sensie jest dupkiem. Tak więc teraz już nikt nie zwraca na mnie uwagi.

– Czyli kłamiesz, żeby ktoś cię zauważył – stwierdza Grover.

Bek pakuje do ust jolly ranchera. Nie potwierdza ani nie zaprzecza. Cassie przygląda mu się tak, jakby widziała go po raz pierwszy.

– No, skoro tak się sobie spowiadamy, to chyba powinienem wam

powiedzieć, że ja sam się co roku zapisuję na ten obóz – oznajmia Grover.

– Co na to twoi rodzice? – pyta Bek.

Grover patrzy na niego i wzrusza ramionami.

– To lepsze niż gra przez całe lato w lidze bejsbola.

Nagle, wbrew temu całemu smutkowi i otaczającej nas rzeczywistości, zaczyna wzbierać we mnie śmiech.

– Wierzyć się nie chce, że sam się zapisujesz.

Z twarzy Beka powoli znika przygnębienie. Prycha.

– Bejsbol wymagałby biegania – mówi.

– To prawda – przyznaje Grover.

– A ja jestem za gruby na bieganie.

– To także prawda! – Grover celuje w niego palcem, promieniejąc. – Sądzę, że Bek nam wyzdrowiał. Naprawdę nazywasz się Alex Trebek?

– Tak.

– O rany. – Grover pociera podbródek. – A teraz wydaje mi się, że znów kłamie. – Ramiona Beka już się trzęsą. Z moimi dzieje się to samo, głowa robi mi się lekka i panuje w niej zamęt. – Odpowiedź: zaburzenie psychiczne, charakteryzujące się chroniczną lub patologiczną skłonnością chorego do mówienia nieprawdy – mówi Grover.

Podnoszę rękę.

– Co to jest kłamstwo patologiczne?

– Zgadza się! – Grover wskazuje teraz na mnie.

– Wybieram zmarłe siostry za tysiąc, Alex – mówię.

Bek parska przez zaciśnięte zęby, a brzuch mu się trzęsie.

– Ale ja się naprawdę nazywam Alex Trebek.

– Nie, to ja naprawdę jestem Alex Trebek. – Grover wskazuje na siebie.

– Nieprawda – zaprzeczam. – Nazywasz się Grover Cleveland.

Kiwa głową.

– Jestem Grover Cleveland.

Nasze chichotanie przeradza się nagle w histeryczny rechot na całego. Trzymam się za brzuch, ponieważ boli mnie od śmiechu, od jedzenia i od wyjawienia wszystkich moich tajemnic. Ale czuję się lepiej, nawet w tej zatęchłej szopie.

Wszystko wreszcie wyszło na jaw. Ciężar, który ściągał mnie na dno basenu, ulotnił się. Czuję się lżej. Łapię powietrze małymi wdechami, a łzy zalewają mi oczy i spływają po twarzy. To się nazywa płakać ze szczęścia. Oto w zawilgłej norze rozbłysło słońce.

Cassie podnosi się i zaczyna bić brawo. Powoli i równomiernie. Wszyscy skupiamy się na niej. W szopie słychać tylko uderzenia jej dłoni. Z twarzy Cassie znikła powaga. Jej miejsce zajmuje teraz złość. Dławię w sobie śmiech i ocieram policzki z łez. Ona patrzy na nas zmrużonymi oczyma.

– No, czy to nie zabawne, że tacy wszyscy jesteście smutni przez te wasze smutne historie. – W jej głosie czuć napięcie. Widać je też w drgających mięśniach jej szyi. – Biedny Bek, bo zmarła mu mama. Biedna Zander ze swoją zmarłą siostrą.

– Cassie. – Grover próbuje dotknąć jej ramienia, ale odtrąca jego rękę. Dygocze. W mdławym świetle zalewającym szopę widać, że jej oczy płoną.

– Wy przynajmniej macie rodziny, którymi możecie się zamartwiać. – Jej słowa są jak uderzenie w twarz. Nikt nawet nie drgnął. Cassie zabiera z podłogi torbę i otwiera na oścież drzwi szopy. Zanim któreś z nas zdąży się odezwać, jej już nie ma.

ROZDZIAŁ 22

*Kochana Mamo i Prezydencie Cleveland,
znalazłem swoją Pierwszą Damę.*

*Wasz syn,
Grover Cleveland*

Bek biegnie za Cassie. Wypada na zewnątrz, a my z Groverem wciąż jeszcze nie jesteśmy w stanie nic powiedzieć. Przyglądam się jego krągłej sylwetce, sadzącej przez piasek i pędzącej po schodach w stronę stołówki.

– Mam wrażenie, że Bek się zakochał w Cassie – mówi Grover, odchylając się w tył i opierając na rękach.

– Nie powinniśmy iść za nią? – Już się podnoszę, ale mnie zatrzymuje, kładąc dłoń na mojej nodze.

– Musi ochłonać.

Przyglądam się jego ręce na mojej skórze i kiwam głową.

Wszędzie wokół nas leżą opakowania po słodyczach. Robię z nich stos, taką słodką hałdę.

– A więc Molly... – zaczyna Grover.

Układam te plastikowe owijki i nie jestem w stanie spojrzeć mu w oczy.

– Teraz już wiesz, czemu powiedziałam, że nic o niej nie wiem. Chodziło mi o to, że kiedy to się stało, miała dwa lata. Nie miałam okazji jej poznać.

– Znasz ją, Zander. – Po słowach Grovera podnoszę na niego wzrok. – Znasz, bo wiesz, jak wyglądało jej życie. Czasem tylko tyle jest nam dane.

– Ona nie miała życia.

– Możliwe, że nie pasowało do naszych wyobrażeń, ale to jednak było życie. – Grover milknie. – Trochę tak, jak w przypadku mojego taty. Molly

zasługiwała na lepszy los.

– On także. Tak mi przykro – mówię.

Grover przysuwa się do mnie i znów zaczyna:

– Możemy się albo wściekać na coś, czego nie wiemy, albo poprzestawać na sprawach nam wiadomych. A ty nie wiesz, jak potoczyłoby się jej życie. Może Molly uzależniłaby się od heroiny lub... – Grover pakuje sobie pięść do ust i zaciska na niej zęby – wstąpiłaby na studiach do jakiegoś żeńskiego stowarzyszenia.

Druga ręka Grovera jeszcze się nie rozstała z moją nogą. Jest taka ciepła.

– Za nic nie wstąpiłaby do takiego stowarzyszenia. – Kącik ust unosi mi się w uśmiechu.

– No to zostałaby wybrana królową balu absolwentów.

– Teraz posunąłeś się za daleko. – Uśmiecham się szeroko. Nie odrywam oczu od ręki Grovera. – A co z tobą? – pytam.

– Krzesło się kiedyś załamało. – Palec Grovera kreśli mi na skórze kręgi. – Istnieć to przecież wiedzieć, że to się któregoś dnia skończy, zgadza się?

– Ale to nie oznacza, że mamy nie żyć tym, co teraz – odpowiadam. Patrząc na niego, staram się raz po raz przełykać ślinę, żeby zmniejszyć gulę rosnącą mi w gardle. Niezbyt skutecznie. A nie chciałabym, żeby Grovera spotkało coś złego. Chcę, żeby nadal był dokładnie taki, jaki jest teraz. Pragnę przytrzymać mu to krzesło, aż ręce będą mi krwawić.

– To gdzie mieszkasz? – pytam.

Grover uśmiecha się, ale nie podnosi oczu.

– Niecałe osiem kilometrów stąd. Mój dom widać z pomostu.

– Co takiego?

– Pamiętam, jak Kerry otwierał ten obóz. Miałem sześć lat. Mama przeczytała o nim w gazecie, a skoro praktycznie nie może zostawić mojego taty, przypasowało nam to, że mam coś dla siebie tu na miejscu. – Podnosi

wzrok na to mławe światło pod sufitem szopy. – Wolę myśleć, że to miejsce było mi pisane. Łatwiej mi się wtedy pogodzić... ze wszystkim.

– Pokażesz mi, gdzie mieszkasz? – pytam.

Przez moment widzę w oczach Grover smutek, którego jeszcze nie zdołał przegnać. Widzę dziecko z rodziny w rozsypce, żyjące w sypiącym się domu i pragnące złagodzić ból przez poznanie ludzi, którym też się wszystko sypie. Smutek zaraz znika i wraca mój Grover.

Idziemy na koniec pomostu. W obozie jeszcze panuje ciemność, ale w domach wokół jeziora palą się światła. Zapomniałam, że nad Kimball przyjeżdża się na wakacje i że mieszkają tu ludzie. Wyparłam ich z pamięci, jak wszystko inne poza granicami tej placówki. Kiedy Grover staje za mną, czuję, że jego pierś dzieli od moich pleców centymetry. Chłopak nachyla się, opiera głowę o moje ramię i wskazuje coś na prawo od nas.

– Widzisz dom z migającym czerwonym światłem? – szepcze mi do ucha.

Przyglądam się wszystkim lampom, aż wreszcie znajduję po przeciwnej stronie jeziora tę właściwą.

– Widzę – odpowiadam uszczęśliwiona. Wreszcie go zobaczyłam.

Odwracam się do Grovera, przez co niemal wsadzam nos w jego koszulkę. Głową ledwie sięgam mu do piersi. Chłonąc jego zapach, wędruję wzrokiem po koszulce ku jego obojczykom i szyi, by w końcu zatrzymać się na jego ustach. Są wydatne i wilgotne, a po tych wszystkich słodyczach, które jedliśmy, również wielobarwne. Prawdopodobnie można jeszcze wyczuć na nich cukier. Oblizuję wargi.

– Nie odchódź – mówi Grover.

– Słucham?

– Nie odchódź. Zaraz wracam.

Zbiega z pomostu, który kołysze się z każdym jego krokiem, i zostawia mnie samą. Jak tylko znika, zaczynam pragnąć, żeby znów był przy mnie. Ciasno

obejmuję się rękoma, żołądek mi się ściska, a wiatr na jeziorze daje się we znaki. Grover osłaniał mnie przed zimnem. Nie podoba mi się, że jestem tu bez niego.

Ale wraca, zanim niepokój wyrwie mi się spod kontroli. Dyszy i sapie na pomoście, i oto staje tuż przede mną. Zbliża się jeszcze o krok. Nos mam tuż przy jego piersi, blisko serca. Wiatr zamiera. Zastyga czas. Życie też się zatrzymuje, żebym mogła upajać się tą chwilą. Zmęczony wypuszcza z płuc powietrze, a ja podnoszę wzrok ku jego twarzy i także uwalniam swój oddech, który wstrzymywałam, żeby wszystko się we mnie uspokoiło.

– Musiałem wziąć coś do jedzenia.

– Oczywiście. – Już zaczynam przewracać oczyma, jednak to, co trzyma w ręce, powstrzymuje mnie. Podnosi to coś, czerwone i połyskujące. Jabłko, w które się wgryza. Patrzę, jak jego usta z łatwością odejmują krzywiznę owocu.

– Uważaj. Kryje w sobie truciznę – ostrzegam.

– Jest warte ryzyka – kontruje z ustami pełnymi mięszu. Zagryzam wargi, zastanawiając się, jaki smak ma wewnątrz ust Grovera. Zazdroszczę temu jabłku.

Kropla soku osiada na środku jego warg jak drobinka słodkości. Gryzę się w policzek. Co tam cukierki, ja pragnę tej kropli. Łaknę jej jak kolejnego oddechu. Grover odgryza kolejny kęs, a kapinka soku spada na moje nagie ramię. Wycieram ją palcem i wkładam go do ust. Czuję smak nie tyle soku jabłkowego, co kremu do opalania. To za mało. Zdecydowanie za mało. A to takie łatwe, wystarczy spojrzeć na Grovera. Na to, jak wyginają się jego usta, jak napierają na jabłko, wgryzają się w nie. Zapiera mi dech i ściska mnie w brzuchu. Nie wiem, czego pragnę bardziej – Grovera czy jabłka? Czy jednego i drugiego? Chcę jednego i drugiego. Chcę poczuć jedno i drugie, i wiem, że dopóki to nie nastąpi, życie nie będzie mnie cieszyć. Zawsze się

będę czuła zagubiona, a Molly zawsze będzie martwa. Stale też będę żyła na skraju utonięcia, na skraju rozpadu, na krawędzi prawdziwego życia. To, że szkło się tłucze, nie znaczy jeszcze, że jest słabe. Czasem muszą pozostać jedynie odłamki.

Patrzę Groverowi w oczy i kieruję brodę ku jego ustom.

– Wiem, że kryje truciznę. Ale życie jest tego warte.

– Amen. – Grover nachyliła się nad moją twarzą. Pachnie cukrem. Opieram dłonie o jego pierś i czuję bicie jego serca. Jest pełen życia, tak jak ja.

– Daj mi jej spróbować – mówię.

Grover przysuwa mój podbródek do swojego. Chłonę jego słodki oddech.

I jego usta łączą się z moimi.

Są ciepłe i miękkie, w tej chwili całe dla mnie. Kiedy nasze wargi się rozchylają, a języki spotykają, smak jabłka przenika z ust Grovera do moich. Zalewa mnie słodycz. Jego, jabłka, moja własna, to wszystko się miesza. Jeżeli kryje w sobie truciznę, zaryzykuję. Narazę życie, byle ta chwila trwała wiecznie.

Wtulam się w Grovera. Moje dłonie wędrują z jego torsu na kark. Przyciągam go do siebie. Przesuwam językiem po jego wargach, zgarniając wszystkie dostępne drobinki smaku. Zupełnie, jakbym przez całe życie głodowała i dopiero teraz pojęła ten fakt. Nie potrafię powstrzymać tego, że wszystkiego chcę więcej i więcej.

Dłonie Grovera dotykają moich ramion. Delikatnie mnie odsuwa. Kiedy miejsc, gdzie jeszcze przed chwilą wędrowały jego wargi, dotyka powietrze, czuję się zawiedziona.

Jąka się.

– Bo... Boję się, że moja wzmożona niestabilność psychiczna i emocjonalna może sobie nie dać rady z tą chwilą. Gdyby miała się przedłużyć, mógłbym eksplodować. – Czuję, że policzki mnie palą. Patrzę na szorty Grovera.

Chwyta mnie pod brodę i kręci głową. – Wyjątkowo nie o tym mówię – dodaje.

– Co za ulga. – Uśmiecham się.

– Czy gdybym eksplodował, złożyłabyś mnie z powrotem?

Wyjmuję z ręki Grovera jabłko i oglądam je. Nie jest bez skazy. Na skórce widzę brązowy ślad obtłuczenia.

– Wolę ciebie połamanego. – Wgryzam się w ten ślad na jabłku i przełykam kęs. Potem ciskam je do jeziora Kimball. Nie znika pod wodą, a ja nie mogę powstrzymać się od śmiechu.

Jabłka nie toną.

* * *

Wracamy z Groverem do Kręgu Nadziei, akurat gdy Kerry zbiera wokół siebie wszystkich obozowiczów. Grover przed puszczeniem mojej dłoni jeszcze raz ją ściska.

Madison dramatycznie wzdycha.

– Udało ci się wrócić.

– Owszem.

– I wszystko w porządku? – pyta.

– Nie. – Uśmiecham się. – Nigdy wszystko nie będzie w porządku. Ale może właśnie o to chodzi.

Madison też się uśmiecha i kiwa głową.

– Może.

Akurat wtedy podkrada się do mnie Cassie.

– Bla, bla, bla, u niej wszystko gra, Mads. Weź sobie xanax. – Wpija paznokcie w moje ramiona i mnie odciąga na bok. – Nie zapytasz, czy ze mną wszystko okej?

– Nie. Bo wiem, że nie – odpowiadam.

– To już nie ma znaczenia – mówi Cassie.

– Dlaczego? – pytam. Cassie krąży przede mną, z oczyma wbitymi z ziemię.

Uważnie ją obserwuję. – Cassie, o co chodzi?

– Mam dosyć bycia czerwoną. Chcę żółty krążek.

– Co?

– Głucha jesteś? – Cassie zbliża swoją twarz do mojej. Patrzy mi w oczy. –

Mam dosyć bycia czerwoną. Chcę żółty krążek. Muszę zaliczyć pływanie.

Mój niepokój topnieje, a policzki rozdyma szeroki uśmiech. Dotykam warg i przypominam sobie Grovera.

– Dobra – mówię. – Zaliczysz.

ROZDZIAŁ 23

*Chère Cassie,
Je t'aime.*

*Cordialement ¹,
Alex Trebek*

Następnego ranka przy śniadaniu Cassie mówi Madison, że chce ponownie podejść do egzaminu. Pilnie przestrzega wszystkich wymogów kary, siedzi przy stole opiekunów, nie dramatyzuje ani się nie wyklóca.

– Proszę – apeluje z wielkim, choć sztucznym uśmiechem, a Madison wyraża zgodę. Przechodzę przez kolejkę, chwytam nadprogramową grzanekę i zanoszę ją Cassie.

– Chcesz, żebym wyglądała jak Bek? – pyta.

– Zjedz. Przyda ci się.

Cassie jęczy.

– Szkoda, że z masłem.

– Zaufaj mi. Znam cię lepiej, niż myślisz.

Mruży oczy i wyciera palec w suchą kromkę.

Przed odejściem wzruszam ramionami, a potem obserwuję ją z drugiego końca stołówki, żeby się upewnić, czy choć trochę skubnie. Zjada. Może nie wszystko, ale przynajmniej trochę, i tak jest więc lepiej, niż było na starcie.

Po śniadaniu zostaję w stołówce, bo będziemy ozdabiać nasze maski z masy papierowej. Hayes rozdziela farby i ogłasza nam coś, co nazywa „intencją” tych zajęć.

– Pokażcie światu, kim dzisiaj jesteście. Wszystkim, co mamy, jest bowiem dzień dzisiejszy. Wczorajszy przeminął, a jutro może nie nastąpić.

Grover podnosi w górę palec.

– Jeżeli się dobrze zastanowić, to właściwie wszystkim, co mamy, jest tylko ta chwila. Zaraz już jej nie będzie. Czy to nie niesamowite, że wszystko, co wychodzi z moich ust, momentalnie staje się przeszłością? Choćby to, jak kilka sekund temu powiedziałem, że „właściwie wszystkim, co mamy, jest tylko ta chwila”. To już jest wspomnienie. To też już jest tylko wspomnieniem. I to też.

– Tak. – Hayes chyba traci pewność siebie.

Grover celuje w niego palcem.

– Przyznajesz, że to wspomnienie! Naprawdę więc chcesz od nas, żebyśmy namalowali, jacy obecnie jesteśmy, chociaż wiesz, że w chwili, gdy skończymy, nasze dzieła będą pokazywać, jacy byliśmy w przeszłości.

– Tak. – Hayes przeciąga to słowo, jakby nie do końca kojarzył, co tu się naprawdę dzieje. Szturcham Grovera w bok.

– Kumam. Rany, będę musiał to przemyśleć.

– Wydaje mi się, że za dużo myślisz – mówi Hayes.

– Myślę, że możesz mieć rację, że myślę za dużo. Ale jeżeli całe nasze życie chwila po chwili staje się wspomnieniem, tak naprawdę zostają nam tylko nasze myśli. A moje mogą mieć krótszą datę ważności, więc lepiej, żebym z nich korzystał, póki mogę. Jak sądzisz?

– Racja. – Hayes wygląda już na całkiem skołowanego. Na twarzy Grovera maluje się satysfakcja. – Zaczynajmy.

– Naprodukujmy trochę wspomnień! – krzyczy Grover.

Mnie jednak za bardzo rozprasza myślenie o Cassie i o ustach Grovera, a także fakt, że to, jacy teraz jesteśmy, nie determinuje tego, jacy będziemy. Nie mam ochoty marnować czasu na rozważanie, kim jestem. Ja chcę po prostu być.

Kiedy Hayes prosi nas wszystkich, żebyśmy pokazali grupie nasze już wykończone maski, moja jest nadal nietknięta.

– Interesujący wybór, Durga – mówi. – I nawet poetycki.

– Geniuszka – dogaduje mi Grover. Jego maska to podobizna Abrahama Lincolna, z cylindrem i w ogóle. – Nikt nie kojarzy, jak wygląda Grover Cleveland, postawiłem więc na popularnego prezydenta, no i macie.

– Zastanawiałam się, po co tracić czas na oglądanie siebie z przeszłości – wyjaśniam.

– Amen. – Widzę uśmiech Grovera.

Po zajęciach oboje z Groverem zostawiamy nasze maski. Tamci ludzie już nie istnieją.

* * *

Stoimy z Cassie na plaży, czekając na jej drugie podejście do egzaminu z pływania. Obserwuje nas także kilkoro opiekunów. Dałabym głowę, że połowa z nich liczy na jej utonięcie. Dziewczyna zaciska dłonie i macha rękami.

– Niech ci się wydaje, że cię trzymam.

– Boże, jednak z ciebie lesba. – Patrzę na nią z ukosa. – Sorki. Tak mi się wysnęło.

– Jadłaś? – pytam.

– Oczywiście, że jadłam.

– Tak to mówisz, jakbyś mnie chciała przekonać.

– W życiu nie ma nic pewnego – odpowiada.

– To jadłaś? – pytam ponownie.

– Trochę. Nie za dobrze się czułam.

– Denerwujesz się. To nic złego.

– Patyczak! – Grover zbiega ze stołówki. Kiedy Cassie go widzi, na jej twarzy od razu pojawia się uśmiech. – Maslow kazał ci to dać.

– Znów ten pieprzony Maslow?

Grover spogląda na mnie. Jednocześnie wzruszamy ramionami. Cassie przechyła do ust pudełeczko lemonheads i mi je przekazuje.

– Jeżeli umrę, to będzie twoja wina.

– Przestań dramatyzować.

– To ty przestań... – Cassie mruży oczy. – Po prostu się zamknij.

Żadnych kąśliwych uwag. Chyba naprawdę się denerwuje.

Razem z Groverem odprowadzamy Cassie do wody. Madison stoi pod hasłem W CAMP PADUA DOBRA ZABAWA TO PODSTAWA z podkładką i stoperem w dłoni. Rozmawia z inną opiekunką. Czerwony krążek Cassie wisi na tablicy jak tarcza strzelnicza.

– Dasz radę – mówię i ściskam ją za rękę.

– Zander dobrze gada – dodaje Grover.

– Mordy w kubel. Co to ma być? Terapia grupowa? – Cassie się nam wrywa.

– Zuch dziewczyna – stwierdza Grover z uśmiechem.

Kiedy Cassie stoi już w wodzie, a Madison ma zacząć sprawdzian, czyjś wrzask sprawia, że wszyscy zamierają w bezruchu.

– Czeka! – U szczytu schodów pojawia się jasnoczerwona buzia Beka. Zasuwa na dół, z łukiem i strzałami zabranymi z torów. Tak ciężko oddycha, że musiał całą drogę biec. – Czeka!

Pędząc do Cassie, o mało nie wywala się na twarz na piasku. Odrzuca łuk i strzały i wbiega do wody, w butach i tak dalej. Chwyta ją za ramiona.

– Co ci odbiło, Bobasie? Zabieraj te spocone łapy.

Bek jednak nie słucha Cassie. Bez ostrzeżenia przykrywa usta Cassie swoimi i ją całuje. Dziewczyna sztywnieje. Pulchne paluchy Beka przytrzymują jej kościste ramiona. Groverowi i mnie zapiera dech. Tak samo jak wszystkim, którzy na to patrzą.

Bek w końcu się odsuwa, ale nadal jej nie puszcza. Cassie stoi bez ruchu,

jakby jej stopy zmieniły się w bloki betonu.

– Jest wporzo, Bek! – krzyczy Grover i głośno klaszcze. Wsadza dwa palce do ust i przeraźliwie gwizdże. Ten dźwięk chyba wytrąca Cassie z transu, bo dziewczyna wreszcie wyrywa się Bekowi i cofa o krok. Bierze zamach i wali go w twarz.

– Prosiak, odczep się ode mnie – warczy.

Bek odlatuje w tył, ale łapie równowagę, zanim wpadnie w wodę. Kiedy wychodzi z jeziora, przykładając rękę do czerwonego policzka, na jego twarzy maluje się szeroki uśmiech.

– *Je t'aime* ² – szepcze oszołomiony, mijając mnie i Grovera, a potem już bez słowa kieruje się do schodów.

Odwracam się do Grovera.

– Co to miało znaczyć?

– Myślę, że Bek w końcu trafił. – Uśmiecha się ironicznie. Studiuję zarys jego nosa i to, jak jego koniuszek lekko skręca w prawo. Mam wrażenie, że rozumiem Beka. W tym momencie wdzięczna jestem za istnienie niedoskonałości.

– Sądzę, że w przyszłym roku zamiast francuskiego wybiorę hiszpański – mówię szeptem.

– Mądry wybór, señorita.

Madison tłumaczy Cassie, że na początek ma dowolnym stylem pokonać dwukrotnie odległość pomiędzy bocznymi pomostami, żeby dowieść, że co najmniej jednym umie pływać.

– Ale nie musi być dobrze? – upewnia się Cassie.

– Nie – potwierdza Madison. – Bylebyś nie dotykała stopami dna. Przez chwilę przygląda się Cassie z autentycznym przejęciem i dodaje: – Dasz radę.

– Skoro tak mówisz – ucina Cassie, ignorując nastrój chwili.

Później będzie musiała przejść na głębszą wodę i unosić się na niej przez

pięć minut.

Cassie wchodzi głębiej i się zanurza. Chowa się po ramiona otoczona żywiołem, którego jeszcze niedawno tak się bała. To jeden z najpiękniejszych widoków w moim życiu, porównywalny z tym, gdy wschodzące nad pustynią słońce powleka niebo swoim ciepłem.

Mimo to, kiedy Madison dmucha w gwizdek, cała tężeję. Nawet nie oddycham.

– Mads, to tylko ja. Nie musisz być tak cholernie oficjalna. – Cassie chlapie wodą, opryskując nogi i szorty Madison.

– Do dzieła – mówi Madison.

Grover chwytam mnie za rękę, ja ściskam mu dłoń.

– Ufaj sobie! – krzyczę do Cassie. Ogląda się na nas. Kiwam głową i się do niej uśmiecham.

Grover mocniej zaciska palce. Jednocześnie zaczynamy powtarzać:

– Módlmy się do świętego Antoniego. O odnalezienie zagubionych. O uwolnienie duszy. O życie wieczne.

Kiedy Cassie po egzaminie wychodzi z wody, podnosi z piasku porzuconą przez Beka strzałę i zbliża się do tablicy, na której wisi jej czerwony krążek. Wbija nią w sam jego środek.

W dziesiątkę.

1. (fr.) Droga Cassie, kocham Cię, Pozdrawiam. [\[wróć\]](#)
2. (fr.) Kocham cię. [\[wróć\]](#)

ODWAGA

ROZDZIAŁ 24

Kochani Mamo i Tato,

Co tam u Was? Ale tak naprawdę. Otrzymuję od Was listy o tym, co robicie (skoro o tym mowa, klub podcastowy nadal wydaje mi się czymś okropnym), ale nie mam pojęcia, co czujecie.

Tu, na obozie, dużo rozmawiamy o tym, jak się czujemy. Moja koleżanka Dori nie znosi swojego ojczyma. Inna dziewczyna z mojego domku, Hannah, kaleczy się, bo nienawidzi siebie. Jeszcze się nie odważyła nam tego powiedzieć, ale myślę, że to robi. Tak przynajmniej twierdzi Cassie. Cassie to moja przyjaciółka. Ona nienawidzi dosłownie wszystkiego na tym świecie, może z wyjątkiem Grovera. Czasami wydaje mi się, że i mnie nie nienawidzi. Z drugiej strony wydaje mi się, że musi mnie nienawidzić, bo przez to czuje się lepiej, kiedy mimo wszystko nie odpuszczam sobie przyjaźni z nią. Mnie też jest z tym dobrze.

A tak w ogóle, to nauczyłam ją pływać.

Wydaje mi się, że opowiadam to, bo liczę, że kiedy wrócę do domu, będziemy mogli porozmawiać o tym, co czujemy. Taką mam nadzieję.

Wiem już, czemu po tych zawodach pływackich, kiedy prawie utonąłam, tata o mało mnie nie uderzył. I jest okej. Nie bójcie się, to się nie powtórzy.

Ja już nie tonę.

Z

PS Grover to taki chłopak i jest cudowny. Kiedy następnym razem zobaczysz Coopera w sklepie, możesz mu to, Mamo, powiedzieć.

Cassie wraca do domku pod koniec tygodnia, po odpękaniu „izolatki”. Wpada jak burza.

– Wróciłam – ogłasza śpiewnie. Podchodzi do swojego łóżka, rzuca torbę i podnosi kołdrę, którą jej położyłam.

– A co to, do cholery?

– Należała do Molly.

– Fuj. – Ciska ją z powrotem na łóżko. – Podłożyłaś mi kołdrę po swojej zmarłej siostrze.

– Pomyślałam, że może ci się przyda, palantko.

Podchodzę, żeby ją zabrać, ale Cassie mnie powstrzymuje.

– Palantko?

– To pierwsze przyszło mi do głowy.

– Z, musimy popracować nad twoimi bluzgami.

A potem rozpościera kołdrę na swoim łóżku. Kiedy idzie do łazienki umyć zęby, zapuszczam żurawia do jej torby. Po słodyczach nie ma śladu. Rozpinam kieszeń, w której pierwszego dnia miała tabletki odchudzające. Są tam nadal. Dotrzymała obietnicy. Odkładam wszystko dokładnie na swoje miejsce.

Gdy Cassie wychodzi z łazienki, nie mogę się do niej nie uśmiechnąć.

– Co się tak gapisz, palantko? – pyta.

Cieszę się, że wróciła. Brakowało mi jej.

* * *

W Kręgu Nadziei panuje cisza. Skupiam wzrok na czekającym mnie zadaniu. Naciągam mocno plastikowy kabelek i przechodzę do odtwarzania wzoru, krzyżując kolory i przeplatając go z innymi. Wszystkie ciężko pracujemy, poza Cassie, która leży na trawie i obrywa mleczom główki. Otacza ją cmentarzysko połamanych łodyg.

Cel zajęć jest prosty, tak przynajmniej twierdzi Madison. Wykonać z kabelek kolorowy breloczek i ofiarować innej osobie wraz z jakimś wyznaniem na swój temat. Obdarowana zatrzyma go jako świadectwo odwagi, jakiej wymaga szczerść na swój temat, i jednocześnie przypomnienie, że w głębi ducha wszyscy jesteśmy odważni.

– Żeby przejść przez ciężkie chwile w życiu, potrzebna jest odwaga – mówi Madison, krążąc wokół grupy. – Kiedy ogarnia nas przygnębienie, kiedy denerwujemy się, że możemy zawieść, czy też gdy wygląda na to, że wszystko i wszyscy sprzyięgli się przeciw nam, odwaga pozwala nam się podnieść i zabrać do roboty.

Splatom pomarańczowy kabelek z żółtym i różowym, raz po raz powtarzając ten schemat, aż powstaje breloczek. Kiedy terapia grupowa niemal dobiega końca, Madison podchodzi do każdej z nas z zapalniczką i przypala końcówki kabelek, topiąc plastik.

Do mnie zbliża się też Hannah, wyciągając swój breloczek.

– Dla ciebie.

Staram się nie okazać zaskoczenia, niewątpliwie jednak kiepsko mi to wychodzi.

– Dziękuję – mówię z wahaniem.

– Wyśmiewają mnie – wyrzuca z siebie. – Dziewczyny z mojej szkoły. Już od zerówki. Nie wiem dlaczego, ale wciąż to robią, myślę więc, że coś jest ze mną nie tak, wiesz? Coś musi być nie tak, skoro tak bardzo mnie nienawidzą.

– No, nie wiem. Może po prostu są durne.

– Może. – Hannah mruży oczy, jakby się nad tym zastanawiała.

– To dlatego się tniesz?

Patrzy na swoje długie rękawy.

– Wtedy to widzę. Widzę, co jest ze mną nie tak, bo mam to wypisane na skórze. – Powoli kiwam głową, czując, jak z jej powodu ściska mi się żołądek. – Poza tym zdaje mi się, że się zakochałam w Kerrym – dodaje.

– W Kerrym? W tym Kerrym, właścicielu obozu?

Hannah przytakuje.

– Jest zachwycający.

– I dwa razy od ciebie starszy.

– Wiem. – Na twarzy Hanny maluje się zaduma. Bawi się rękoma. – I to ja zamknęłam wtedy okno.

– Słucham?

– Ja zamknęłam okno, kiedy Cassie się wykradła. Nie mów jej, proszę, że to ja. Chyba by mnie zabiła.

Hannah ma rację. Cassie mogłaby ją za to zabić. Podnoszę breloczek. Zamknięcie okna było przejawem odwagi. Odwagi lub szaleństwa.

– Nie pisnę słowa.

Hannah oddała się – wyznanie wyraźnie jej ulżyło. Widzę, że Cassie nie zeszła jeszcze z łąki, i siadam koło niej.

– Mama dzidzię miała i łebek jej urwała. – Cassie ściska mlecze w miejscu, gdzie łodyga styka się z kwiatem. Oderwana żółta główka wylatuje w powietrze i ląduje przy mojej nodze.

Wyciągam swój breloczek.

– Masz.

Cassie siada prosto i przyjmuje go.

– A nie powinnaś czegoś wyznać?

– Wszystko ci powiedziałam kilka nocy temu.

– To niemożliwe. Nie powiedziałabyś wszystkiego.

Obejmuję się rękoma.

– Całowaliśmy się z Groverem.

Cassie sztywnieje i patrzy na breloczek.

– Dobrze całuje? – W jej głosie czuje się napięcie i najchętniej cofnęłabym swoje słowa, ale się nie da, więc odpowiadam szczerze:

– Dobrze.

Cassie wstaje i otrzepuje tył szortów. Nie patrzy na mnie. Intensywnie wpatruje się w coś niewidzialnego po drugiej stronie ogniska.

– Bek też nieźle całuje... jak się przyzwyczaić do zwałów tłuszczu. I gównu mnie obchodzi, co wyprawiacie z Groverem. Jak dla mnie, możesz nawet urodzić mu dzieci. Zalecam tylko, żebyś się dobrze nad tym zastanowiła, bo po waszej dwójce na pewno będą nienormalne. – Ogarnia wzrokiem wszystkie bezgłowe mlecze.

Wyrywam z trawy jeszcze jednego i podaję jej. Może chciałaby coś jeszcze

oberwać. Przyjmuje go i wreszcie spogląda na mnie.

– Tylko pamiętaj, że to ja was poznałam. Pierwsza się z nim przyjaźniłam.

– Nigdy nie zapomnę.

Resztę popołudnia spędzamy razem z Bekiem i Groverem na pływaniu pomiędzy płytszą a głębszą częścią kąpieliska. Kiedy schodzimy na plażę, Cassie wpycha Beka w drewnianą tablicę i oznajmia, że jeśli jeszcze kiedyś będzie się pchał do niej z ustami, to mu oberżnie jaja.

– O ile je znajdę – warczy, napierając obiema dłońmi na jego pierś, żeby się nie ruszał.

Bek tylko uśmiecha się szeroko.

– Ty mnie dotykasz.

– Znowu prawda. Poważnie myślę, że Bek nam wyzdrowiał – odzywa się Grover.

Cassie stęka, jakby totalnie ją to zniesmaczyło, i puszcza Beka. Bierze swój nowy, żółty krążek i wieszka go na tablicy, jakby rozświetlała ją promieniem słońca.

Prosi mnie, żebym pokazała jej coś więcej niż ten marny kraul, poświęcam więc to popołudnie na uczenie jej, jak przekrzywiać głowę i oddychać podczas pływania. A potem pracujemy nad techniką ruchów w żabce.

– Mój ulubiony styl – włącza się Grover. – Nie myśl, że nie zauważyłem nowego kostiumu. – Wgapia się w moje bikini.

– Ktoś mówił coś o ruchach? – Nad wodą widać głowę Beka. – I o technikach?

Po minilekcji z Cassie, Grover i ja płyniemy na tratwę i nurkujemy, żeby sprawdzić, które z nas szybciej dotknie dna i wynurzy się z garstką piasku. Cassie obserwuje nas z końca pomostu, bo nie wolno jej wypłynąć poza linię boi oddzielających strefę żółtą od zielonej.

Daję głębokiego nura i prę w kierunku dna najszybciej, jak potrafię. Ledwie

go dotykam, zagarniam piasek. Czym prędzej się odwracam i odpycham się obiema stopami w stronę powierzchni wody, zostawiając za sobą na dnie jeziora Kimball wspomnienie tego, jak łatwo było kiedyś tonąć.

– Kto był pierwszy? – krzyczy Grover, wypluwając wodę.

– Ja. – Ochlapuję go, wciąż jeszcze trzymając w górze rękę z piaskiem.

– Niech Cassie rozsądzi. – Grover wskazuje na nią, wystawiając rękę nad wodę.

Cassie wciąż jeszcze młóci wodę, z jedną ręką w górze. Mierzy wzrokiem nasze ręce z piaskiem i orzeka:

– Wygrał Cleve.

Popycham go, obsypując mu ramię piaskiem. Ziarenka spadają do wody i znikają.

– Sędzia był stronniczy.

Grover uśmiecha się i naciera. Chwyta mnie za nogi, przyciąga bliżej siebie, a potem pod powierzchnię wody. Mocuje się ze mną, bo się wiję, a że się śmieję, wokół mojej głowy powstają bąble powietrza. Wynurzamy się jednocześnie, łapiąc oddech.

Znowu się do mnie uśmiecha.

A ja do niego.

Oboje ponownie chowamy się pod wodą. Ja zanurzam się tylko na tyle, by głowę mieć co najwyżej ćwierć metra pod lustrem wody. Kiedy Grover podpływa tak, że jego twarz dzielą od mojej centymetry, przez zielonkawy błękit prześwituje słońce. Włosy unoszą mi się wokół głowy. Rozsuwa je palcami, tak by falowały niczym trawy na wietrze. Robię to samo.

Potem całujemy się po raz drugi. Jego usta delikatnie napierają na moje i tak trwamy, unosząc się tuż pod powierzchnią.

* * *

Kiedy chłopaki idą wziąć przed kolacją prysznic, my z Cassie siedzimy na końcu pomostu z mokrymi włosami i twarzami skierowanymi w stronę słońca.

– Przed narodzinami mojej siostry mama co lato brała kilka dni wolnego, żeby zabierać mnie na basen. Kupowała mi wtedy na stoisku ze słodyczami lód na patyku, taki czerwono-biało-niebieski.

– Są przecież nafaszerowane syropem wysokofruktozowym.

– Wiem. W głowie mi się nie mieści, że mama to robiła. – To wygrzebane z pamięci wspomnienie wywołuje mój uśmiech. – Samochód był strasznie nagrany, bo stał w słońcu, ale po całym dniu i to wydawało się fantastyczne.

– Moja mama nic dla mnie nie robiła. – Cassie muska wodę stopami.

– To niemożliwe. Coś musiała zrobić.

– Poza obdarowywaniem mnie wszami? – Przypatruje się swoim pomarszczonym od wody dłoniom. Daje jej kilka sekund, a potem jeszcze kilka. – Chociaż jedną rzecz tak. Nauczyła mnie pleść warkoczyki. Każda czarnoskóra dziewczynka musi umieć je zaplatać.

– Zapleciesz mi?

Cassie patrzy na mnie, jakbym powiedziała coś niedorzecznego.

– Nie wiedziałabym jak. Dotąd zaplatałam tylko sobie.

– Uda ci się. – Szturcham ją w nogę, tę z blizną. A potem zbieram się na odwagę i tej blizny dotykam. Cassie na moment odsuwa się ode mnie, ale jej noga zaraz znów znajduje się przy mojej ręce. – Proszę – mówię.

Stęka i wstaje.

– Zaczekaj tutaj.

Na pomost wraca z grzebieniem i garścią gumek do włosów, które zabrała z domku.

– Ile warkoczyków zrobisz z moich włosów?

– Zobaczysz. – Uśmiecha się paskudnie.

Palce Cassie przesuwają się po mojej głowie, rozdzielając włosy na pasma,

z których robi malutkie kucyki. Potem kolejno zaplata je w warkoczyki, na całej długości.

Kiedy mnie czesze, splata włosy i w ogóle ich dotyka, ogarnia mnie senność i spokój. Cassie niewiele się odzywa przy tej pracy. Słońce, pływanie i to teraz sprawiają, że mogłabym zasnąć.

W półśnie mówię:

– Szkoda, że nie mogłyśmy robić tego z Molly. Siostry powinny zaplatać sobie warkoczyki.

Cassie kończy kolejny i opasuje go gumką.

– Przykro mi z powodu twojej siostry, Z. – Ton, którego użyła, to potwierdza.

– Mnie jest przykro, że masz takie życie, Cassie.

– Mnie też.

Kiedy już całą głowę mam w warkoczykach, Cassie siada obok mnie na końcu pomostu i wpatruje się w jezioro.

– Jakie w dotyku jest to dno?

– Przecież dotykałaś.

– Nie to tutaj – mówi i wskazuje tratwę. – Tam.

Kiwam głową na znak, że w końcu zrozumiałam.

– Piasek jest bardziej miękki i o wiele mniej tam wodorostów.

– Fajnie brzmi.

– Bo jest tam fajnie.

Cassie chwilę milczy, a potem odwraca się do mnie.

– Chcę dotknąć tam dna. Chcę skakać z tej tratwy. Chcę być zielona – mówi.
– Pomożesz mi?

Przesuwam dłońmi po wszystkich moich warkoczykach.

– Oczywiście.

Kiedy pod koniec dnia schodzimy z Cassie z pomostu, podbiega do nas

Hannah z listami w dłoniach.

– To z domu. – Jeden podaje mi, a drugi Cassie. Wtedy do mnie dociera, że jeszcze nie widziałam, żeby Cassie otrzymała list.

– Dzięki – mówię.

Cassie ściska swój list palcami. Szeroko otwartymi oczami nie patrzy na mnie, tylko gdzieś w przestrzeń.

– Cassie?

Wraca do siebie.

– Zobaczymy się w domku. Wdepnę jeszcze do łazienki w stołówce. – W połowie schodów odwraca się. – Tak przy okazji, Hannah, wiem, że to byłaś ty.

Dziewczynie zapiera dech.

– Powiedziałaś jej!

Kręcę głową i coś tam jąkam.

– Nie – krzyczy Cassie, odwracając się w stronę szczytu schodów. – Sama to właśnie zrobiłaś. – Przerzuca ręcznik przez ramię. Nie mogę oderwać oczu od listu, który kurczowo trzyma w ręce. Tak mocno, jakby się bała, że wiatr go porwie i zabierze ze sobą.

ROZDZIAŁ 25

Kochana Zander,

dziękuję Ci za Twoje listy. Oboje z tatą bardzo się cieszymy, że dobrze sobie radzisz na obozie. Tacy jesteśmy szczęśliwi. Widzisz. Staram się.

Prawda jest taka, Zander, że myślałam, iż będę potrafiła się przygotować. Wydawało mi się, że będę przygotowana na śmierć Twojej siostry. Ale nie byłam. Nie wydaje mi się, żeby rodzice byli w stanie się na coś takiego przygotować, bo niezależnie od sytuacji zawsze tli się w nas nadzieja, że to się nie dzieje naprawdę. To głupie, wiem. Ale alternatywa... Cóż, czasem jedyną alternatywą zostaje nadzieja, gdyż rzeczywistość to zbyt duży ciężar. Ten taki był.

Nie mogłam się rozstać z Molly. Kiedy będziesz miała dzieci, a modłę się, by kiedyś to nastąpiło, wierzę, że też nie będziesz chciała się z nimi rozstawać.

Wiedziałam, że źle robię, zatrzymując ją przy sobie. Ale przecież była moim dzieckiem i potrzebowałam być z nią po kres jej dni.

Nadal jej potrzebuję.

I potrzebuję Ciebie.

Może rzeczywiście coś jest w pisaniu listów. Czuję się lepiej od samego przelewania tego na papier.

Cooperowi powiedziałam, że znalazłaś sobie na obozie nowego chłopaka i że napisałaś mi, jak świetnie całuje. Zresztą nigdy nie lubiłam Coopera. Obżera się jak neandertalczyk.

Kocham Cię,

Mama

Przyciskam do piersi list od mamy. Papier gniecie mi się w dłoniach. Opieram się o zewnętrzną ścianę stołówki, podczas gdy coraz to nowi obozowicze ściągają do niej na kolację.

Chyba jeszcze nie mogę go odłożyć. Wolę jeszcze trochę potrzymać kartki, żeby jej słowa bardziej się utrwaliły.

Czytam go ponownie.

– Oby nie był od Coopa, który próbuje cię odzyskać. – Przez ramię zagląda mi Grover. Szybko składam list i wpycham do tylnej kieszeni. – Fajny fryz. – Dotyka jednego z warkoczyków.

– To dzieło Cassie – mówię, przejeżdżając po głowie dłonią. – A list jest od mojej mamy.

– Pisałaś jej o mnie?

– Może. – Lekko się do niego uśmiecham. Nie ruszamy się z miejsca. Chwyta inny warkoczyk i okręca go sobie wokół palca. Przechodzą mnie dreszcze.

W oczach Grovera jest więcej niż zwykle iskerek i znów ma na sobie koszulkę z hasłem „O dobrą zabawę nietrudno, gdy ma się kartę biblioteczną”. A im dłużej na mnie patrzy, tym cieplej mi się robi na sercu.

– Zrobisz coś ze mną dziś wieczorem? – pyta.

Nie dociekam co, bo to nieważne. Od razu się zgadzam i wchodzimy do stołówki, trzymając się za ręce.

– A warkoczyki zostaw. Podobają mi się.

Cassie już siedzi przy naszym stole. Nie widziałyśmy się w domku. Wysłałam wcześniej, żeby przeczytać list od mamy. Tam śledziłoby mnie za wiele oczu. Teraz jednak na jej widok niespodziewanie czuję ulgę.

Kiedy przechodzę koło kosza jabłek, przesuwam dłońmi po owocach. Dzisiaj mnie do nich nie ciągnie. Wspomnienie tego, dlaczego tak jest, wciąż wraca mi w myślach. I to na razie wystarczy. Kiedy siadam obok Cassie, proponuję jej swoją bułkę.

– Nie, dzięki, Z. – Cassie dziobie łyżką sałatę.

– Jutro możemy poćwiczyć nurkowanie – mówię. – Pokażę ci, jak to robić.

– Świetnie. Nie mogę się doczekać.

Przez całą kolację Cassie niewiele mówi, a większość jej jedzenia pozostaje nietknięta. W pewnej chwili spogląda na Beka.

– Czy twoja zmarła matka nie uczyła cię, że się nie mlaszcze przy jedzeniu, Bobasie?

Bek wytrzeszcza na nią oczy. Od razu przełyka wszystko, co ma w ustach.

Docinek był w stylu Cassie, ale ton nietypowy.

– Wszystko dobrze? – pytam.

W końcu podnosi na mnie wzrok.

– Z, przerabialiśmy to już milion razy. Ze mną nigdy nie jest dobrze. –

A potem się uśmiecha i znów czuję ulgę.

– A od kogo był ten list? – Upijam łyk mleka.

Cassie trąca łyżką listek sałaty.

– Od mojej ciotki Chey.

– Nie wiedziałam, że masz ciotkę.

– Z, większość ludzi ma. – Cassie znów dziobie swój talerz.

Widzę, że nie chce o tym mówić, więc porzucam temat. Przynajmniej powiedziała, kto do niej napisał. To już coś. Bo jeśli coś już wiem o Cassie, to na pewno to, że nie da się jej do niczego zmusić.

Po kolacji i wieczornym rozdzielaniu leków mamy kolejne ognisko z dorzynaniem piosenek Jamesa Taylora do wtóru gitary Hayesa. Kerry pyta, czy ktoś z nas chciałby wstać i wystąpić solo.

– W ramach ćwiczenia odwagi – mówi. – Bo występ przed grupą wymaga samozaparcia.

Ku memu zaskoczeniu rękę podnosi Dori. Śpiewa całą zwrotkę *Fire and Rain*. Głos ma czysty i słodki. W Chicago prawdopodobnie śpiewała w chórze. Wiercę się niespokojnie na myśl o powrocie do domu. Tutaj czuję się już swobodnie, ale tanto... Przez kieszeń dotykam listu. Prawie chciałabym być już znów w Arizonie.

Kiedy się rozchodzimy do domków, dogania mnie Grover i ciągnie za koszulkę.

– Pamiętasz, obiecałaś, że coś ze mną dzisiaj zrobisz? – szepcze.

– Wydaje mi się, że czegoś ci w tym zdaniu zabrakło.

– Nawet paru słów. – Znów ciągnie mnie za koszulkę. – Nie masz chyba nic

przeciwno włamaniom?

– Czemu pytasz? – dociekam.

– Zobaczysz. – Rusza biegiem w stronę domków dla chłopaków. – Tylko czekaj na mnie.

– Gdzie?

Zatrzymuje się.

– No przecież w łóżku. Gdzieżby indziej?

Wszystkie dziewczyny, łącznie z Cassie, zasnęły szybko, tylko ja leżę z szeroko otwartymi oczyma, wpatrzona w łóżko nade mną. Zerkam w stronę zamkniętego okna w łazience. Madison zgłosiła konserwatorowi, że brakuje zamykającej je śruby, ale powiedzieli jej, że naprawią to pod koniec lata. Do tego czasu będzie zaklejała dół okna taśmą.

Widzę twarz śpiącej Madison. Długie włosy spadają jej na ramię tuż koło klucza zawieszzonego na szyi, a ja przez ułamek chwili zastanawiam się, co z nią jest nie tak. Nikt nie jest doskonały. Nawet jeśli się ma klucz umożliwiający wyjście z zamkniętego pokoju, nie oznacza to jeszcze, że będzie chciało się go użyć. Niektórzy ludzie czują się swobodniej, tkwiąc w swoich pułapkach.

Kiedy tak czekam na Grovera, kolejne minuty zdają się coraz bardziej ciężać, jakby każdemu tik było coraz dalej do tak. Słyszac szcęk zamka, podrywam się. Drzwi uchylają się na tyle nieznacznie, że ktoś, kto akurat na nie nie patrzy, wcale by tego nie zauważył, ja jednak tak. Bo na to czekałam. A czekanie, jak się okazuje, wcale nie musi być takie złe.

Wciągam tenisówki i na palcach drepnę do drzwi. Najciszej, jak to możliwe, wyslizguję się przez nie prosto w noc.

Grover czeka w świetle księżyca, ubrany w zwykłe spodnie od pizamy i białą koszulkę.

– Jak ci się udało otworzyć drzwi? – pytam.

Pokazuje ogromne kółko z milionem różnych kluczy.

– Mam swój komplet.

– Skąd go wzięłeś?

– W zeszłym roku wykradłem stąd zestaw kluczy uniwersalnych i po powrocie do domu dorobiłem kopie. Zamykanie nas na noc jest ryzykowne. Może wybuchnąć pożar. Wiem, że obóz gwarantuje wszystkim uczestnikom bezpieczeństwo, ale akurat z tą regułą jest mi nieswojo.

To wyjaśnia, co pozwala mu się wykradać.

– Dałeś Cassie klucz do centrum zdrowia?

Grover przytakuje.

– Potrzebowała go.

– Myślałam, że Madison ma jedyny klucz. – Dotykam tego kółka.

– Zander, do każdych drzwi jest więcej niż jeden. – Grover obejmuje mnie ramieniem. – Chodź. Chcę ci coś pokazać.

Nawet kiedy podchodzimy do stołówki, nie puszcza mnie. Wręcz przeciwnie: przygarnia mnie bliżej do swojego boku. Jednym ze swoich kluczy otwiera drzwi i rusza przez ciemną salę. Cały czas dba, żebym się nie zgubiła.

Zatrzymujemy się przed drzwiami jakiejś komórki.

– Wykradliśmy się, żeby posiedzieć w schowku na szczotki? – pytam szeptem i ziewam.

Wokoło jest ciemno, ale wiem, że Grover się uśmiecha. Uchyła drzwi. Z ekranu włączonego telewizora pada światło. Na podłodze widzę poduszki ułożone na wzór foteli, a pomiędzy nimi miskę z popcornem.

– Co to takiego?

Grover wciąga mnie do tego pomieszczenia.

– Randka z filmem.

– Randka. – Uśmiecham się.

– Widziałem, że Kerry trzyma tu telewizor, i przyszło mi do głowy...

Niestety, to kino ma ograniczony repertuar. Do tego przebywanie w nim naraża nas na aresztowanie.

Siadam na jednej z tych poduszek.

– Zaryzykuję.

Grover włącza odtwarzacz DVD i siada obok. Podnoszę popcorn i opieram głowę na jego ramieniu.

– Randka dopiero się zaczęła, ale już teraz wiem, że będzie to najlepsza, na jakiej byłam – mówię.

– A dla mnie pierwsza – wyjawia Grover.

– Poważnie?

Patrzy teraz na swoje dłonie. Obciąga dół koszulki.

– Schizofreniczny tata ze skłonnością do gubienia portek to marny wabik na panny. Prawda jest taka, Zander, że ludzie boją się mojego taty.

Chwytam go za rękę i ściskam.

– Molly też się bali. Rzeczywistość bywa zbyt szkaradna, by chciało się ją oglądać.

Spojrzenie Grovera wreszcie spoczęło na mnie.

– Nie kumam, jak to, na co patrzę, można by nazwać szkaradnym.

Po tych słowach chce mi się jednocześnie płakać i śmiać.

– To co dzisiaj tu grają? – pytam.

– Prawdziwy klasyk kina dla nastolatków. *Klub winowajców*.

Wrzucam sobie do ust popcorn.

– Słyszałam o nim same dobre rzeczy.

Leci zaczynająca film muzyka i oboje wygodnie sadowimy się na poduszkach, ale Grover nie puszcza mojej ręki. Trzyma ją mocno i kładzie sobie na sercu.

Kiedy film się kończy, żadne z nas się nie rusza. Moja głowa opiera się o pierś Grovera, ręka leży na jego torsie, a noga wsunięta jest pod jego łydkę.

Jakoś się splotłam z Groverem.

Przez stopklatkę z Johnem Benderem na boisku wysoko unoszącym pięść w geście triumfu przewijają się napisy końcowe, a Grover bawi się moimi warkoczykami.

– Myślisz, że po powrocie do szkoły w poniedziałek królowa balu i ten kryminalista będą jeszcze razem? – pytam.

– Mam nadzieję, że tak – odpowiada.

– Ja też. – Skubię jego koszulkę, skręcam ją w palcach. – Grover, naprawdę jesteś prawiczkim? – Siada prosto, co zmusza mnie do tego samego. Klęczę teraz naprzeciw niego i wzruszam ramionami. – Po prostu w filmie wiele się o tym mówiło.

– Tak. – Grover mówi to bez emocji. – Jestem prawiczkim.

Te słowa wywołują u mnie westchnienie.

– Czy ty i Cooper... – zawiesza głos.

– Nie. Jemu się podobały moje cycki.

– Nie dziwię się.

Wiem, że się teraz rumienię, ale nie spuszczam oczu z twarzy Grovera. Wyrównuję oddech i zbieram się na odwagę, żeby coś wyznać. Odwagę, o której mówiła Madison.

– Kiedy się obściskiwaliśmy z Cooperem, tak naprawdę go nie czułam. Prawie wcale. Robiłam to, żeby moi rodzice myśleli, że wszystko gra. Że skoro się całujemy, a poza tym chodzę do szkoły i mam dobre oceny, to nie utonę.

– To samolubne, ale się cieszę, że nie czułaś Coopera.

Nie podnoszę się z podłogi w tym schowku na szczotki, tylko przesuвам kolana bliżej Grovera.

– Można więc powiedzieć, że teraz tak jakby pierwszy raz robię coś takiego z chłopakiem.

– A ja tak jakby pierwszy raz robię coś takiego z dziewczyną – mówi Grover.

Wiem, co powinnam zrobić po tych słowach. Biorę głęboki oddech. Odwagi. Sięgam do tylnej kieszeni jego spodni. Odwagi. Szukam jego notesu, ale nie mogę znaleźć.

– Gdzie masz notes?

– Uczę się żyć bez niego – odpowiada Grover, wciąż patrząc mi w oczy.

Odwagi.

Niezależnie od tego, na ile prawdopodobne jest, że po tej chwili Grover i ja nadal będziemy razem, jestem na sto procent pewna, czego teraz chcę. Dla czegoś takiego warto żyć.

Chwytam dół mojej koszulki i zamykam oczy. Nie chcę już nigdy być odrętwiała. Absolutnie nigdy. Chcę mieć odwagę czuć. Wszystko. Potrzebuję tego.

Ściągam koszulkę przez głowę i kładę obok nas na podłodze. To samo robię ze stanikiem. I jestem prawie goła. Z każdym oddechem coś trzepocze mi w piersi. Pokazuję przecież skórę zakrywającą moje serce, płuca i resztę tego, co sprawia, że żyję. Powoli rozklejam powieki.

Grover przypatruje mi się tylko chwilę i sam też zdejmuje koszulkę. Widywałam już jego tors – choćby dzisiaj, kiedy pływaliśmy – ale tutaj, w tym schowku, działa to inaczej.

Wyciągam dłoń, choć palce mi drżą, i kładę mu na sercu. Robi to samo. Dotyka mnie rozdygotany. Napiera dłonią na moją skórę.

– Czujesz mnie? – pyta.

Kiwam głową na potwierdzenie. Czuję każdy centymetr jego dłoni, aż po jej krawędzie i zaokrąglenia palców, jakby się we mnie wryły.

Zdejmuję jego rękę z moich piersi i kładę sobie na ramieniu. Zaczynam od jego barku i powoli schodzę niżej, kreśląc niespokojnymi palcami kręgi na

jego skórze. Wydaje się taki spokojny, czego o sobie nie mogę powiedzieć. Ja jestem rozbita, roztrzęsiona i przerażona, ale się nie cofnę. Bo Grover też to wszystko czuje.

Zamyka oczy i zagryza wargi. Kiedy dochodzę do palców, podnoszę jego rękę do ust i je całuję. Przy każdej opuszcze wypowiadam w myślach życzenia. Żeby nigdy nie zachorował. Żeby pamiętał to do końca życia. Życzę mu prawdziwego życia, nawet i szpetnego. Bo rzeczywistość może i jest szpetna, ale czasem można być i porąbanym, i pięknym.

Kiedy przyciągam Grovera do siebie, otwiera oczy. Jego dłoń dotyka mojej twarzy i wędruje ku warkoczykom. Wtyka mi jeden z nich za ucho, ale ten zaraz wyskakuje.

- Jesteś nie do poskromienia – mówi.
- Dziś nie.
- Nie tylko dziś, Zander. Zawsze.

Całuję go, przyciskam usta do jego warg. Moje ciało unosi się na spotkanie Grovera i stapiamy się w jedno. Jego palce napierają na moje plecy, moje podążają szlakiem jego kręgosłupa. Wargi szukają u niego wszelkich możliwych smaków. Śladów wszelkich słów i innych dźwięków, które kiedykolwiek wyszły z ust Grovera.

Opadamy na poduszki, jedna ciepła skóra przy drugiej. Chichoczę, bo skubie mnie w kark. Ta noc nigdy się nie skończy, bo w każdej chwili każdego dnia, aż po ich kres, będzie we mnie ożywać. Stale będzie unosić się na powierzchni.

ROZDZIAŁ 26

*Do wiadomości Wszystkich Zainteresowanych,
odrzucaam wasze rządy.*

*Całusy,
Cassandra Dakota LaSalle.*

Moja koszulka jeszcze leży na podłodze. Palce wędrują wokoło w poszukiwaniu stanika. Podnoszę rękę Grovera, prześlizguję się pod nią, a potem kładę ją na jego gołym brzuchu.

Śpi z rozchyłonymi ustami, częściowo oddychając przez nie, częściowo też przez nos. Zagryzam wargi, bo w brzuchu płonie mi ogień. Czuję się tak, jakbym miała się rozprysnąć na milion kanciastych, ale cudownych odłamków.

Kiedy ubranie ociera mi się o skórę i materiał dotyka tych wszystkich miejsc, które godziny temu poznawał Grover, coś nucę. Całe moje ciało wibruje ożywione.

Wyglądam przez szczelinę w drzwiach schowka na szczotki. Drzewa skąpane są w jasnej szarości i fiolecie ledwie muśniętych żółcią. Czasu zostało niewiele.

– Grover. – Dotykam jego policzka. Wtula się twarzą w moją dłoń. – Grover – powtarzam, starając się wyrwać go ze snu.

Chwyta mnie za rękę i zaczyna powoli, jak ktoś niewidomy, obmacywać ją, kierując się w stronę ramienia, ale wciąż jeszcze nie otwiera oczu.

– Powiedz mi, proszę, że jesteś prawdziwa. Że to nie był sen. Że kiedy otworzę oczy, nie znajdę się w łóżku w swoim pokoju z lamerskim plakatem ze Spidermanem na ścianie.

– Masz na ścianie plakat ze Spidermanem?

– Komiksy to czad. – Dłonie Grovera docierają do mojej twarzy.

– Jestem prawdziwa.

Otwiera oczy.

– Czyli wreszcie znalazłem.

Kiedy Grover odprowadza mnie do domku, na niebie zaczyna się pokazywać słońce.

Zatrzymujemy się pod drzwiami.

– Tak myślę, że się odezwę. – Grover przeczesuje dłonią włosy.

– Za dwie godziny się zobaczymy.

– Wejdz w rolę. To nasza pierwsza randka, pamiętasz?

Uśmiecham się.

– Było naprawdę uroczo.

– Też tak myślę. Może moglibyśmy to kiedyś powtórzyć? – Podaje mi rękę.

Ściskam ją.

– Byłoby miło.

Szarpnięciem przyciąga mnie do siebie i całuje.

– Tak przy okazji – szepcze mi do ucha – nadal uważam, że królowa balu i kryminalista dalej będą razem.

Uśmiecham się, czując w uchu jego oddech. Potem sięgam za plecy i rozpinam stanik. Grover patrzy na mnie kompletnie skołowany, ale i zaintrygowany. Wsuwam ręce pod koszulkę i ściągam z ramion ramiączka. A potem, niczym magik wyciągający z cylindra sznur barwnych chusteczek, wyciągam ten stanik przez jeden z rękawów.

– Nie mam diamentowego kolczyka. To musi wystarczyć.

Całuję go na dobranoc, czy może na dzień dobry, i wkradam się do domku.

* * *

– Dziwnie wyglądasz – dociera do mnie zza pleców głos Cassie.

Przesuwamy się w kolejce śniadaniowej i akurat ziewam w dłoń. Ledwie ją słyszę.

– Dzień dobry, moje panie. – Staje za nami Grover. Włosy ma mokre i pachnie mydłem. – Czy powinienem powiedzieć pani i... Kim ty dzisiaj jesteś, Patyczak? Chłopakiem czy dziewczyną?

– Kimś zmęczonym.

– No to przynajmniej kimś. – Grover patrzy na mnie z ukosa. – A co u ciebie, Zander, jak tam?

Nie nadążam z odpowiedzią, bo Cassie wymija mnie w kolejce, trącając tacą w plecy.

– Zachowuje się dziwnie.

– Dziwnie, mówisz? – Grover dotyka palcem spodu brody. Pamiętam, jak całowałam tamto miejsce, jak czułam pod językiem małą kępkę zarostu. Przechodzą mnie ciarki.

– Świetnie – mówię wreszcie. – Czuję się świetnie.

– Świetnie. – Grover się uśmiecha.

– Świetnie – potwierdzam.

– Świetnie – powtarza Cassie z przesadnym naciskiem. – Zaraz puszcę pawia.

Grover cmoka językiem.

– Patyczak, to nie w twoim stylu.

Cassie oddala się bez słowa.

A my z Groverem po prostu się sobie przyglądamy. Skórę ma tak czystą, że aż połyskliwą, jakby był z wosku. Ostatnia noc wydaje się czymś nierzeczywistym. Wyciągam rękę i dotykam jego mokrych włosów tylko po to, żeby się upewnić. On z tego samego powodu dotyka jednego z moich warkoczyków.

Kerry trzykrotnie klaszcze. Ten odgłos odbija się w stołówce takim echem,

że podskakuję.

– Jedyńm sposobem na odnalezienie się... – krzyczy Kerry.

Odrywam dłoń od włosów Grovera.

– ...jest przyznanie, że się zgubiliśmy – mówię.

– Amen. – Grover puszcza do mnie oko. Bierze z kosza z owocami jabłko i podrzuca je w górę. Chwytam ten owoc.

– Jedz jabłka – mówi.

– Będiesz zdrowy.

– Boże, oby to była prawda.

Przez całe śniadanie dłoń Grovera spoczywa na moim udzie. Prawie się nie odzywamy. Głowa mi ciąży, a tam, gdzie ten chłopak mnie dotyka, czuję ciepło. Wgryza się w jabłko, a ono pęka jak rozłupany pień. Proponuje mi kawałek, ale odmawiam ruchem głowy. Groverowi potrzebne jest bardziej niż mnie.

Kiedy Kerry daje sygnał, żeby się rozejść, Grover mówi:

– Łucznictwo. Dziś chyba jestem zainteresowany łukami. Mam wrażenie, że przez noc poprawiła mi się celność. Możliwe, że dzisiaj uda mi się trafić w tarczę.

– Mnie też – przyznaję, a Cassie bez słowa wstaje od stołu. – Ale po południu pływamy?

– Jak chcesz, Katniss ¹. – Już sobie idzie.

Uśmiecham się do Grovera.

Jednak gdy kierujemy się na tor łuczniczy, na chwilę przystaję. Nie zauważyłam, co Cassie miała na śniadanie, ale coś zjeść musiała. A tabletki odchudzające nadal ma w swojej torbie.

Grover łapie mnie za rękę i szarpnięciem przyciąga do siebie. Przypiera mnie do jakiegoś drzewa i zrywa z gałęzi zielony liść. Przesuwa nim po mojej ręce, muskając skórę jak piórkiem.

– Czujesz to?

Nie udało mi się kiwnąć głową, bo jego usta zespalają się z moimi i wszelkie pytania o Cassie czy o cokolwiek innego odpływają gdzieś daleko.

* * *

– Nie dam rady! – wrzeszczy Cassie, ledwie jej głowa wynurza się z wody.

– Właśnie, że dasz. – Ziewam w dłoń. Po policzku spływa mi łza zmęczenia, więc ją wycieram. Wyławiam z pamięci wspomnienie ostatniej nocy, żeby pomogło mi przebrnąć przez resztę tego dnia jak porcja kofeiny. Ale im dłużej ciągnie się ta lekcja, tym mniej się sprawdza wspomnienie.

– Nie. Dam. Rady. – Cassie podkreśla każde słowo.

Siedzę na pomoście. Odchylam się w tył i opieram na rękach. Słońce daje mi po oczach. Wskazuję leżącą na dnie jeziora żółtą pałkę do nurkowania.

– Widać ją. Jeszcze raz spróbuj.

Cassie ostentacyjnie wzdycha i znów się zanurza. Na moment zamykam oczy i doładowuję się przypomnieniem, jak Grover przesuwiał końcami palców po moich obojczykach, od jednego ramienia do drugiego. Na myśl o tym ściska mnie w żołądku. Dotykam warg, wspominając smak soli z popcornu i dreszcze, które mnie przeszły, gdy całowałam go tuż za uchem.

– Ty nawet na mnie nie patrzysz! – Natychmiast otwieram oczy. Cassie stoi w żółtej strefie, po ramiona w wodzie. – A gdybym tak tonęła?

– Nie dramatyzuj. Tam jest Madison. – Pokazuję jej plażę, gdzie stoi opiekunka z czerwonym kołem ratunkowym przyciśniętym do piersi.

– Mads w życiu by mnie nie ratowała.

– Może powinnaś być dla niej miłsza. Nie jest taka zła.

– A może to ty powinnaś na mnie uważać.

Ignoruję ten przytyk.

– Wyłowiałaś pałkę?

- Nie. Nie umiem jej znaleźć – odpowiada Cassie.
 - Wystarczy otworzyć pod wodą oczy.
 - Nie będę otwierała oczu w tym szambie. – Cassie wskazuje połyskliwe wody jeziora Kimball. – Dorobię się zapalenia spojówek.
 - Na pewno nie. Nie da się go nabawić w ten sposób. – Znów ziewam.
 - Coś ty taka zmęczona? – pyta Cassie.
 - Nie wyspałam się. – Nie jest to kłamstwo, ale niemiły ucisk w dołku podpowiada, że i nie do końca prawda. Ścieram z czoła krople potu i zmieniam temat. – W drodze na dół wstrzymuj oddech i powoli wydmuchuj powietrze nosem. Jak zobaczysz pałkę, łap ją, a potem z całej siły odepchnij się nogami od dna, żeby wrócić na powierzchnię.
 - Tak mówisz, jakby to była łatwizna.
 - Bo to jest łatwe. – Ramiona mi opadają, a głos przybiera ostrzejszy ton.
 - A jeśli mi się nie uda?
 - No to wypłyniesz.
 - To też przedstawiasz jako coś łatwego – burzy się Cassie. Jej pełen napięcia głos z trudem przeciska się przez gardło. – A to wcale nie tak łatwo, wynurzyć się, żeby nabrać powietrza. To męczy. Poza tym im dłużej schodzę na dno, tym trudniej jest wrócić. I co, jeśli za którymś razem mi się nie uda? Jeśli nie dam już rady się wynurzyć?
 - Dasz radę. – Ale w moim głosie nie słychać przekonania.
 - A jeśli nie?
 - To wskocz do wody i cię uratuję.
 - Właśnie miałaś zamknięte oczy – warczy Cassie. – Nie zawsze będziesz mogła być tu na miejscu, żeby mnie wyciągnąć, Zander, bo tak się nie da.
 - No to tego nie rób! – krzyczę, podnosząc się, wyczerpana. Słońce pali mi skórę, pot zalewa oczy, a wspomnianie nic nie daje. – To nie moja sprawa.
- Cassie w wodzie odsuwa się ode mnie.

– Nie twoja?

Przeciągam dłońmi po warkoczykach.

– Posłuchaj, skończmy na dzisiaj tę lekcję. Jutro do niej wrócimy.

– Odpuszczasz mnie sobie?

– Tak to zabrzmiało, jakbym zostawiała cię na dobre – mówię.

– A właśnie tego chcesz? – W oczach Cassie płonie ogień.

– Po prostu mocno się staram, a ty utrudniasz.

– Przepraszam, że jestem trudna.

Podnoszę swój ręcznik. Staram się ignorować to, że mnie podpuszcza.

– A więc masz już mnie dosyć? – rzuca Cassie.

– Boże, Cassie. Zawsze to o ciebie musi chodzić? Nie wszystko kręci się wokół ciebie. – Znów podnoszę głos. – Pieprzony samolub.

Cassie zaciska zęby i jeszcze bardziej się odsuwa.

– Może jestem samolub, bo innych gównie obchodzę. Tylko dla siebie się liczę.

Teatralnie wzdygam i przewracam oczami. Za bardzo jestem zmęczona na taką rozmowę.

– Spróbujmy ponownie jutro.

Cassie wyłazi z wody.

– Dobra. Niech ci będzie. – Ociera się o mnie ramieniem i idzie dalej pomostem, mamrocząc coś o tym, że zostało nam tylko dzisiaj, ale te słowa ledwie do mnie docierają i giną w odmętach zmęczenia.

1. Katniss jest bohaterką bestsellerowego cyklu *Igrzyska śmierci* Suzanne Collins, świetną łuczniczką.

[\[wróć\]](#)

ROZDZIAŁ 27

*Cher Papa,
J'ai embrassé une fille et je l'aime.*

*Cordialement¹,
Alex Trebek*

Kiedy wracam do domku, Dori śpi na swoim łóżku. Kładę się. Dori dużo śpi, ale wydaje mi się, że powody zmęczenia nas różnią. Na terapii grupowej powiedziała, że jest dosłownie znużona życiem. Woli więc je przesypiać. Moje dzisiejsze zmęczenie wynika z czegoś przeciwnego.

Wtulam głowę w poduszkę i naciągam po uszy swoje żałosne prześcieradło, ignorując kołaczące mi się wciąż w głowie gorzkie myśli o kłótni z Cassie i skupiając się na tych miłszych – o tym, jak Grover wędrował palcami po wszystkich kręgach mojego kręgosłupa. Jak ja całowałam go od czubka głowy po usta i podbródek, a potem w szyję. Łóżko robi się ciepłe, bo wtapiam się w twarde materac. Podsycam dalsze wspomnienia – jak mój język badał wnętrze jego ust. Jak Grover całował mnie w brzuch, a potem odpływam.

Budzę się, gdy przychodzi pora kolacji. Odklejam twarz od poduszki. Głowa mnie boli, bo nie zmieniałam pozycji, a warkoczyki spłaszczyły się, przygniecione jej ciężarem.

Rozplatam je i opryskuję twarz wodą, po czym ruszam do stołówki.

Przed wejściem widzę Cassie, która przechadza się tam i z powrotem jak żołnierz na warcie. Kiedy podchodzę bliżej, widzę, że coś czyta.

– To list od twojej ciotki? – pytam.

Odwraca się gwałtownie i zgniata kartkę w kulę.

– Akurat cię to obchodzi. – Wbrew sobie przewracam oczami. Cassie

przygląda się moim włosom. – I rozplotłaś warkoczyki.

– Bolała mnie głowa – odpowiadam drętwo.

– Nieważne. – Pakuje list do kieszeni i przepycha się koło mnie do stołówki.

Nawet kiedy siadamy, napięcie między nami nie słabnie. Grover przygląda się jej i mnie zza stołu.

– I jak się udała lekcja?

– Wcale – odpowiada Cassie. – Bo komuś cholernie chciało się spać.

– Byłam zmęczona. – Kątem oka zerkam na Grovera.

– Bo się całą noc nie spało? – wtrąca Bek z pełnymi ustami.

Sięga przez stół i zabiera moje mleko czekoladowe. Wbijam wzrok w tacę. Boję się spojrzeć na Cassie.

– Co? – W jej głosie słychać autentyczne zaskoczenie.

– Zander i Grover tej nocy nie spali. – Bek upija łyk mojego mleka.

– Oddawaj. – Wyrrywam mu kubek. Na powierzchni pływają okruszki jedzenia. – Faj. – Oddaję mu napój.

– Czy on kłamie? – Te słowa ledwie się przeciskają przez zęby Cassie.

– Powiedziałeś mu? – pytam Grovera.

– Obudził się, kiedy wróciłem do domku. Kłamstwo byłoby wbrew moim zasadom, a on znów mógłby zacząć zmyślać. – Grover wzrusza ramionami.

– Wymknęłaś się beze mnie? – Cassie odsuwa się z krzesłem. Piorunuję Beka wzrokiem, ale nic nie mówię. – Nie mogłaś mnie dzisiaj uczyć dlatego, że przez całą noc robiłaś Cleve’owi laskę, i to marnie? Mówiłaś, że mi pomożesz.

– Jak ci się zdaje, co robię całe lato? – walę prosto z mostu, dziobiąc widelcem swój makaron z serem.

– A więc to wszystko z litości? – pyta Cassie.

– Niczego takiego nie mówiłam. Przestań przekręcać moje słowa.

- Już nie wiem, kto tu specjalizuje się w kłamstwie: Bek, czy Zander.
- Nie okłamywałam cię – mówię.
- Nie, ty tylko o mnie nie myślałaś, a to gorsze niż kłamstwo.

Cassie wstaje i wpycha swoje krzesło pod stół. Kiedy opuszcza stołówkę, nikt z nas się nie odzywa. Popatruję to na Grovera, to na Beka, zmęczona i zła, że to ja zawsze gonię za nią, kiedy jej odbije. Na twarzy Grovera maluje się poczucie winy. Mimo to nikt z nas nie biegnie za nią.

Dopiero kiedy sprzątam ze stołu, dociera do mnie, że na jej tacy nie było nic do jedzenia.

1. (fr.) Drogi Tato, całowałem się z dziewczyną i ją kocham. Pozdrawiam. [\[wróć\]](#)

ROZDZIAŁ 28

Kochana Ciociu Chey,

odwaga to obudzić w sobie śmiałość. Dokonać czegoś, czego się nigdy po sobie nie spodziewało. Zmierzyć się z prawdą. Być pewnym swoich czynów. Pogodzić się w końcu ze swoim życiem i z tym, że zawsze takie będzie. Dojrzeć koniec i mieć jego świadomość.

Cassie

Tamtego wieczoru po powrocie do domku znajduję na swoim łóżku bluzę Uniwersytetu Arizony i kołdrę Molly. Pakuję je do torby i wpycham pod piętrowe łóżko.

Cassie milczy. Nie odzywa się do nikogo z nas, nawet do Grovera. Mija dzień, potem kolejny. Daje o sobie znać mój upór – ta część natury, która przez tyle lat życia z Molly sprawiała, że siedziałam cicho. Ta, która wpędziła mnie w odrętwienie. Podczas posiłków Cassie i ja siedzimy naprzeciw siebie, ale zaciskam zęby i duszę w sobie słowa. Czas spędzam na łucznictwie i rękodziele.

Nie pływamy.

A Grover na to wszystko patrzy. Pod stołem przesuwa dłonią po moim udzie. Pomaga mi to się uspokajać, ale mimo to milczę nadal.

W domku piszę listy do rodziców i rozmawiam z Dori o jej planach zmierzenia się z mamą po powrocie z obozu.

– Powiem, że chcę zamieszkać z tatą – mówi Dori. – Nie obchodzi mnie, że mieszka na drugim końcu kraju i że trzeba będzie zawierać nowe znajomości. Moje koleżanki i tak są do bani.

Zerkam na Cassie, która zeszkrobuje lakier z paznokci u nóg.

– Podoba mi się ten plan.

– Po prostu zmęczyło mnie zmęczenie – wyjaśnia Dori. – A co z tobą? Co

będziesz robić po powrocie do domu?

– Do domu? – Nie podoba mi się nawet brzmienie tego słowa. – Właściwie, to jeszcze o tym nie myślałam.

Rano natykam się na Grovera, opartego o ławę piknikową pod moim domkiem.

– Grover, nie powinieneś tu być – oznajmia Madison na jego widok.

– Jak daleko zaszłaby ludzkość, gdyby wszyscy robili tylko to, co powinni? Jezus miał być cieślą. Co by było, gdyby nie złamał zasad, żeby stać się Synem Bożym?

Madison kręci głową ze śmiechem.

– Za wcześnie na takie rozmowy.

Reszta domku idzie w stronę stołówki, jedynie Cassie trochę się ociąga i przechodząc obok, piorunuje nas wzrokiem. Rewanżuję się jej tym samym.

Opieram się o ławę tuż przy Groverze. Bierze mnie za rękę.

– Próba sił nadal w toku.

Ignoruję tę uwagę.

Podnosi moją dłoń i kładzie na swojej. Palce ma co najmniej o paliczek dłuższe od moich.

Napieram wnętrzem dłoni na jego rękę, dopóki całkowicie się ze sobą nie zetkną. Mija mi cała złość na Cassie. Wzdycham i opieram głowę o ramię Grovera.

– Masz ochotę na meczyk przed śniadaniem? – pyta.

– Z tobą? – Grover przytakuje, a ja się uśmiecham. – Wchodzę w to.

Idziemy pod stołówkę, na boisko do piłki na uwięzi. Piłka zwisa z masztu. Kołysze się na wietrze.

– Ty pierwsza – mówi Grover.

Odbieram od niego piłkę, zdecydowana skopać mu tyłek. Z nim jeszcze nie grałam, ale tydzień wcześniej pokonałam Beka, choć zapewniał, że jest

mistrzem Kanady w piłce na uwięzi.

– Gotowy? – pytam.

– Gotowy.

Odchylam rękę w tył i wyrzucam piłkę wysoko w powietrze. Uderzam z całej siły. Kiedy leci ku bocznej linii połowy Grovera, ten skacze i powstrzymuje ją jedną ręką. Odrzuca do mnie. Piłka szybuje mi nad głową, poza zasięgiem rąk. Ilekroć do niego wraca, powtarza to od początku, aż sznur ciasno owija się wokół masztu i Grover wygrywa.

Biorę się pod boki.

– Gramy do dwóch.

Grover, uśmiechając się, odwija sznur z piłką.

– Możesz znów zaczynać.

Staję tak samo jak przedtem i gra się rozpoczyna. Kiedy piłka uderza o maszt, ogłaszając drugie zwycięstwo Grovera, tupię w ziemię.

– To nie w porządku. Jesteś ode mnie wyższy i masz wielkie łapy.

– Wielkie dzięki. – Mruga do mnie po swojemu. – A w ogóle, czemu tak ci zależy na wygrywaniu?

– Wcale nie zależy.

– Wcale?

– Tak... – Schodzę z boiska. Poziom adrenaliny, rozbujany przez mecz, siada. – Może...

– Może co?

– Podpuszczasz mnie.

– Ja?

Siadam na ziemi. Grover zajmuje miejsce obok. Znów bierze mnie za rękę i obrysowuje ją palcem. Nie podoba mi się, że to lato kiedyś się skończy.

– Ktoś musi być mądrzejszy. – Naciska swoją dłońią na moją. – Sama zobacz.

Opieram się głową o jego ramię.

– Widzę. – Jeszcze nie puszcza mojej ręki. – Równie dobrze mogłeś to tylko powiedzieć.

– Ale to byłoby nudne. Lubię, jak podskakujesz.

Szturcham go w bok.

W stołówce zatrzymuję się z tacą przed naszym stołem. Cassie siedzi tyłem do mnie. Grover trąca mnie w plecy swoją tacą, żebym się ruszyła. Siadając obok Cassie, staram się nie jęknąć.

Zjadam połowę swojego posiłku, co kilka kęsów zerkając na nią. Po kilku łykach wody zabiera się do pomarańczy. Najpierw metodycznie obiera ją ze skórki, a potem dzieli owoc na cząstki, ale żadna nie wędruje do jej ust.

– Nie zamierzasz jej zjeść? – pytam.

Cassie nie odpowiada, za to bierze jedną z tych cząstek i całkiem ją miażdży gwałtownym opuszczeniem dłoni. Odrobina miąższu ląduje mi na policzku, więc ją ścieram.

– Cassie, musisz jeść.

– Nie jesteś moją matką. – Rozgniąta kolejny kawałek.

– Widzę, Patyczak, że dziś przyrządzasz świeżo wyciśnięty sok pomarańczowy. Jak zdrowo – wtrąca Grover. – Słyszałem, że witamina C to ostatni krzyk mody.

Dziewczyna nie reaguje.

– Maslow twierdzi, że musisz jeść – podkreślam.

– Maslow gównu mnie obchodzi.

– Zrób to dla mnie.

Cassie spogląda na mnie z ogniem w oczach.

– Czemu miałabym robić coś dla ciebie?

Nabieram tchu. Durga, Durga, Durga. Upominam siebie, że mam być wojowniczką.

– Bo mi na tobie zależy – mówię.

Cassie rechocze, odrzucając głowę w tył. Rzy tak, jakby niczego śmiesznieszego w życiu nie słyszała.

– Wcale ci nie zależy.

– Właśnie że tak. – Sięgam do jej ramienia.

– Żadnego dotykania, zapamiętaj. – Uśmiecha się, zaciskając zęby. To nie jest autentyczny uśmiech, raczej rzucone mi wyzwanie, które sprawia jej frajdę. Podnosi rękę, woła Kerry'ego.

– Tak, Cassie – mówi opiekun.

– Tego ranka ja chciałabym się czymś podzielić. – Mówi to na tyle głośno, że cała stołówka milknie i zwraca się w stronę naszego stołu.

– Chciałabyś się czymś podzielić. – Kerry powtarza to tak, jakby sprawdzał, czy się nie przesłyszał. Cassie kiwa głową i wstaje, gniewnie wpatrując się we mnie.

– Wiem, czemu przysłali na ten obóz Zander.

Ledwie to mówi, żołądek skręca mi się w supeł, a ja sama zamieram. Nie jestem w stanie nawet podnieść ręki, żeby ją usadzić. A potem wszystko wychodzi na jaw w potoku słów.

– Cassie, to nie... – Kerry próbuje dokończyć, ale jej donośny głos przerywa mu w pół zdania.

– O mało się nie utopiła na zawodach pływackich, bo tak się przejęła swoją martwą siostrą, co to się na śmierć udławiła jabłkiem. Aż trener z tłustą dupą musiał jej robić usta-usta. Miałam rację. Sama też w środku jest apatycznym trupem... jak jej siostra.

Cassie nie odrywa ode mnie oczu, w których widać tylko pustkę. Czuję, jak łza spływa mi po policzku i ląduje na gołym kolanie. Cassie też ją śledzi.

Wybiegam ze stołówki. Z całej siły odpycham drzwi wejściowe i pędzę na tory łucznicze. Muszę zniknąć w lesie, ukryć się wśród drzew. Dławię się

własnym oddechem, bo moja stopa zaczepia się o wystający z ziemi korzeń, ale Grover chwytą mnie za ramię i nie pozwala, żebym upadła. Nie wiedziałam, że biegł za mną.

– Jak ona mogła? – pytam, łapiąc powietrze. – Jak mogła?

Grover stawia mnie na nogi i przygarnia do siebie. Całuje w policzki, czoło i nos.

– Tak mi przykro – szepcze mi do ucha. – Tak mi przykro. – Odgarnia mi włosy z twarzy, przykłada dłonie do policzków. Coś się we mnie zapala, kiedy w pełni dociera do mnie to, co zrobiła Cassie. Płonie i sprawia mi ból.

– Zrobiłam, o co prosiłeś. Przejmowałam się tylko tym, czego potrzebuje Cassie. – Krążę wte i wewte przed Groverem. Mój głos z każdym słowem przybiera na sile. – Ale co ze mną? Po raz pierwszy od lat, a może od zawsze, czuję się szczęśliwa. Jestem szczęśliwa! A ona to niszczy. Niszczy moje szczęście. – Nieruchomieję w pół kroku, bo coś do mnie dociera. – Grover, ona jest porąbana. Nie dam rady jej pomóc. Ty też nie. Nikt nie zdoła. Jest porąbana i zawsze taka będzie. – W tym właśnie momencie dociera do mnie, że ktoś się do nas zbliża.

Gdy się odwracam, widzę stojącą wśród drzew Cassie. Wysunęła w przód szczękę i mocno zagryza zęby.

– Przyszłam przeprosić – mówi.

Sztywnieję.

– Uważasz, że jestem porąbana... że zawsze będę. – Cassie ciska we mnie moimi własnymi słowami. Robię krok w jej stronę, ale się odsuwa. – Wiesz co? Wcale cię nie potrzebuję. – I zrywa się do biegu.

* * *

Grover i ja doganiamy Cassie dopiero na plaży. Jest szybka, jeśli chce. Idzie prosto do Madison i mówi:

- Chcę zdawać na zieloną.
- Słucham? – upewnia się Madison.
- Ogłuchłaś, Mads? Chcę zdawać na zieloną.

Łapię Cassie za rękę.

- Co ty wyprawiasz?

Wyrywa mi się.

- Już cię nie potrzebuję.

– Patyczak.

– Ani ciebie. – Cassie celuje palcem w Grovera.

– Na pewno chcesz to zrobić? – dopytuje Madison.

– Zaraz się przekonasz.

Cassie przepycha się koło nas i wchodzi na pomost. Madison chwilę się waha, a potem bierze z szopy ze sprzętem pałki do nurkowania i idzie za nią. Stoję na plaży obok Grovera i obgryzam paznokcie.

Cassie rozbiera się do stroju kąpielowego. Nie mogę tego znieść, chwytam więc Grovera za rękę i ciągnę go na pomost.

– Cassie, nie rób tego – krzyczę.

– Wrzuć pałkę do wody – warczy Cassie do Madison.

I opiekunka to robi. Gapię się na nią jak na wariatkę. Cassie utonie. Madison o tym wie. Tej dziewczynie ledwie udaje się wyłowić pałkę z dwóch metrów, a tu są cztery.

– Spokojnie, Zander, nie dopuszczę, żeby coś się stało – zapewnia Madison.

– Odwraca się do Cassie. – Wystarczy, że znajdziesz tę pałkę i z nią wypłyniesz.

Patrzę, jak Cassie kiwa głową i zaciska pięści.

– Cassie, proszę – apeluję ostatni raz. Patrzy mi prosto w oczy.

– Nie wierzysz we mnie.

A potem skacze.

Kiedy wpada w wodę, wstrzymuję oddech. Grover chwytą mnie za rękę, a różowy strój Cassie znika pod powierzchnią i coraz bardziej roztapia się w błękie. Odliczam w myślach sekundy. Jedna... dwie... trzy... Powietrze wciąż trzymam w płucach. Cztery... pięć... sześć... Przechyliłam się nad skrajem pomostu. Zżerają mnie nerwy.

– Wypływaj – szepczę. – Wypływaj.

Ale Cassie się nie wynurza, choć mijają kolejne sekundy.

– Nie jest dobrze – mówi Grover.

Madison ściąga koszulę, pod nią ma kostium kąpielowy.

– Płynę po nią. – Chwilę później nurkuje za Cassie.

Uczepiona Grovera modłę się. Błagam świętego Antoniego Padewskiego o odnalezienie zagubionych. O uwolnienie duszy. O życie wieczne. I o to, żeby Cassie się wynurzyła.

Kiedy powtarzam to trzeci raz, z wody wyłania się Madison z Cassie w ramionach. Obie łapią powietrze. Madison holuje Cassie pod pomost, Grover po nią sięga. Cassie, przewieszona przez pomost, kaszle. Z jej nosa i ust leci woda.

– Dobrze się czujesz? – pytam, wycierając jej twarz i włosy.

– Nie dałam rady – odpowiada i znów kaszle. – Nie dałam rady.

– Nic się nie stało, Cassie. – Zabieram się do dalszego wycierania, ale Cassie ucieka przed moim dotykiem, podnosi się, choć kolana jej drżą, a klatka piersiowa faluje rwanym oddechem.

– Stało się. – Przepycha się koło mnie, odtrącając moją rękę z taką siłą, że się przewracam.

Madison siedzi bez tchu na końcu pomostu, wyraźnie zaszokowana.

– O mało się nie utopiła – mówi. – Jeszcze w to nie wierzę.

Patrzę, jak Cassie wbiega po schodach, chwiejnie i ociekając wodą. Znika wśród drzew otaczających stołówkę.

* * *

Aż do kolacji nie widzę nigdzie Cassie. Czekam na nią w domku, obracając w dłoni kabelkowy breloczek od Hanny. Stopiona końcówka zaczyna się strzępić i rozłazić. Madison mówiła, że odwaga przybiera przeróżne postacie. Że niekoniecznie oznacza skoki spadochronowe lub na bungee. Bo dla niektórych ludzi samo wstawanie rano jest aktem odwagi. A nawet najdrobniejszy taki akt może zaowocować czymś wspaniałym.

Wyjmuję z torby bluzę Uniwersytetu Arizony. Mam wrażenie, że ukradłam ją Cassie, bo to jej się należy. Kładę bluzę na jej łóżku – mały gest odwagi.

Kiedy przychodzę na kolację, Cassie jeszcze nie ma w stołówce. Odstaję swoje w kolejce i siadam, nie spuszczać oczu z drzwi. Gdy się wreszcie pojawia, dotykam nogi Grovera.

Cassie bierze tacę i staje w kolejce. Wygląda jakoś inaczej. Normalnie chodzi z wypiętą piersią, tego wieczoru jednak jej ramiona ciężą ku ziemi. Nawet kark wydaje się mieć bardziej pochylony. Mija całe jedzenie, ale nie kładzie nic na tacy.

Wpijając palce w udo Grovera, czekam aż Cassie usiądzie przy nas. Ona po przejściu tej kolejki odwraca się do wszystkich w stołówce. Wielu się na nią gapi, bo wieści o tym, co się stało, rozeszły się szybko.

Cassie mruga, rozgląda się po sali, a potem podchodzi do Madison. Cisza jest taka, że wyraźnie słychać, co mówi.

– Niezbyt dobrze się czuję, Madison. Mogłabym się już położyć? – Na twarzy opiekunki widać kompletne zaszokowanie tymi słowami. – Mogę?

Madison pospiesznie kiwa głową, Cassie odkłada na stół swoją pustą tacę i opuszcza stołówkę.

– Już za nią tęsknię – wyznaje Bek, wpatrzony w jej puste krzesło.

– Co robimy? – Patrzę na Grovera.

– Jej chyba już nie chodzi o nas – wzdycha. – I nigdy nie chodziło.

Kiedy wracam do domku, Cassie też tam jest. Leży tyłem od mnie. Uniwersytecka bluza wróciła na moje łóżko.

Zęby myjemy w milczeniu. Cassie nadal prawie się nie rusza, tylko jej plecy unoszą się i opadają z każdym oddechem. Co chwilę na nią zerkam. Kiedy gaśnie światło, już leżąc w łóżku, mówię:

– Dobranoc, Cassie.

Nie odpowiada. Tulę jej bluzę do piersi i wciskam w nią nos. Pachnie Cassie.

* * *

Budzi mnie jakiś koszmar. A raczej przebłysk pamięci. W środku nocy siadam na łóżku.

– Nazwała ją Madison – szepczę. – Nazwała ją Madison.

Pali mnie w żołądku. Patrzę na łóżko Cassie. Nie ma jej. Okno w łazience jest otwarte, przez szczelinę wpada wietrzyk. Wyciągam spod łóżka torbę Cassie i rozpinam boczną kieszeń z tabletkami. Znikły. Wszystkie. Tętni mi w uszach.

– Potrzebny mi klucz! – krzyczę, szarpiąc Madison. – Potrzebny mi klucz!

Madison patrzy na mnie skołowana i przestraszona. W pośpiechu zrywa łańcuszek z szyi i podaje mi klucz. W domku robi się ruch. Pędzę do drzwi, ale gdy próbuję wcisnąć klucz do dziurki, ręce mi się trzęsą.

– Wypuść mnie! – wrzeszczę. Madison w ułamku chwili jest tuż przy mnie. Odbiera ode mnie klucz i z łatwością go przekręca. Drzwi się otwierają. Nie czekam na pozwolenie. Gnam nad jezioro, moje stopy ledwie nadążają za tułowiem.

– Modlę się o odnalezienie zagubionych. O uwolnienie duszy. O życie wieczne.

Za stołówką galopuję po schodach na plażę. Walę w coś palcem u nogi, ale

ledwie to czuję. Wiem tylko, że w biegu kurczowo ściskam w rękach bluzę.

Stopy zanurzają mi się w piasku i to mnie spowalnia, ale prę naprzód.

Madison mówiła, że ludzie czasem robią zły użytek z odwagi.

Pędzę tam, gdzie ziemia styka się z wodą.

Bywa, że ludzie robią coś niedobrego i bolesnego ze strachu, z poczucia osamotnienia lub z rozpacz.

Wpatruję się w jezioro, ręce mam zdrętwiałe, a serce bliskie eksplozji. Po twarzy ciekną mi łzy. I nazywają to odwagą.

Widzę pływające na powierzchni wody buteleczki. Takie po tabletkach.

Bluza leci na ziemię. Koło nich na wodzie unosi się Cassie. Twarzą do dołu.

WYTRWAŁOŚĆ

ROZDZIAŁ 29

Kochani Mamo i Tato,

kiedy Molly była najpierw w szpitalu, zabraliście mnie do niej. Weszłam do sali z tymi wszystkimi urządzeniami. Hałasowały bardziej, niż sobie wyobrażałam. Zapytałam Was, co powinnam zrobić. Powiedzieliście, żeby po prostu z nią rozmawiać, tak jak zawsze. Że będzie mnie słyszeć.

Ale ja rozmawiałam z Molly tylko wtedy, kiedy pomagałam mamie ją karmić, nigdy inaczej. Mówiłam jej, żeby otwierała szeroko usta, a potem udawałam, że łyżka to samolot podchodzący do lądowania.

W tym łóżku była taka mała. Dotknęłam jej nóżek, myśląc o tym, że nigdy już nie będą chodziły. A potem pomyślałam o tym wszystkim, czego sobie nigdy nie powiemy, bo chociaż nie chcieliście tego przyznać, Molly nie miała już odzyskać przytomności. I nie oprzytomniała.

Kiedy minęła już moja godzina odwiedzin, wyprosiliście mnie na korytarz, żebym czekała tam sama.

Siedziałam więc, oparta o zimną szpitalną ścianę, a w myślach widziałam tylko małe nóżki Molly. W głowie miałam tylko to, jak bardzo boli świadomość, że już nigdy nie będzie chodzić. A bolała tak strasznie, że miałam ochotę oderwać sobie nogi i jej oddać.

Zamiast tego zwinęłam się w kulkę. Podciągnęłam nogi do piersi, mocno objęłam rękoma kolana i zacisnęłam zęby. Powieki zacisnęłam tak bardzo, że o mało mi nie popękały. I obiecałam sobie, że już nigdy nie będę czuła się tak okropnie. Że nigdy tak się nie poczuję. Tak okropnie.

Pozdrowienia

Z

Skaczę do wody i płynę tak szybko, jak jeszcze nigdy wcześniej. Szybciej, niż na którychkolwiek zawodach. Obracam w wodzie ciało Cassie. Jej twarz w otaczającej nas czerni jest całkiem ciemna, a oczy ma zamknięte. Kiedy holuję ją do brzegu, noc rozjaśnia jedynie żarówiasty róż jej kostiumu kąpielowego.

Wyciągam ją na plażę i zaczynam krzykiem przywoływać Grovera. Wrzeszczę raz po raz. Potem zaczynam sztuczne oddychanie. Sama nie wiem, co robię. Wdmuchuję w Cassie powietrze i uciskam jej klatkę piersiową, ale nic się nie dzieje. Znów głośno wołam Grovera.

Ktoś chwyta mnie za ramię. Odrzucam mokre włosy w tył i widzę Madison. Ściąga mnie z Cassie, chociaż się bronię. Wywrzaskuję tak ohydne słowa, że nigdy nie przypuszczałam, iż mnie na to stać, ale Madison spycha mnie na piasek.

– Gównu ci na niej zależy! Wolisz, żeby umarła! Wolisz, żeby umarła!

Madison ignoruje mnie i odgarnia włosy z twarzy Cassie, żeby przystąpić do resuscytacji. Do prawdziwego sztucznego oddychania.

Siedzę na ziemi i płaczę, a przez łzy i wodę ubranie lepi mi się od piasku. Znowu wołam Grovera.

I oto jest. Chwyta mnie, pytając, co się dzieje.

– Miałaś na nią uważać – mówię. – Powiedziałaś, że będziesz jej pilnował.

– Wiem, Zander. Ogromnie przepraszam. – Bierze moją twarz w dłonie, ale ja chcę widzieć Cassie. Muszę ją widzieć.

Odpycham go i próbuję obejść Madison, ale jest tu już Kerry i blokuje mi drogę. Jest też Hayes. I wszyscy z mojego domku.

Na górze, koło stołówki migają światła – z mroku wyłania się to czerwień, to biel. Na plażę zbiegają jednakowo ubrani ludzie i wszyscy oni zasłaniają mi pole widzenia. A ja muszę ją widzieć.

Grover usiłuje mnie przytrzymać, bo pcham się na nich i wrzeszczę. Tego przecież wszyscy chcieli. Pragnęli, żebym zaczęła czuć, krzyczeć i płakać, a teraz, kiedy to robię, nikt mnie nie słucha.

– Muszę ją widzieć – mówię Groverowi, choć oddech mi się rwie. Łapię go za koszulkę i mnę ją w palcach. – Muszę.

– Wiem, Zander. – Obejmuje mnie swoimi długimi rękoma, a ja zalewam się łzami i padam ze szlochom na piasek.

Cassie ląduje na długich noszach i ratownicy medyczni wnoszą ją prędko po schodach. Brnę przez piach, żeby podnieść bluzę.

– Potrzebuje bluzy! – krzyczę do nich. – Kiedy się ocknie, będzie jej zimno.

Już mam gnać za nimi po schodach, ale staje przede mną Kerry i mnie zatrzymuje.

– Zander, pozwól im robić swoje.

– Ale ona tego potrzebuje. – Pokazuję mu bluzę. Nie rozumie, że należy do niej. Stoi bez ruchu, ani drgnie. Nabieram tchu, próbując się uspokoić. – Pozwól mi z nią pojechać, proszę.

– Przykro mi, ale odpowiedź brzmi nie.

– Kerry, proszę. – Czepiam się go, jak koła ratunkowego, jakbym tylko dzięki niemu miała nie utonąć.

– Zabiorę ją z nami. – Podchodzi do nas Madison. – Powinniśmy pozwolić jej jechać do szpitala, Kerry.

Opiekun kręci głową i wzdycha, a ja przez chwilę myślę, że klamka zapadła. Że może już nigdy nie zobaczę Cassie. I wtedy Kerry kiwa głową.

– Zgoda, ale odpowiadasz za nią. Zobaczymy się na miejscu.

Biegnę po schodach za Madison. Zatrzymuję się na chwilę tylko po to, żeby spojrzeć na Grovera, siedzącego na plaży z głową w dłoniach. Gdy wali pięścią w ziemię, mam wrażenie, że serce rozpryskuje mi się na milion odłamków szkła.

Akurat gdy przekraczamy z Madison bramę oddzielającą Camp Padua od reszty świata, zaczyna wschodzić słońce.

ROZDZIAŁ 30

*Kochana Mamo i Prezydencie Cleveland,
zawiodłem. Należy mi się Trybunał Stanu.*

*Wasz syn,
Grover Celveland*

Wszystkie szpitale pachną tak samo: wacikami zanurzonymi w spirytusie zakropionym śmiercią.

Lekarze nie chcą mnie do niej dopuścić. Mówią, że i tak jeszcze nie oprzytomniała.

Siedzę obok Madison na jednym z tych niewygodnych szpitalnych krzeseł. Nie robię nic więcej, tylko oddycham.

Ubranie już mi wyschło, a włosy bezwładnie zwisają przy mojej twarzy. Właśnie bezwładnie. Tak jak Cassie.

– Czy ona umrze?

Madison wykręca sobie palce.

– Nie wiem.

– Nie chcę, żeby umarła.

– Wbrew temu, co sądzisz, ja też nie.

– Przepraszam – mówię. – Byłam przerażona. Wcale tak nie myślałam.

Madison kładzie mi rękę na plecach.

– W porządku.

– Jak ty wytrzymałaś z Cassie przez cały ten czas? – pytam.

Madison przeciągle wzdycha i odpowiada:

– Każdy z nas ma w sobie coś z wariata, Zander.

– Po tobie się nie spodziewałam – zapewniam.

Madison kręci głową.

– Ostatnie ferie wiosenne spędziłam na oddziale psychiatrycznym, z moją mamą. Po raz czwarty ściągnięto mnie ze szkoły, żebym się nią zajęła. Tata odpuścił to sobie lata temu, ale ja chyba nie potrafię.

Staram się ukryć szok. Madison wydaje się chodzącą doskonałością.

– Wiem, co teraz będzie do mnie należało – oznajmiam. Na twarzy Madison pojawia się uśmiech. – Zadbam o Cassie.

– Pamiętaj, żeby jej to powiedzieć. – Wstaje i gestem wskazuje bufet w końcu korytarza. – Napijesz się kawy?

– Kawy?

– Myślę, że skoro nie przebywamy na terenie obozu, możemy sobie pozwolić na małe pokrzepienie.

– Dori mówi, że kawa podtrzymuje życie.

Madison kiwa głową.

– Dzisiaj to może być najprawdziwsza prawda.

– Proszę dwa kubki.

– Załatwione. – Madison zdobywa się na uśmiech, który jednak nie dociera do jej oczu, przekrwionych i zmęczonych. Klepie mnie w ramię. – Kiedy się ocknie, pamiętaj, żeby powiedzieć jej to, co ja od ciebie usłyszałam.

– A konkretnie?

– A konkretnie to, że nie chcesz, żeby umarła. – Znowu zbiera mi się na płacz, ale kiwam głową przez łzy. – Dodaj, że ja powiedziałam to samo – rzuca Madison przez ramię. Już zmierza korytarzem po coś na podtrzymanie życia.

Mijają godziny. W szpitalu pojawia się Kerry. Nie wygląda dobrze. Prawdę mówiąc, wygląda okropnie. Włosy mu całkiem przykłały, a na policzkach ma czerwone plamy. Lekarze wychodzą do niego porozmawiać, on potakuje, przeczesuje dłońmi włosy i coraz bardziej się garbi. To, że nie wiem, co

mówią, wpędza mnie w jeszcze większy obłąd niż ten, który odczuwałam dotąd.

Zanim zdążyłabym podnieść się z krzesła, lekarze zabierają go za szerokie drzwi z zamkiem automatycznym, za które wcześniej wywieźli Cassie. Madison znów poklepuje mnie po nodze. Na stoliku przed nami stoi pięć kubków po kawie.

Kerry'ego długo nie ma – za długo. Kolano podskakuje mi bezwiednie, a stopa stuka o podłogę. Szef obozu w końcu wraca, podchodzi do nas i przygląda się kubkom.

– Potrzebowałyśmy tego – mówi Madison, uprzedzając jego komentarz. Opiekun kiwa głową.

– Jej stan jest stabilny. – Po tych słowach zapadam się w sobie. Tak długo się trzymałam, że teraz na tym krześle wiotczeję. Krew spływa mi do nóg i mam wrażenie, że zemdleję, ale Madison chwyta mnie za rękę i mocno trzyma. – Zrobili jej płukanie żołądka, żeby się pozbyć tych tabletek. Ma paskudne sińce na piersi i złamane żebro po sztucznym oddychaniu.

– To nie tak źle – mówię.

Kerry wytrzeszcza na mnie oczy. Najwidoczniej jeszcze nie skończył.

– Ma uszkodzone serce, Zander. Tyle tabletek odchudzających przy tak niskiej masie ciała. Do tego niemal codzienne głodówki? Miała niewielki zawał serca.

– Ale wyjdzie z tego, prawda? – Siadam prosto.

Kerry potrząsa głową, jakby nie znał właściwej odpowiedzi.

– Mam nadzieję – mówi. – W Bogu pokładam nadzieję, że z tego wyjdzie.

Madison powiadamia obóz, co się dzieje, a Kerry rozmawia z kolejnymi lekarzami, którzy informują go, że Cassie musi pozostać w szpitalu na obserwacji, także psychiatrycznej, przez co najmniej trzy dni. Ja czekam na swoim krześle, aż pozwolą mi do niej zajrzeć.

W końcu przychodzi po mnie Kerry. Podrywam się jak na sprężynach.

– Dostała środki nasenne, ale możesz do niej wejść.

Za tymi drzwiami jest inny świat. Ludzie chodzą w uniformach medycznych, z kartami pacjentów. Pielęgniarki śmieją się, gawędząc przy kawie. Mnóstwo otwartych drzwi do sal, w których pełno ludzi leżących w łóżkach i podłączonych do jakichś urządzeń. Patrzę na te rozchichotane siostrzyczki. Tu nie ma nic do śmiechu.

– Wydaje się, że to nie może być prawda? – pyta Kerry. Wbijam w niego wzrok i przytakuję. Brzmi to tak, jakby dobrze wiedział, co mówi. Nasze spojrzenia się krzyżują i przez moment widzę coś, czego ku swemu zdziwieniu przedtem nie dostrzegłam... Najpierw Madison, teraz Kerry. On też swoje przeszedł.

Oboje chyba uświadamiamy sobie znaczenie tej chwili, bo mówi:

– Charlie, mój brat, miał szajbę na punkcie zwracania na siebie uwagi. Za wszelką cenę chciał być zauważany. Myślę, że to dlatego uwielbiał scenę. Był w naszym licealnym teatrze najlepszym aktorem. – Kerry rozciera sobie kark. – Dopiero później do mnie dotarło, że naprawdę uwielbiał uciekanie od rzeczywistości.

– Uwielbiał? – upewniam się, bo użył czasu przeszłego.

– Kiedy byłem na drugim roku studiów, Charlie się powiesił. Miał siedemnaście lat.

– O Boże.

Kerry opiera się o białą szpitalną ścianę i patrzy na mnie.

– Charlie był trudnym człowiekiem i czasem doprowadzał mnie do szału. – Kręci głową. – Kiedy umarł, wszystko się dla mnie zmieniło i wiedziałem już, co mam w życiu działać. Robiłem wtedy dyplom z psychologii. Wspaniale to pasowało. Postanowiłem chronić takich jak on nastolatków przed popełnieniem największego życiowego błędu.

– Dlatego założyłeś ten obóz? – Siadam pod ścianą przy Kerrym.

– Gdybym mógł cofnąć czas, powiedziałbym Charliemu, że nie jest sam. Powiedziałbym mu, że chociaż czuje się zagubiony, wystarczy, że zaczeka i się nie podda, a odnajdzie siebie. – Kerry przygląda się swoim dłoniom. – Tyle że mnie opuścił. I nie miałem szansy mu tego powiedzieć. – Wzrusza ramionami i się uśmiecha. – Podobałoby mu się w Camp Padua.

Chyba się już otrząsnął z tego, co nas połączyło. Prostuje się i przeistacza się w tego samego przewodnika, którego widziałam w nim przez całe lato. Wskazuje numer na drzwiach jakiegoś pokoju.

– Cassie leży w dwieście siedemdziesiąt jeden. Masz pięć minut.

Kiwam głową. Zgodziłabym się nawet na jedną sekundę.

Zanim zdążam przejść przez drzwi, Kerry kładzie mi dłoń na ramieniu.

– Dobra z ciebie przyjaciółka, Zander. Uratowałaś jej życie.

Coś mnie dławi w gardle.

– A z ciebie wspianiały brat. Wszyscy chyba mamy w sobie coś z wariata.

Uśmiecha się do mnie niewesoło.

– Dziękuję.

Wchodzę do pokoju Cassie. Szumi w nim elektronika: jedno urządzenie rejestruje jednostajny rytm tętna Cassie, inne mierzy poziom tlenu. Nawet komputer tu szumi.

Kiedyś uwielbiałam te dźwięki. W moim domu oznaczały życie. To, że Molly jest jeszcze ze mną. Zbliżając się do Cassie, czuję, że ich nienawidzę. Dzisiaj oznaczają śmierć.

Jedno z obrotowych krzeseł lekarzy przyciągam do łóżka, tuż koło jej przypiętej pasami ręki. Dotykam ich. Pasy nie ochronią jej przed uczynieniem sobie krzywdy. To tylko chwilowe zabezpieczenie.

Dotykam ciepłej skóry Cassie i obejmuję rękę całą dłonią, by wyczuć puls. Tętni tuż pod moim kciukiem. Cassie żyje.

Nachylam się nad łóżkiem, jakbym skłaniała głowę w modlitwie. Jakby ona była moją osobistą świętą, mogącą mi pomóc w potrzebie. Jedyne ona.

– Wybacz mi, proszę – mówię do Cassie. – To ja ciebie potrzebuję. Myślałam, że jest odwrotnie, ale myliłam się. Potrzebuję cię. – Powtarzam to w kółko i w kółko, aż w końcu Kerry stuka do drzwi i mówi, że mój czas minął. – Grover też ciebie potrzebuje. I Bek. Wszystkim nam jesteś potrzebna.

– Czas minął. – Kerry wyprowadza mnie z sali. Odprowadza do innej części szpitala. – Uważam, że teraz powinnaś wrócić do obozu.

Wrywam mu się z rąk.

– Nie jadę. Nie bez niej. – Kerry sprawia wrażenie zmęczonego, oczy ma podkrążone. – Czy gdyby to był twój brat, opuściłbyś go? – pytam. Wiem, że to poniżej pasa, ale nic innego mi nie zostało.

– No dobrze – poddaje się. Idzie w głąb korytarza. Ja wracam na krzesło, na którym koczowałam całymi godzinami. Na jego oparciu wisi bluza Cassie. Przerzucam nogi przez poręcz i się odprężam. Powieki zaczynają mi ciążyć, ale nie pozwalam im opaść. Wtulam się w krzesło i przykryta bluzą Cassie zastanawiam się, jak Kerry wyglądał za młodu i jaki mógł być Charlie. Zbiera mi się na płacz. Z żalu nade mną i nad Kerry. Zasypiam z policzkami mokrymi od łez.

* * *

Budzi mnie głos Kerry'ego. Przez chwilę nie pamiętam, gdzie jestem, ale kiedy otwieram oczy i widzę biel ścian i kubki po kawie, stojące jeszcze na stoliku, wszystko wraca do mnie z impetem.

Czym prędzej siadam prosto. Bolą mnie plecy, bo kiedy spałam, wbijała się w nie drewniana poręcz. Kerry stoi w kącie poczekalni i rozmawia z jakimś policjantem.

– Nie ma żadnej rodziny – mówi gliniarz, pokazując coś w trzymanej w ręce

teczce.

– Inna możliwość nie istnieje? – pyta Kerry.

Glina kręci głową przecząco.

– A jej ciotka? – wtrącam się. Obaj patrzą teraz na mnie.

– Zander – zaczyna Kerry, ale wchodzę mu w słowo.

– Cassie dostała list od ciotki. Słyszałam, jak to powiedziała. – Skórę na twarzy mam tak napiętą po tych wszystkich łzach, które na niej zaschły, jakby całkiem mi się odwodniła. Z mojego ciała wyparowała chyba cała woda.

Kerry zostawia gliniarza i siada przy mnie.

– Zander, Cassie nie ma żadnej ciotki.

– Powiedziała, że dostała list od swojej ciotki, Chey.

– List otrzymała od swojej przybranej matki, kobiety, u której mieszka. To ona ma na imię Cheyenne – wyjaśnia Kerry. – Akurat wczoraj powiadomiła mnie o tym jej szkoła w Detroit.

– Jej szkoła w Detroit?

– Cassie przyjeżdża do Camp Padua w ramach stypendium dla młodzieży, której nie stać na takie mogące im pomóc obozy. Jej szkoła skontaktowała się ze mną kilka lat temu w nadziei, że to jej dobrze zrobi.

– I co?

– Wygląda na to, że przybrana matka Cassie, Cheyenne, już nie daje sobie z nią rady i ją odsyła.

– Dokąd? – pytam. Krtań grozi mi, że się zaciśnie. Z oczu leją mi się łzy, chociaż sądziłam, że nie została już we mnie ani kropla wody. Świat, dotąd podobno obracający się regularnie, wali się na mnie. – Kerry, dokąd ją odsyłają?

– Do domu grupowego dla dziewcząt.

– Nie! – krzyczę, czym zwracam uwagę policjanta. – Ona tam umrze!

Kerry rozgląda się po poczekalni i mnie ucisza.

– Zander, w ciągu ostatnich dziesięciu lat Cassie była w dziesięciu różnych rodzinach zastępczych. Nikt sobie z nią nie radził.

– I dlatego sobie odpuszczają? Pakują ją z powrotem w porąbany system dla porąbanych ludzi?

– To najlepsza opcja.

– To żadna opcja. – Celuję palcem w Kerry’ego. – To ją zabije.

– Nic na to nie poradzimy.

– A mówiłeś, że wszyscy możemy się odnaleźć. To twoje słowa. – Ścieram z policzków łzy. – Całe lato modliłam się do świętego Antoniego. A teraz to odwołujesz? Bo właśnie to robisz. Cassie na zawsze pozostanie zagubiona. Powiedziałeś, że chcesz ratować takie dzieciaki jak Charlie, a ją zabijasz!

Nie czekam, aż Kerry zacznie się bronić. Pędzę korytarzem w stronę znaku wyjścia, bo nie jestem w stanie ani chwili dłużej wytrzymać w tym szpitalu. Dość mam tych betonowych białych ścian i maszyn podtrzymujących ludzi przy życiu. Bo to nie jest życie.

Wypadam z tego szpitala na parking. Na ulicy jazgoczą samochody. Wszędzie wokół mnie jest beton. Nie chcę żadnego betonu. Chcę swój obóz. Chcę komarów, drzew i plusku jeziora Kimball. Chcę słyszeć, jak Cassie wyśmiewa Hannę. I żeby Bek mnie okłamywał. Żeby Grover znów mnie całował i to wszystko znikło. Chcę, żeby rzeczywistość poszła sobie w diabły.

Obejmuję się rękoma najmocniej, jak potrafię. Oddech z trudem wydostaje się z płuc, rwie się. Powietrze jest gęste od smogu, brudu, codziennej beznadziei.

Ogarniam wzrokiem przestrzeń wokół szpitala i odkrywam drzewo. Samotne drzewo o zielonych liściach, coś żywego w morzu szarości. Pędzę ku niemu, jakby od tego zależało, czy przeżyję.

Już w jego cieniu padam na kolana. Porośnięte zielenią konary nie dopuszczają słońca, a ja kulę się na ziemi. Podnoszę z niej liść i przyciskam

do nosa. Nie pachnie jak te w Camp Padua. Gdy zgniatam go w garści, za łatwo się łamie i kruszy.

Nic, co żyje, nie pozostanie niezmiennie.

Wszystko się w końcu rozlatuje.

Po jakimś czasie zmuszam się do wstania z ziemi. Nawet w cieniu blask słońca rani mi oczy. Idę w dół ulicy, powłóczę nogami po betonie. Czuję się bezradna i tego nienawidzę.

Ale kiedy widzę po drugiej stronie drogerię, podnosi mnie to na duchu. Do szpitala jeszcze nie mogę wrócić, możliwe za to staje się coś innego.

Łapię koszyk i krążę pomiędzy półkami sklepu, szybko zapełniając go wszystkim, czego potrzebuję. Kiedy podchodzę do kasy, sprzedawca patrzy na mnie zatroskany.

– Wszystko w porządku?

– Nie. Nic nigdy nie jest w porządku.

Wzrusza ramionami. Podlicza moje zakupy i prosi o piętnaście dolarów siedemdziesiąt cztery centy. Zapomniałam, że tu na zewnątrz wszystko kosztuje. Robię więc jedyną rzecz, jak przychodzi mi do głowy. Opowiadam mu wszystko. Z najpaskudniejszymi szczegółami. Historię błędów moich i Cassie. Opowiadam to jemu i całej kolejce za mną. Wszyscy uważnie słuchają. Kiedy dochodzę do końca, sprzedawca patrzy na mnie, zaszokowany.

– Cieszę się, że z twoją przyjaciółką wszystko dobrze – mówi.

– Nigdy nie będzie dobrze. Przecież ma złamane serce. – Wzruszam ramionami. – Ale od początku nie było z nią dobrze, więc...

Kobieta stojąca za mną podaje sprzedawcy dwudziestodolarowy banknot i mówi:

– Złamane serca się leczy. Jestem lekarzem. Wiem coś o tym.

– Dziękuję pani. – Uśmiecham się do niej i patrzę na tych wszystkich ludzi, stojących za mną w kolejce. – Wiecie co? Lepszej terapii grupowej w życiu

nie miałam.

ROZDZIAŁ 31

Szanowny Szpitalu Gerber Memorial,

łóżka masz twarde, pościel jest krochmalona i jeśli jeszcze ktoś zażąda, żebym zjadła galaretkę owocową, wytoczę proces.

Całusy,

Cassie

Kiedy wpadam do szpitalnej poczekalni, Kerry ostentacyjnie wzdycha.

– Gdzieś ty się, do cholery, podziewała?

– Musiałam wyskoczyć po zakupy.

Podnoszę do góry swoje zdobycze.

– Jezu, Zander.

– Wystarczyłoby Zander, ale dziękuję za komplement. Wiesz, nie powinieneś wzywać imienia Pana nadaremno.

Przekrzywia głowę, wyraźnie nie w humorze, i podnosi z mojego krzesła bluzę.

– Zostawiłaś coś.

Odbieram ją od niego.

– Muszę znów ją odwiedzić.

– Najpierw jednak zrobisz coś dla mnie.

– Zgoda.

– Odłóż wszystko.

Wykonuję jego polecenie i kładę torbę oraz bluzę na krześle.

– Stań na jednej nodze – mówi Kerry. – Ręce rozłóż, żeby utrzymać równowagę.

Patrzę na niego, jakby to on miał problemy z równowagą, ale jako że na tym etapie wszyscy mamy małego świra, trzymam się jego instrukcji. Początkowo

trochę się chwieję, ale w końcu znajduję właściwą pozycję.

– Cokolwiek by się nie działo, nie opuszczaj nogi, dopóki ci nie powiem. Jeśli to zrobisz, nie zobaczysz Cassie. Jeżeli twoja stopa dotknie podłogi, wracasz do obozu.

Kołysząc się na jednej nodze, wyglądam pewnie jak flaming na środku szpitalnej poczekalni, ale dbam o to, żeby plecy były proste, i o oddech. Kerry się uśmiecha.

– Zaraz wracam. – Zbiera się do wyjścia.

– Kiedy? – wołam.

– Trzymaj nogę w górze. – Zostawia mnie i znika w głębi korytarza.

Nabieram tchu i wbijam wzrok w ścianę. Po jakimś czasie podniesiona noga zaczyna mnie boleć. Potem ta, na której stoję. Później ręce. Jeszcze później zaczynam się pocić. Wyrównuję oddech i wgapiam się w ścianę coraz intensywniej, ale z czasem wszystko zaczyna mnie boleć. Grawitacja napiera na mnie jak jakaś machina tortur. Dygoczę pod jej ciężarem. Myślę jednak o Cassie w szpitalnym łóżku i o tym, że muszę ją zobaczyć. Bo muszę.

Do powrotu Kerry'ego mija chyba wieczność. Jestem odrętwiała i bliska łez. Jego usta rozciągają się w szerokim uśmiechu, sący świeżutką kawę. Ja zaciskam zęby i wracam do gapienia się w ścianę.

– Możesz opuścić nogę.

Ledwie moje palce dotykają podłogi, przewracam się.

Kerry siada na krześle i poklepuje siedzisko tego obok. Czołgam się do niego na kolanach i dłoniach.

– Jednym z ostatnich zagadnień, jakie omawiamy na obozie, jest wytrwałość. To w życiu bardzo ważna cecha.

– Okej. – Rozluźniam mięśnie nóg.

Obraca się do mnie.

– Charlie uważał, że mu jej brakuje. I skrócił sobie życie, zanim zdążył się

przekonać, że tak nie jest. – Kerry celuje palcem w moje nogi. – Pomimo, że to może boleć. Pomimo, że się zdaje, iż już nie można wytrzymać. Musisz zadbać o to, żeby Cassie to pojęła. Może to być dla niej bolesne jak diabli, ale sobie poradzi. Ciebie posłucha.

Kerry wraca do pokoju pielęgniarek, a kilka minut później prowadzą mnie do Cassie. Wreszcie. Znow się rozsiadam na krześle lekarza, torbę i bluzę kładąc na jej łóżku. Pielęgniarka przemyka drzwi tak, że zostaje tylko szczelina. Wzdycham z ulgą, że zostanę sama z przyjaciółką.

Cassie oczy ma nadal zamknięte, a urządzenia piszczą, ale głuchnę na to wszystko. Wyjmuję z torby z logiem drogerii buteleczkę zmywacza do paznokci i kilka wacików. Podnoszę rękę Cassie i przyglądam się jej. Tak jak przypuszczałam, na paznokciach zostały resztki spękanego lakieru.

Podnoszę po kolei każdy jej palec i delikatnie przecieram nasączonym wacikiem, aż po lakierze nie ma śladu. Zmyłam go do czysta.

Przenoszę się na drugą stronę łóżka, żeby się zająć drugą ręką. Zapach zmywacza tłumi woń śmierci, sącząca się przez szczelinę w drzwiach. Wyjmuję z torby purpurowy lakier, który wybrałam dla Cassie, i niespiesznie maluję jej paznokcie. Dbam o to, by nie wyjechać za daleko. Kiedy to się zdarza, ścieram i zaczynam od nowa.

Na koniec dmucham na nie, nabierając powietrza i ofiarowując jej swój oddech. Potem przykrywam tę drobniutką Cassie swoją bluzą i prostuję się na krześle obok niej.

Nikt po mnie nie przychodzi, więc sobie siedzę. Opieram głowę o łóżko i oddycham, wtórując tykającym w tej sali urządzeniom.

W pewnej chwili przysypiam. Na krótko, bo budzi mnie to, że łóżko Cassie się porusza.

– Czemu tu capię jak w azjatyckim salonie piękności? – pyta chrapliwie dziewczyna.

Podnoszę się i podchodzę bliżej, żeby się upewnić, czy to nie moje urojenia.

– Powiedz coś jeszcze – mówię.

– Bek mówił, że pójdę do piekła, ale to mi wygląda na szpital.

Wybucham śmiechem i rzucam się na nią. Cassie krzywi się z bólu.

– Przepraszam. – Cofam się. Rzeczywistość chyba powoli dociera do Cassie. Napiera na pasy, krępujące jej ręce.

– Co to znaczyć? – Pochmurnieje.

– Lekarze ci powiedzą. – Dotykam jej ręki.

– Przyniosłaś moją bluzę – mówi. Uśmiecham się, słysząc, że znów uznaje ją za swoją własność, i kiwam głową. – I pomalowałaś mi paznokcie?

– Potrzebowały świeżego lakieru.

Cassie przygląda się swoim dłoniom.

– Jeden już zmarnowałam.

Wzruszam ramionami. Do pokoju wchodzi lekarze.

– Kiedyś musiało się to stać. Żaden ideał nie trwa wiecznie. A ten mi się bardziej podoba.

– Nie zostawisz mnie, Z, co?

Kręcę głową.

– Nie, Cassie. Nie zostawię cię. Ale musisz obiecać, że ty mnie też nie.

Cassie patrzy w pokryty grubym tynkiem sufit i powoli kiwa głową. Wyjmuję z torby pudełeczko lemonheads i wkładam jej w dłoń.

– Po jednym w razie konieczności.

Cassie znów patrzy na mnie. Po jej policzku spływa łza.

– Dzięki, Z.

ROZDZIAŁ 32

Szanowne Linie Lotnicze Budget Airline,

list ten piszę, żeby powiadomić Państwa o moim rozczarowaniu. Od wielu lat nie latałam i muszę przyznać, że doznania związane z Państwa linią lotniczą napęłniły mnie zgrozą. Brak szacunku i elementarnego człowieczeństwa, cechujący Państwa personel, był przerażający. Jeżeli mówię, że muszę gdzieś się pojawić, to muszę. Może Państwo nie mają nic przeciwko opóźnieniu lotów, ale życia się nie da opóźnić. Nie da się.

Proszę wybaczyć mi mój ton. Jeżeli Państwo mają dzieci, zrozumieją mnie.

Z poważaniem

Nina Osborne

Tej nocy śpię na krześle, a potem przenoszę się na podłogę. Nad moją głową telewizor przez całą noc nadaje serwis informacyjny CNN. Kerry przestaje nalegać, żebym wróciła do obozu. Zamiast tego, przynosi mi od jednej z pielęgniarek koc. Sam też zostaje, śpi na krześle z rękoma złożonymi na piersi i wysuniętymi w przód nogami.

Rano przypomnienie sobie, gdzie jestem, zajmuje mi chwilę. Potem odnoszę wrażenie, że mam majaki – jeden wydłużony i patykowaty, a zarazem piękny, a obok niego drugi, nieduży i pękaty.

Siadam prosto, a Grover podchodzi i klęka przy mnie.

– Uwielbiam patrzeć, jak się budzisz.

Rzucam mu się na szyję i omal go nie przewracam. Chociaż jesteśmy w miejscu publicznym, Grover się nie odsuwa, tylko przygarnia mnie do siebie. Obejmuje mnie mocniej niż kiedykolwiek przedtem.

– Przepraszam – szepcze mi do ucha. – Strasznie mi przykro, że jej nie pilnowałem.

Puszczam mimo uszu jego słowa i wtulam się w niego. Wpycham nos w jego pierś i chłonę Grovera. Pachnie obozem.

– Wiedziałem – mruczy Kerry ze swojego krzesła. Grover podnosi palec, bo chce coś powiedzieć, opiekun go powstrzymuje. – Daruj sobie. Jest wcześnie, a przebywacie poza terenem obozu.

– To w takim razie... – Grover nachyla się i całuje mnie. Pocałunek jest szybki i lekki, ale ożywia mnie bardziej niż wczoraj trzy kubki kawy.

Bek opada na jedno ze szpitalnych krzesel.

– *Mon amour. Comment va-t-elle* ¹?

– Dobrze – odpowiadam. – To znaczy, nie za dobrze, ale na tę chwilę może być.

– Bek zmusił Madison, żeby nas tu przywiozła – powiadamia mnie szeptem Grover. – Podjął strajk głodowy.

– Bek zrezygnował z jedzenia?

Grover kiwa głową.

– Powiedział, że jest chory z miłości, a to według niego oznacza boleści, mdłości, sporadyczne wymioty i proces wytoczony przez jego tatę, burmistrza Toronto. A potem zażądał, żeby nas zabrała do szpitala w poszukiwaniu lekarstwa. Madison zgodziła się, podkreślając, że w przypadku kogoś takiego jak Bek wyrzeczenie się jedzenia musi wymagać wielkiej wytrwałości.

Zerkam na grubaska, który gapi się teraz w sufit, postukując nogą w podłogę.

Zanim pozwalają nam odwiedzić chorą, mija kilka godzin. Kiedy wreszcie wchodzimy do Cassie, ona patrzy w okno.

Pasy już jej ściągnęli. Cieszę się, że chłopcy ich nie widzieli. Bek siada w nogach łóżka, a Cassie patrzy na nas zaszokowana. Niewątpliwie nie spodziewała się tu nas wszystkich. Bek dotyka jej stóp, przykrytych kilkoma warstwami koców.

Nawet pod nimi Cassie wygląda na przemarzniętą.

– No, Patyczak, dałaś pokaz. Nie całkiem taki, jakiego się spodziewałem,

ale zawsze potrafisz mnie zaskoczyć. I to w tobie uwielbiam – mówi Grover. Nacisk kładzie na końcówkę. Na to uwielbienie.

Bek dostaje czkawki. Siedzi w nogach łóżka i płacze. Nachyla się i raz po raz całuje stopy Cassie.

– *Mon amour. Mon amour. Mon amour* – powtarza.

Na twarzy Cassie maluje się zgroza, ale się nie odsuwa. Grover dotyka jej ręki.

– O miłości nie sposób kłamać – mówi. Przygląda się jej paznokciom. – Tak przy okazji, fajny kolor. Cała ty.

Uśmiecham się do Cassie, a ona odpowiada mi tym samym, najpiękniej jak to możliwe.

Kiedy nasz czas dobiega końca, proszę chłopaków, by dali nam chwilkę.

– Do zobaczenia, Patyczak – mówi Grover. – A teraz ty to powiedz.

– Do zobaczenia, Cleve.

– Trzymam cię za słowo – mówi.

– Trzymasz mnie za słowo – przyznaje Cassie. Grover oddycha z ulgą i razem z Bekiem wychodzą z pokoju.

Przyciągam sobie krzesło do jej łóżka. Chętnie zwrócę je lekarzowi, jeżeli obieca, że Cassie nie będzie musiała już tu wracać.

– Czemu mnie okłamałaś, że masz ciotkę?

Cassie patrzy w okno.

– Bo to nie była twoja sprawa.

– Akurat nie moja. – Podnoszę głos.

Znów spogląda na mnie.

– I co zrobisz, Z? Wymażesz moją przeszłość? Zmienisz ją? Przeszłość może przeminęła, ale jej skutki mocno się trzymają. Nic z tym nie zrobisz.

– Przynajmniej bym cię wysłuchała.

– Wysłuchiwanie nic nie daje.

– Przestań się zachowywać tak, jakbyś nikogo nie miała – krzyczę i wstaję, a łzy znów zaczynają płynąć mi po policzkach. – Już nie jesteś sama. Sprawiałaś, że cię potrzebuję! I że cię pokochałam. A teraz potrzebuję tego, żebyś mi obiecała, że nigdy już się nie poddasz. Nawet jeśli będzie bolało jak cholera. Nie możesz się poddawać. Nie pozwolę, żeby mi cię to odebrało.

Kiedy znów padam na krzesło, Cassie wpatruje się we mnie wytrzeszczonymi oczami.

– Boże, Z, ale z siebie samolub. – A potem kładzie swoją dłoń na mojej . – Potrzebujesz mnie? – Raz po raz kiwam głową, a łzy leją mi się na koszulkę. – Jeszcze nigdy nikt mnie nie potrzebował.

– To się do tego przyzwyczaj – mówię.

– Z, hej?

– Co znowu?

– Wygląda na to, że jeszcze jest w tobie coś z lesbijki. Oby Cleve o tym wiedział.

Kiwam głową, ścierając z policzka łzę, i się uśmiecham.

– Nawet go to kręci.

Cassie znów się śmieje i w pokoju robi się jaśniej. Przed wyjściem odwracam się do Cassie i powtarzam coś, co powiedziała ona Dori zaledwie kilka tygodni temu.

– Wierzyć się nie chce, że próbowałaś się zabić tabletkami. Co za gówniarski samobój.

Cassie znów się uśmiecha.

– Dzięki, Z.

Kiedy wchodzę do poczekalni, pachnie w niej inaczej. Biorę kolejny wdech. Różane perfumy. Rozglądam się po ludziach wokół mnie. Grover i Bek siedzą przed telewizorem.

I nagle odkrywam źródło tego zapachu. Zapiera mi dech, lecz mimo to stać

mnie na okrzyk. To moja mama.

1. (fr.) Moja ukochana. Jak się czuje? [\[wróć\]](#)

NADZIEJA

ROZDZIAŁ 33

*Szanowny Departamencie ds. Nieletnich Miasta Detroit,
odrzucamy Twoje rządy.*

*Z poważaniem,
najlepsza przyjaciółka
Cassandry Dakoty LaSalle, Zander... i jej matka.*

Mama, stojąca akurat przy stanowisku pielęgniarek, podnosi wzrok. Na mój widok oczy jej jaśnieją. Z moimi też na pewno dzieje się to samo. Biegnę, żeby ją uściskać, i z takim impetem wpadam na filigranową przecież kobietę, że o mało się nie przewraca.

– Mamo, tak się cieszę, że tu jesteś. – Wtulam twarz w jej szyję. Skóra mamy pachnie słońcem. Jakby przywiozła ze sobą suchy arizoński wiatr. Oburącz łapie mnie za twarz i kieruje ku sobie. Uważnie mi się przygląda i przeciąga palcem po moim policzku.

– Ty płaczesz – mówi drżącym głosem.

Kiwam głową, leje się więc jeszcze więcej łez.

– Przepraszam, że tyle zwlekałam.

Obejmuje mnie i kołysze.

– Już dobrze, kochanie. Ja też cię przepraszam.

I dalej się ściskamy w tej poczekalni. Sądzę, że w szpitalu też można znaleźć szczęście, jeżeli się w nim pobędzie dostatecznie długo.

– Tak się cieszę, że cię widzę – szepcze mi do ucha.

– Ja też. – I wiem, co mówię.

Ktoś klepie mnie w ramię. Odwracam się.

– Pomyślałem, że wypadałoby się przedstawić przyszłej teściowej. – Grover kołysze się na piętach. Mama, jakaś zadumana, znowu przypatruje się

mojej uśmiechniętej twarzy. Jakby nie mogła uwierzyć w to, co widzi. Stojącego przy mnie dryblasza ogląda od stóp do głów.

– A to pewnie Grover.

– Do pani usług, mamó Zander.

– Miło mi cię poznać, Grover. Masz całkiem interesujące imię.

Grover mruga do mojej mamy.

– Nawet sobie pani nie wyobraża. – A potem wyjmuję swój notes. Chyba nam wszystkim trudno zerwać z pewnymi nawykami. – Chciałbym zadać pani kilka pytań.

* * *

Madison odwozi Grovera i Beka na obóz. Nawet Kerry urywa się na kilka godzin, żeby wziąć prysznic i się zdrzemnąć. Ja jednak zostaję z mamą. Siedzimy w poczekalni, ja na krześle, które na trwałe nieco się zapada po tym, ile na nim wysiedziałam.

– Nadal nie mogę uwierzyć, że tu jesteś – mówię.

Mama wyjmuje z torebki batonik muesli. Nie z tych jej ulubionych. Przygląda się opakowaniu i wzrusza ramionami.

– Na lotnisku tylko takie mieli. – Łamie batonik i wręcza mi jedną z połówek. Odgryza kawałek. A ja się uśmiecham.

– Po tym, co się stało, zadzwonili z obozu. Powiedzieli, że się uparłaś, że pojedziesz z tą dziewczynką. Że wyciągnęłaś swoją przyjaciółkę z wody. –

Bierze kolejnego gryza i żuje go powoli. – Po prostu już nie mogłam wysiedzieć w Arizonie. Musiałam cię zobaczyć.

Opowiadam jej wszystko. Zaczynam od początku, od chwili, gdy Cassie stanęła w drzwiach domku.

– Co powiedziała? – Na jej twarzy maluje się zgroza.

Relacjonuję to, co było potem, nie opuszczając żadnego szczegółu, dopóki

nie dochodzimy do Grovera. To pomijam. Zostanie pomiędzy mną, nim, schowkiem na szczotki i moimi wspomnieniami.

Opowiadam jej o tej nocy, gdy wszystko się zawaliło. Wspominam, jak się bałam, jaka byłam smutna i jak bardzo czułam się załamana. Mama patrzy mi w oczy, a ja znowu płaczę. Odgarnia mi włosy z twarzy i kiwa głową.

– Wyślą ją do domu grupowego. I ona znów zostanie sama. A Cassie nie może być sama, mamó. – Tracę kontrolę nad swoim szlochem. – Nie może.

– Już dobrze, dziecko. – Tuli mnie.

– Nie, nie jest dobrze – szepczę jej do ucha.

Kiedy mama mówi, że musi wykonać kilka telefonów, zwłaszcza do taty, wymykam się za drzwi z zamkiem automatycznym i dalej w głąb korytarza, do pokoju Cassie.

Leży w swoim łóżku i śpi, choć urządzenia wokół niej nadal popiskują. Przyglądam się jej nogom, czekając, że któraś z nich drgnie. Ta dziewczyna ma w sobie jeszcze wiele życia. Jestem tego pewna.

Cassie przewraca się na bok i głęboko oddycha. Ja również.

Jedno z jej oczu otwiera się odrobinę, potem unosi się jej dłoń, a z niej strzela w górę środkowy palec. Owszem, ma jeszcze w sobie wiele życia.

ROZDZIAŁ 34

Kochana Molly,

życie jest dziwne. Nie wiem, czemu wszystko się toczy tak, a nie inaczej. Ale wiem też, że to właśnie znaczy żyć. To czasownik. A więc oznacza działanie.

Po francusku mówi się vivre.

Żyć. Ja tego lata wróciłam do życia.

Odnalazłam się.

I dobrze się z tym czuję.

*Kocham Cię,
Zander*

Cassie wraca do nas w ostatnim dniu obozu. Kerry zajeżdża pod bramę i ogląda się na tylne siedzenie. Chwytam Cassie za rękę. W oczach ma zmęczenie i wygląda tak, jakby mógł ją złamać mocniejszy podmuch wiatru, ale jest na to za silna. Pomimo uszkodzonego serca i tak dalej.

Kerry kiwa głową, Cassie odpowiada mu tym samym. Przejeżdżamy granicę oddzielającą obóz od rzeczywistości.

Pomagam Cassie wysiąść z samochodu. Obozowicze porozchodzili się tu i ówdzie, ściskają się z rodzicami i wynoszą bagaże. Kilkoro się na nas gapi, ale Cassie wbija wzrok w ziemię.

Prowadzę ją pod rękę do domku, żeby zapewnić jej wsparcie, tak jak ona mnie parę tygodni temu.

Kiedy wchodzimy w drzwi, wszystkie dziewczyny z domku siedzą w oczekiwaniu na łózkach. Cassie patrzy im wszystkim w oczy. Widzę cień lęku. A potem każda z nich podchodzi i wręcza jej breloczek z kabelków.

– Żeby przypominał ci, kim jesteś – mówi Katie.

– I że życie wymaga pracy zespołowej. – Hannah wkłada w jej dłoń swój breloczek.

Potem kolej na Dori.

– A zaufanie to w sumie nie taka zła sprawa.

Wyjmuję z kieszeni mój.

– Że jesteś odważna.

Podchodzi Madison. Kładzie na dłoni Cassie figurkę świętego Antoniego Padewskiego.

– Żeby ci przypominał, że przejście przez ciężkie chwile w życiu wymaga wytrwałości i że zawsze znajdzie się jakieś wyjście.

Cassie zaciska to wszystko w dłoniach i patrzy na jej rękę.

– Dzięki za uratowanie mi życia, Madison.

– Właściwie – Madison szturcha Cassie w ramię – to wolę, jak nazywasz mnie Mads.

Cały domek wybuchają śmiechem. Chwilę później otwierają się drzwi łazienki. Wychodzi z niej moja mama, trzymając jedną ze skróconych koszulek Cassie.

– No, to jest kompletnie nie do przyjęcia. – Wyrzuca ją do śmieci.

– Przepraszam. – Cassie patrzy na mnie zszokowana i widzę na jej twarzy cień złości. – Tu się wyrzuca moje rzeczy. Kim jest ta kobieta?

Wzruszam ramionami, a Cassie przechodzi przez pokój, zła, bo moja mama grzebie teraz w jej szufladzie.

– Upewniam się tylko, czy nie ma tu już żadnych tabletek.

– Co tu się, do cholery, dzieje?

Moja mama przerywa to, co robiła, i patrzy na nią.

– Zasada pierwsza: jesz to, co ja ugotuję. Zasada druga: nosisz to, co powiem, żeby nosić. Trzecia: będziesz brała jedynie te tabletki, które przepiszą ci prawdziwi lekarze. Bo będziesz odwiedzać lekarzy.

– Czy pani nie jest mamą Zander? – pyta Cassie.

– A więc, Cassie, jeżeli się zgodzisz przestrzegać moich zasad, mamy dla

ciebie pokój u nas w domu. – Mama uśmiecha się do mnie z drugiego końca domku. – Pora, żeby naprawdę zamieszkało w nim życie.

Z ust Cassie wymyka się westchnienie, ale ona sama jeszcze się nie rusza.

– Co z domem grupowym?

– Nad tym będziemy musiały się jeszcze popracować – odpowiada mama. – Trzeba będzie trochę powalczyć. Jesteś gotowa na taką walkę, Cassie? – Dziewczyna kiwa głową, wpatrzona w mamę, jakby widziała ducha, a może nawet świętą. Mama poklepuje ją po plecach. – To dobrze, bo ja niczego łatwo nie odpuszczam. Jeśli trzeba, walczę do upadłego.

Podchodzę do Cassie i szepczę:

– Tyle nadziei nie mogło pójść na marne, co?

Cassie patrzy na mnie, a potem na moją mamę.

– Nie wierzę w to słowo – odpowiada.

– W takim razie – mama bierze ją pod rękę – to dobry moment, żeby zacząć.

Później, kiedy już się pakuję, w torbie znajduję śrubę okienną, którą dała mi Cassie pierwszej nocy na obozie. Idę do łazienki i wkręcam ją na miejsce. To żadna frajda, gdy można się łatwo wymknąć.

* * *

Stoimy na tarasie wychodzącym na jezioro Kimball. Woda połyskuje w zachodzącym słońcu. Lekki wietrzyk zwiewa mi włosy z twarzy.

– Przykro mi, że nie zdobyłaś zielonego krążka – mówię do Cassie.

Mruży oczy i wpatruje się w wodę.

– Dorobiłam się za to czegoś innego.

– Amen – przyznaje z uśmiechem Grover.

Ktoś za nami coś wrzeszczy i gdy wszyscy się odwracamy, widzimy na tarasie biegnącego Beka, za którym goni jakiś niewysoki, jasnowłosy gość.

– Chciałem, żebyście poznali mojego tatę – mówi grubasek, łapiąc dech.

– Czyli to twój tata? – Cassie przygląda się mężczyźnie.

– Trebek – odpowiada tamten i wyciąga pulchną dłoń.

Śmiejemy się wszyscy. Nawet Cassie.

Kiedy słońce ustępuje nocy, Grover nachyla się i mnie całuje.

– Tylko co pięćdziesiąty związek na odległość ma szansę przetrwania.

– Nigdy nie znosiłam statystyki – odpowiadam.

– Co dziwne, ja także – przyznaje.

– Cieszę się, że w końcu odważyłeś się to wyjawić. – Uśmiecham się do niego. – A będziesz do mnie pisał?

– Dokąd mam wysłać listy?

Wyjmuję z tylnej kieszeni spodni Grovera jego notes i otwieram na stronie, którą zapisałam tygodnie temu. Widnieje tam mój adres, uwieczniony moim charakterem pisma. Pokazuję mu go.

– Cały czas mnie tu miałeś.

Grover przyciska notes do piersi.

– Uwielbiam rzeczywistość.

– Do zrobienia zostało jeszcze jedno. – Cassie wyciąga z kieszeni widelec, który ukradła pierwszego wieczoru. Wszyscy patrzymy, jak podchodzi do drewnianej poręczy wokół tarasu stołówki. Ryje w tym drewnie widelcem jedno słowo. Potem przekazuje go nam i wszyscy kolejno dodajemy swoje inicjały, żeby w Camp Padua na trwałe pozostał po nas ślad.

Całą czwórka porzucamy jezioro i rozpoczynamy długi marsz do naszych samochodów.

– A więc w przyszłym roku? Ta sama pora? To samo miejsce? – pyta Grover.

– Nie darowałbym sobie – odpowiada Bek.

– Ja też nie. – Posyłam Groverowi uśmiech, a on obejmuje mnie w pasie.

– A co z tobą, Patyczak? Widzimy się w przyszłym roku?

Ogląda się przez ramię i po raz ostatni patrzy na słowo, które wyryła w drewnie – nadzieja.

– Zdecydowanie. – Chwyta Beka za rękę. – Ale to nie znaczy, że cię lubię.

– Oczywiście, że nie. – Bek szczerze się uśmiecha. – Ty mnie kochasz.

Otaczam Cassie ramieniem i przyciągam do siebie.

– Jedźmy do domu.

Kiedy się rozchodzimy, zerkam jeszcze za siebie i widzę, jak Grover na znak triumfu unosi w niebo pięść.

PODZIĘKOWANIA

Przede wszystkim wielkie, przepelnione miłością dzięki dla Jessiki Park. Ilekroć pobłądzę, zawsze potrafisz pomóc mi odnaleźć drogę. Kilka lat temu zaryzykowałam rozmowę telefoniczną z nieznajomą, no i teraz na nas popatrz – bratnie dusze. To, że ta książka jest właśnie taka, to Twoja zasługa. Dziękuję.

Mojej agentce i przyjaciółce, Renee Nyen – Tobie od początku podobała się ta książka. Spotkało nas trochę szalonych dni, ale przeszliśmy przez nie razem. Ogromnie jestem wdzięczna za wszystko, co robisz. Dziękuję Ci.

Mojemu redaktorowi, Jasonowi Kirkowi – nie znalazłabym nikogo, kto lepiej zająłby się tą powieścią i wyniósł ją na wyżyny. Twój entuzjazm jest zaraźliwy. (Specjalne owacje dla Coco Williams!).

Wszystkim czytelnikom wersji beta, przyjaciółom i rodzinie, a także fanom, którzy doskonalili moje pisanie i moje książki, którzy zapraszali mnie do swoich domów na spotkania klubów czytelnika i na spotkania w swoich szkołach, którzy siadywali w moim salonie i podczas burzy mózgów rozwijali coraz to kolejne pomysły – dziękuję Wam! Dziękuję! Dziękuję!

I jeszcze Annie, która zapytała: „Dlaczego nie miałybyś nazwać go Grover Cleveland?”.

Resztę... sami znacie.

O AUTORCE

Rebekah Crane ma w swoim dorobku trzy powieści dla młodzieży – *Playing Nice*, *Aspen* i *Jak pokochać freaka*. Zamiłowanie do tego gatunku prozy odkryła w sobie na studiach uzupełniających z literatury angielskiej na Uniwersytecie Ohio. Ma dwoje dzieci, mieszkała i uczyła kolejno w sześciu miastach, by w końcu osiąść u podnóża Gór Skalistych, pisać tam powieści i pracować nad scenariuszami. Dni spędza teraz na podwożeniu dzieci do szkoły oraz siedzeniu przy laptopie na wysokości dwóch i pół tysiąca metrów nad poziomem morza, co wzbogaca pisanie o dodatkowe emocje.